

WALKA PARTYJNYCH FRAKCJI



Kto w obozie PiS nie lubi
prezydenta Dudy



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 19/271 7-13 MAJA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Bitwa o unijne pieniądze
– polska opozycja
przeciw Polsce?

KOLEKCJA CZARTORYSKICH
– CO I ZA ILE
KUPIŁA POLSKA



Minister zdrowia
o kolejkach do lekarzy

Tylko w „DO RZECZY”

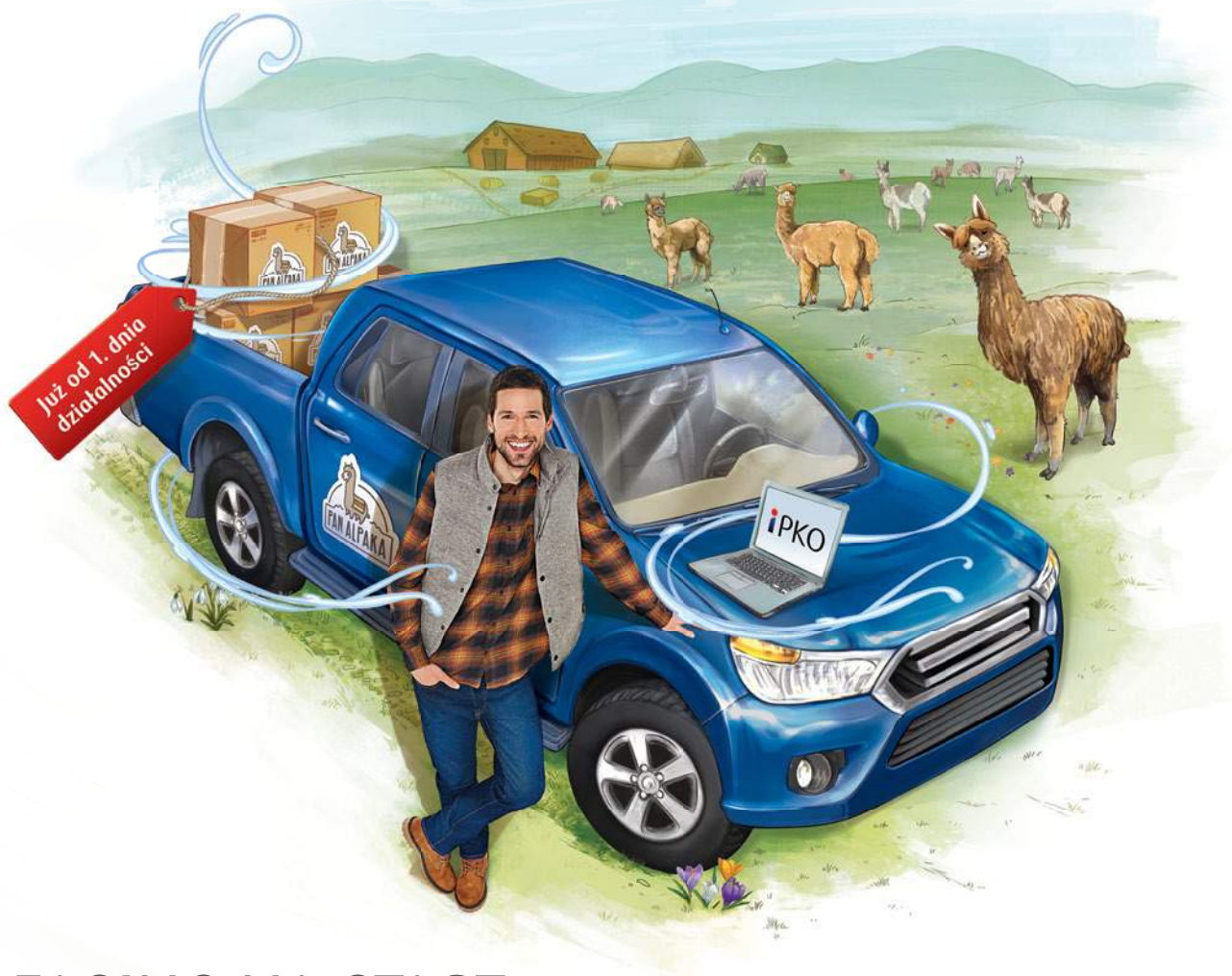
KUKIZ OSTRO O RZĄDZIE:

Morawiecki idzie w ślady Tuska

ORAZ O ŻYDOWSKICH ROSZCZENIACH:

Mam nadzieję, że prezydent Trump
nie podpisze ustawy 447





LEASING NA START W BIZNESIE

Prowadzenie biznesu wiąże się z częstym podejmowaniem kluczowych decyzji. Jeśli jedną z nich jest decyzja o zakupie auta lub sprzętu biurowego, to pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na wsparcie PKO Banku Polskiego. Proponujemy Ci korzystne finansowanie w formie Leasingu na Start:

- nowych i używanych pojazdów osobowych i dostawczych do 3,5 t
- o wartości **nawet do 120 tys. zł netto**

Tylko teraz opłata wstępna **już od 10%*** oraz finansowanie laptopów, komputerów i telefonów o wartości nawet do 10 tys. zł netto.

*Wysokość opłaty wstępnej jest uzależniona od decyzji leasingowej wydawanej przez PKO Leasing.

Więcej informacji o produktach, w tym Taryfa opłat i prowizji, dostępnych jest na stronie www.pkoleasing.pl, infolinia: 801 887 887 (opłata zgodna z taryfą operatora). Zapraszamy do oddziałów PKO Banku Polskiego.



Bank Polski
dzień dobry



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W krainie dekadencji

Zwielu powodów to, co wydarzyło się z małym Alfem Evansem, należy uznać za wydarzenie przełomowe. 23-miesięczne dziecko, chore na dokładnie niezdiagnozowaną chorobę mózgu, lekarze odłączyli od aparatury wspomagającej. Kilka dni później mały Evans zmarł. Brytyjski szpital nie tylko odmówił leczenia chłopca, lecz także uniemożliwił jego rodzicom prowadzenie dalszej walki o jego życie. Tę decyzję dwukrotnie zaaprobowali brytyjscy sędziowie. Nie zgodzili się na przewiezienie dziecka do Włoch, gdzie opiekę nad nim zaoferowali lekarze ze szpitala Bambino Gesù. Brytyjczycy uznali, że w najlepszym interesie dziecka będzie śmierć.

Jak nazwać to, co wydarzyło się w Liverpoolu? Cichą eutanazją? Egzekucją? Na pewno był to akt barbarzyństwa. Jednak też był to jego nowy wymiar. Barbarzyństwo zwykle kojarzy się z dzikością, nieokiełznaniem, ignorancją, brakiem kultury i cywilizacji. Barbarzyńcy są agresywni i okrutni, bo nie mają wykształcenia, kultury, ogłady. Są par excellence dzikusami. Otóż najbardziej przerażającym doświadczeniem wynikającym z tej dramatycznej historii jest to,

że współcześnie coraz częściej mamy do czynienia z inną, wyższą, wysublimowaną formą barbarzyństwa. Barbarzyństwa w białych rękawiczkach, technologicznie zaawansowanego, legalnego i społecznie aprobowanego.

Czymś przerażającym była po pierwsze nie śmierć chłopca – być może nieunikniona – ale odebranie rodzicom prawa do walki o jego życie. Uzurpacja państwa, które – reprezentowane najpierw przez ekspertów, czyli lekarzy, a następnie wymiar sprawiedliwości – wydało na chłopca wyrok. Dzień śmierci Evansa stał się tym samym chwilą przełomową: już nie rodzice, czyli najbliżsi dziecka, bronią jego interesu, ale obcy mu znawcy.

Decyzja sądu i lekarzy nie tylko podważyła sens rodzicielstwa. To był też dzień, kiedy po drugie państwo ogłosiło, że życie ludzkie nie jest wartością i zasadą bezwzględną. Łatwo sobie wyobrazić, jakie będą tego skutki. Można się pytać, ilu rodziców, widząc, jak potraktowano Kate James i Thomasa Evansa, znajdujących się w sytuacji równie beznadziejnej, zrezygnuje łatwiej z walki? Ilu lekarzy uzna, że skoro walka o życie nie jest tym samym co interes dziecka, to

wygodniej i szybciej będą mogli rozstrzygać wątpliwe przypadki przeciw życiu? A biorąc pod uwagę rozwój medycyny, wątpliwych przypadków jest coraz więcej.

Dlaczego zresztą ta zasada ograniczonej ochrony życia ma dotyczyć tylko dzieci? Jeszcze łatwiej wyobrazić sobie taką „obronę interesów” w przypadku ludzi starszych, którzy nie mają przed sobą perspektyw trwałego wyleczenia. Krótko: Wielka Brytania wstąpiła na równię pochyłą. Jeśli to lekarze wiedzą lepiej, czy w interesie chorego lepiej jest żyć czy umrzeć, to droga do uśmiercania zbędnych i nieuleczalnie chorych została otwarta. Jest to tylko kwestia czasu.

Można też dostrzec jeszcze jedną korelację: im społeczeństwo bardziej zsekularyzowane i zdechrystianizowane, tym przyzwolenie dla eutanazji i lekceważenie dla wartości życia większe. Ostatecznym powodem takiej postawy jest bunt przeciw Bogu jako jedynemu dawcy życia. Gdyby ktoś chciał użyć nieco bardziej staroświeckiego języka, powiedziałby o wołającym do nieba przykładzie bezbożnictwa. Jeśli to człowiek – w tym przypadku lekarze i sędziowie – będzie decydować, kiedy życie warte jest obrony, a kiedy nie, to znaczy, że chcą odebrać Bogu tę najważniejszą prerogatywę i przyznać ją sobie. Ze wszystkimi znanymi z dziejów konsekwencjami, z których najważniejszą jest arbitralność. Nie życie jako takie okazuje się godne ochrony, ale życie zdrowe lub przynajmniej takie, które może stać się zdrowe. Znowu: nie ludzka dusza, która jest źródłem godności niezależnie od stanu ciała, jest tym, co najważniejsze, ale działający sprawnie organizm biologiczny. Jeśli się psuje lub nie rokuje, to należy się go pozbyć.

Naprawdę trudno nie dostrzec w tym dekadencji. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM

MORAWIECKI IDZIE W ŚLADY TUSKA

Przewodniczący Kukiz'15: „Rządowi bliżej do Gomułki niż do Gierka”



59 ROZMOWA Z DR EWĄ KUREK
EWA KUREK
TEGO NIE WYMYŚLIŁA!

62 PIOTR SEMKA
KORRIDA Z REWIZJONISTAMI

65 GRZEGORZ MAŁECKI
PRZEBUDZENIE ZACHODU

HISTORIA

66 SŁAWOMIR CENKIEWICZ
ZAPOMNIANY FENOMEN
40. rocznica powstania Wolnych
Związków Zawodowych

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
ATOMOWY POKER
Ile będzie kosztował przełom
na Półwyspie Koreańskim?

76 OLIVIER BAULT
NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

78 ROZMOWA Z ANDREĄ WILLIAMS
WARTO BYŁO BRONIĆ ALFIEGO

80 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MAŁUCHY W KOLORACH TĘCZY

EKONOMIA

82 TOMASZ WRÓBLEWSKI
SYNDROM ZŁOTEJ KACZKI
Polska opozycja a unijne dotacje

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
CO MA PAN MA



STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
CIUCHÓW CORAZ WIĘCEJ
Przemysł tekstylny produkuje góry ubrań.
Nie wszystko się sprzedaje. Co z resztą?

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
STRACH I POŻĄDANIE
Ważni w PiS obawiają się przejęcia partii

28 KAMILA BARANOWSKA
CO SIĘ STAŁO Z JEDNĄ DRUŻYNĄ?

30 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SAMORZĄD WART MSZY?

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
447, CZYLI WIELKI SKOK NA POLSKĘ

34 MARCIN MAKOWSKI
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

36 ŁUKASZ WARZECHA
ŚLEPA AMUNICJA

38 ROZMOWA Z MINISTREM ZDROWIA
ŁUKASZEM SZUMOWSKIM
POLACY NIE LUBIĄ REWOLUCJI

KULTURA

42 RADOŚŁAW WOJTAS
MAŁY LUWR CZARTORYSKICH
Od mumii do Romea i Julii

45 ROZMOWA Z LEE CHILDEM
WIEM, CO LUBIĄ CZYTELNICZY

48 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**MAJSTERSZTYKI MARKA
NOWAKOWSKIEGO**

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 PIOTR ZYCHOWICZ
CZŁOWIEK BYWA ŚWINIĄ
Losy Żydów w okupowanej Polsce
w książce „Dalej jest noc”

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Kierunek
ORLEN

NOWE PALIWO

efecta

efecta
DIESEL

efecta
95

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

-  żywotność
-  wydajność

Dowiedz się więcej na dlakierowcow.orken.pl

eprasa.pl 649e0b0163



ORLEN

Drodzy Czytelnicy,

W poprzednim numerze „Do Rzeczy” (17-18/2018) państwa uwagę zwrócił m.in. artykuł Rafała A. Ziemkiewicza o fiasku kampanii Antoniego Macierewicza „dochodzenia do prawdy” w sprawie katastrofy smoleńskiej.

„Smoleńsk. Sceptycy mieli rację”

Do tej pory uważałem p. Rafała A. Ziemkiewicza za jednego z nielicznych prawdziwych dziennikarzy, zdecydowana większość należy do kategorii, którą Stanisław Michalkiewicz określa mianem „k... g...”. Czasami zgadzałem się z nim, czasami nie, ale jakoś to, co pisał, mieściło się w przyzwoitych ramach. No i teraz ten artykuł.

Liczba ogólników, stwierdzeń bez pokrycia, zwykłych fałszerstw, a nawet propagandowych akapitów jest tak duża, że nie sposób odnieść się do wszystkich w krótkiej wiadomości. Taki tekst w swojej prywatnej klasyfikacji śmiało mogę nazwać „intelektualnym bełkotem”.

Pierwsze, co rzuca się w oczy z całego artykułu, to kompletna ignorancja w sprawach technicznych czy w zakresie nauk ścisłych autora. Nie rozumie (nie czuje), co to jest hipoteza, że hipotezy się weryfikuje, niektóre odrzuca, inne przyjmuje po sprawdzeniu. Co to są badania modelowe i czemu służą, i jaka jest ich wiarygodność, co to są obliczenia numeryczne, w jakim celu się je przeprowadza, że zachowanie samolotu, jak każdego ciała fizycznego, podlega prawom fizyki itd.

No i po kolei. Pierwszy kwiatek: zdjęcie ilustrujące artykuł. Mamy samolotik, bez mała zabawkę, tym się zajmują eksperci. Takie wrażenie powstanie u bardzo wielu czytelników. Tymczasem jest to normalny model samolotu używany do badań w tunelach aerodynamicznych, wszak badania przeprowadzono w Instytucie Lotnictwa. Autor chce kwestionować wyniki tych badań, pytam na jakiej podstawie?

Drugi kwiatek: „Zabrzmiwały dwuznacznie, wyraźnie zaznaczony był dystans do hipotez, które czasami się nie potwierdzały”. Hipotezy z natury rzeczy czasami się nie potwierdzają (uwagi wyżej).

Trzeci kwiatek: „Z perspektywy czasu stwierdzić trzeba... że w walce o zacho-

wanie... zdrowego rozsądku, którą część środowiska dziennikarskiego toczyło wtedy i toczy nadal, wszystkie fakty i racjonalne przesłanki przyznają rację sceptycznie przyjmującym tezę o zamachu”. Jakie fakty, jakie przesłanki? Może w tym miejscu wypadałoby podać chociaż np. dwa. A tak armata bez amunicji.

Czwarty kwiatek: „Bo trudno uznać za »coś« zawieszone w powietrzu, niemożliwe do ostatecznego zweryfikowania obliczenia ekspertów dotyczące procesu rozpadania się... wraku, kwestionowane przez innych ekspertów”. Uff. Po pierwsze wewnętrzna sprzeczność: jeżeli czegoś nie można zweryfikować, to nie można kwestionować, fałsyfikowanie teorii lub obliczeń w naukach ścisłych odbywa się przez znalezienie i wykazanie błędu. Ponadto w naukach ścisłych nie ma ucierania się poglądów, tak jak w humanistyce, i dochodzenia do porozumienia, jest logika, teoria, związki przyczynowo-skutkowe itd.

Piąty kwiatek: ten podział – tu emocje, tam racjonalność. Tak naprawdę jest, tu tylko są emocje?

Szósty kwiatek: „Wierzący w zamach omijają temat, czemu miałyby on służyć...”. Cel zamachu jest w tej chwili drugorzędny, nie zaczynamy badać katastrofy od szukania celu. To może być wywołanie strachu, politycy też się boją.

Siódmy kwiatek: Łukasz Warzecha jako autorytet w sprawie katastrofy – litości!

Tak mógłbym całą łkę kwietną łączyć, nie przystoi to chyba jednak poważnemu tygodnikowi opiniotwórczemu.

Leszek Liżiński, Gdańsk, stały czytelnik

Shukanie dowodów

Szanowna Redakcjo, od ośmiu lat słyszymy o braku dowodów na zamach w Smoleńsku, natomiast dowodów na wypadek lotniczy nie trzeba szukać, bo to przecież wiadomo, że tak było. Mam propozycję dla Rafała A. Ziemkiewicza, który marnuje papier, chcąc uwiarygodnić karkołomną tezę, że Putin nie odniósł korzyści ze śmierci polskiej elity, czytelnicy byłiby zapewne wdzięczni za obszerny artykuł o przekonywujących dowodach na katastrofę lotniczą, może wspólna praca z takim orłem jak red. Warzecha?

**Z poważaniem
imię i nazwisko do wiadomości redakcji**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Waldemar Łysiak**,
Krzysztof Masłowski, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemkiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Ślawomir Cencikiewicz**, **Wiesław Chelminski**, **Dominika**
Ćosić (Bukseł), **Krzysztof Czabanski**, **Roman Graczyk**, **Piotr Gursztyn**,
Katarzyna, **Jacek Komuda**, **Ślawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk (Rzym)**,
Jakub Kowalski, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Anna Piotrowska, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz**
P. Terlikowski, **Błażej Torański**, **Matthew Tyrmand**, **Paweł Wawrzyński**, **Śzewach**
Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wołowski**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**,
Damian Cygan, **Karol Gac**, **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio),
Jan Fiedorczuk

Współpraca: **Milosz A. Ludowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),
Marta Bensalem, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wójcik**,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**,
Mirosław Owczarek

Okladka: **Alek Markowicz/Wprost/FORUM**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż):

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 92,2 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



2 karty SIM i Internet do biura za 50 zł miesięcznie

Wybierz **FORMUŁĘ PERFECT BOX dla Firm**, jak Magda i Lara Gessler. Korzystaj z **dwóch kart SIM** bez limitu i **Internetu do biura** już za **50 zł netto miesięcznie!**

A faktury opłacaj wygodnie w aplikacji Play24.

To przepis na idealną ofertę dla firm!

Najczęściej wybierana sieć w Polsce.
Szczegóły na playdlafirm.pl

4G LTE
ULTRA

PLAY

dla Firm

50 zł to cena netto w ofercie bez telefonu w wybranych opcjach oferty. Oferta obowiązuje do 31 maja 2018 r. Internet bez limitu z pełną prędkością do 10 GB (w smartfonie) i 100 GB (do biura). Internet do biura, to Internet komórkowy w sieci własnej Play. Przenoszący numer najczęściej wybierają Play. Szczegóły na www.playdlafirm.pl



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kłopotliwy podarunek

Spotyka się dwóch przyjaciół. „Jak ci leci?” – pyta pierwszy. „Dobrze” – odpowiada drugi. „A tak konkretnie?” – dociska pierwszy. „A tak konkretnie to nie do końca”. Ten stary kawał dobrze oddaje relacje prezydent – PiS w sprawie referendum na temat zmian w konstytucji.

W święto 3 Maja Andrzej Duda zapowiedział, że prześle do Senatu propozycję, aby referendum odbyło się 10 i 11 listopada. Politycy PiS nie ukrywali, że prezydencka propozycja ich zaskoczyła. Politycy rządzącej partii wskazują, że po dwóch turach wyborów samorządowych w październiku trzecie głosowanie w listopadzie może zmęczyć ludzi. Na dodatek opozycja lub feministki mogą zrobić z tego referendum plebiscyt za dobrą zmianą albo przeciw niej. Mówiąc dosadnie – Jarosławowi Kaczyńskiemu takie referendum jest potrzebne jak dziura w moście.

Dobrze pokazywała to kwietniowa sesja konstytucyjna zorganizowana przez Kancelarię Prezydenta na Stadionie Narodowym. Obserwatorzy z prawa i lewa – jak rzadko – byli zgodni. Wiało nudą. Andrzej Duda nie zaprezentował żadnych

pytań konstytucyjnych, dywagował jedynie na temat ewentualnych kwestii konstytucyjnych.

Demonstracją lekceważenia Kaczyńskiego wobec inicjatywy referendalnej było zorganizowanie w tym samym czasie prezentacji kandydatów PiS na prezydentów wielkich miast. Na spotkaniu u prezydenta rządzącą partię reprezentował wicemarszałek Senatu Michał Seweryński. Poza nim krzesła dla zaproszonych gości świeciły pustkami.

Andrzej Duda wciąż powtarza, że według sondaży Polacy chcą referendum. Pytany o ryzyko niskiej frekwencji w referendum odpowiadał: – Kładę to ryzyko na szalę wartości, jaką dla mnie jest demokracja i to, że to naród powinien decydować o swoich sprawach.

Brzmi to godnie, ale sukcesu w bojach o referendum nie wróży.

A rozdźwięk jest delikatny, bo politycy rządzącej partii zaklinają się, iż prezes nie ma zamiaru postawić krzyżyka na Andrzeju Dudzie w wyborach prezydenckich 2020 r. Na dowód czystych intencji wobec dużego pałacu jeden z tych polityków opowiedział

mi, jak na ostatniej konwencji PiS prezes demonstracyjnie zignorował okrzyk z sali „Beata Szydło na prezydenta!”.

Nie zmienia to faktu, że PiS nie ma ochoty angażować się w referendum. Raz, bo uważa to za niedojrzałą fanaberię prezydenta. Dwa, bo boi się jego porażki z racji znikomej frekwencji. I trzy, bo jeśli już chciałby coś w konstytucji zmienić, to raczej w kierunku wzmocnienia pozycji premiera.

A wszelkie zmiany w konstytucji będą i tak możliwe dopiero wtedy, gdy PiS zdobędzie większość konstytucyjną.

Powstaje więc wrażenie, że idea referendum to jedynie efekt rozpaczliwego poszukiwania przez prezydenta okazji do zaistnienia na scenie politycznej. Tylko że w razie niewystarczającej frekwencji wrażenie porażki położy się cieniem również na rządzącej partii.

Kaczyński na angażowanie swej partii w agitację referendalną nie ma ochoty. Jednocześnie nie chce, by rozdźwięk na linii Nowogrodzka – Pałac Prezydencki rzucał się w oczy. Lider PiS ma trudny orzech do zgryzienia. ©



FOT. GETTY IMAGES

ANTYPOLSKI BURMISTRZ JERSEY CITY

Skandaliczny popis antypolskich zachowań dał w zeszłym tygodniu Steven Fulop, burmistrz ćwierćmilionowego Jersey City.

41-letni polityk Partii Demokratycznej opowiada się za usunięciem z placu nad rzeką Hudson Pomnika Katyńskiego. Według dewelopera Mike'a DeMarco, który odpowiada za modernizację placu, pomnik powinien zniknąć, bo pomysł, że „Rosjanie wbijają nóż w plecy, nie jest dziś politycznie poprawny”. Decyzja władz miasta wywołała protesty Polonii w USA. W obronie pomnika wypowiedzieli się też przedstawiciele polskich władz, w tym marszałek Senatu Stanisław Karcewski. W odpowiedzi Steven Fulop

zaatakował go na Twitterze. „To jest prawda o stole stojącej za tym pomnikiem. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że ten facet to żart. Fakty są takie, że to znany antysemita, biały nacjonalista + osoba zaprzeczająca Holokaustowi, czyli ktoś o zerowej wiarygodności” – napisał burmistrz Fulop.

Nie wiadomo, czy tak idiotyczne słowa są wynikiem ignorancji czy celowej manipulacji. Pozostaje mieć nadzieję, że o obraźliwych słowach Fulopa, a także o ataku na tak ważny dla Polaków pomnik, 10 mln Polonusów w USA będzie pamiętać przy najbliższych lokalnych wyborach. (jap) ©



*Zapraszamy
Kierowców*



**Vienna Life
LANGTEAM**

MARATONY ROWEROWE

2018

- | | | |
|-----|-------|------------------|
| I | 12.05 | KRAKÓW |
| II | 19.05 | WARSZAWA-WILANÓW |
| III | 27.05 | GDAŃSK |
| IV | 16.06 | TRĄBKIE WIELKIE |
| V | 15.09 | KATOWICE |
| VI | 29.09 | KWIDZYN |

WWW.VIENNALIFEMARATON.PL

Patroni Medialni



Sponsor Tytułarny



Organizator



Partnerzy



Sponsorzy Wspomagający



Oficjalna Woda





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kompleksowa tożsamość

Jerzy Stuhr, od pewnego czasu bardziej znany z politycznego zaangażowania niż działalności artystycznej, powiedział w TVN24 coś, co jest wyznaniem całego jego środowiska, i to wyznaniem dla tego środowiska fundamentalnym. Oskarżając PiS, że „zniszczył dążenie całego jego życia”, skonkretyzował, co było tym życiowym celem. „Całe życie

można się stać Europejczykiem przez przyjęcie określonej postawy, poglądów i działań – wydaje mi się to podstawą mentalności ludzi, którzy w polskiej debacie publicznej od zawsze instynktownie opowiadają się przeciwko tradycji, patriotyzmowi, katolicyzmowi i prawicy, a za obyczajowym liberalizmem, permissywnym w kulturze i lewicowością spod znaków LGBT. Bo takie właśnie opowiedzenie się wydawało im się i nadal wydaje „europejskie”, dające nadzieje znalezienia się „na równi” i „bycia docenionym”.

Zaprezentowany przez Stuhra kompleks niższości wobec „Europejczyków” nie wyczerpuje tożsamości środowiska, które kiedyś mianowało się „ludźmi rozumnymi i na pewnym poziomie”, a ostatnio „obozem demokratycznym”. Jak wie każdy znawca tematu, kompleks niższości szuka zawsze kompensacji i z reguły znajduje ją w kompleksie wyższości czy też –

lepiej mówiąc – „urojeniu wyższościowym”.

„Umówmy się, my się obracamy w takim środowisku, nam się wydaje, że wszyscy Polacy są wykształceni i mądrzy – nie, jedźcie państwo na prowincję to zobaczycie głupi, polski naród... bardzo przeciętny, niewykształcony głupi naród” – ta wypowiedź działaczki partii Nowoczesna Jolanty Zjawińskiej podbiła ostatnio Internet (smaczku dodaje, że obok siedział, zgadzając się milcząco, ks. Lemański).

Oczywiście pani Zjawińska, mało komu znana, nie jest autorytetem na miarę Jerzego Stuhra, ale doskonale jego wypowiedź uzupełniła. Można to wręcz zapisać w formie równania: kompleks niższości wobec „Europejczyka” + urojenie wyższościowe wobec „głupiego polskiego narodu” = żelazny wyborca kolejnych inkarnacji Unii Demokratycznej. Quod erat demonstrandum. ©©

Kompleks niższości szuka zawsze kompensacji i z reguły znajduje ją w kompleksie wyższości

chciałem być Europejczykiem, zostać przez nich uznany, że będę na równi, że będę doceniony...”. Zwięźle tego ująć nie można.

Głębokie poczucie niższości, bycia „nie na równi”, wynikające z polskiego pochodzenia, połączone z przekonaniem, że



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Czerwony koń wyścigu

Przełom kwietnia i maja przyniósł bardzo prawdopodobne kandydatury obozów: Zjednoczonej Prawicy i Zjednoczonej (Na Chwilę) Opozycji w wyborach prezydenckich w dużych miastach. W przypadku Platformy i dogorywającej Nowoczesnej wiosna zaowocowała też groteskową „konwencją mazowiecką”, podczas której liderzy opozycji udowadniali wyborcom, że nie mają im nic ciekawego do powiedzenia i jeszcze mniej do zaproponowania.

Wracając do potencjalnych prezydenckich kandydatów: wychodzi na remis – zarówno PiS, jak i opo-

zycja wystawia podobną reprezentację ludzi już uczestniczących – z różnymi efektami – w politycznym życiu, mających stały elektorat. W efekcie walka o prezydenckie stołki w większości miast zapowiada się równie pasjonująco co mecze Piasta i Termaliki w piłkarskiej ekstraklasie, choć będą ciekawe wyjątki, np. w Krakowie, we Wrocławiu, w Gdańsku, Poznaniu i oczywiście w Warszawie. W stolicy Patryk Jaki i Rafał Trzaskowski już zdążyli się wzajemnie werbalnie pacnąć prawym i lewym sierpowym.

A skoro o lewym mowa: w warszawskich wyborach trzy-

mam kciuki za czerwonego konia wyścigu – Adriana Zandberga. Zwycięstwo neomarksisty byłoby pewnym sposobem – ze 100-procentową gwarancją sukcesu – na szybkie uleczenie z miłości do wpływowego warszawskiego saloniku zblazowanych intelektualistów, mediów III RP i infantylnych celebrytów rozkochanych w marksizmach, socjalizmach i podobnych „izmach” spod czerwonej gwiazdy. Wystarczyłoby, żeby lider quasi-komuszków z Razem zaczął w stolicy, po obu brzegach Wisły, swoją wizję proletariackiej rewolucji skutecznie. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Miara naszej porażki

Jeden z najważniejszych punktów „Konstytucji dla Biznesu” – pakietu pięciu ustaw, który wszedł w życie ostatniego dnia kwietnia, brzmi tak: „Co nie jest prawem zakazane, jest dozwolone”. I jest to punkt, który niezmiennie wprawia mnie w zdumienie. To znaczy – owszem, może i dobrze, że on się w tym pakiecie znalazł. Jeśli jednak 29 lat po upadku Peerelu trzeba w specjalnej ustawie zapisywać jedną z podstawowych zasad zachodniego systemu prawnego od czasów rzymskich, która

dziwna metoda zarządzania państwem – zamiast sprawnego, dobrze działającego systemu powoływanie kolejnych rzeczników. Każda taka instytucja – rzecznik praw dziecka, konsumentów, ubezpieczonych, przedsiębiorców i czego tam jeszcze – to przyznanie się, że coś, co powinno działać, nie działa. W normalnej sytuacji przedsiębiorcy powinni przecież wystarczyć jasne, stabilne prawo i sprawne sądy. Powołanie rzecznika to tylko kolejny element komplikujący mechanizm. Od mnożenia urzędów, podobnie jak od mnożenia przepisów, nic nie będzie działało lepiej.

Tak się jakoś zbiegło, że również pod koniec kwietnia okazało się, że urzędy skarbowe zaczęły ścigać niektórych podatników, którzy w ciągu ostatnich lat, podpisując umowy o dzieło (o prawa autorskie), korzystali z 50 proc. kosztów uzyskania. Dotyczy to głównie informatyków. Fiskus każe im oddawać pieniądze. Tak, wiem, nie mówimy tu o przedsiębiorcach, bo umowy o dzieło dotyczą osób fizycznych. Chodzi jednak o sposób działania państwa. Jeśli informatycy w pełni legalnie podpisywali umowy, pozwalające im odpisać część kosztów, a po pięciu latach państwo każe im zwracać kasę, to jest to praktyka najzwyczajniej bandycka, przypominająca wsteczne interpretacje podatkowe – bat na przedsiębiorców, uwielbiany przez skarbowkę.

Co nie jest prawem zabronione, jest dozwolone? Uwierzyć, jak zobaczyć. ©©

W normalnej sytuacji przedsiębiorcy powinni przecież wystarczyć jasne, stabilne prawo i sprawne sądy

powinna być oczywista dla każdego urzędnika i polityka, to jest to miara nie naszego sukcesu, ale porażki.

Inny punkt pakietu, który wywołuje we mnie podobne odczucia, to powołanie rzecznika małych i średnich przedsiębiorców. To w ogóle

symulator władzy dla sfrustrowanej opozycji...



cezarz@krytyka.pl



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Starcie tytanów

Jak Polska długa i szeroka na polach i podwórkach zagościł ciepły maj, a na Twitterze gorący okres przednówka kampanii samorządowej. Przed państwem starcie tytanów. W centralnym punkcie lewego narożnika – Rafał „Młody Wilk” Trzaskowski! W prawym kącie prawnego – Patryk „Nadzieja Stoików” Jaki!

„Dziękuję wszystkim za zaangażowanie. Piszęcie, abym był raczej na luzie albo niekoniecznie. Wbił się w garnitur, częściej się uśmiechał i był poważniejszy, pił piwo na bulwarach, uważał i przestał pić piwo, był ładniejszy i koniecznie brzydszy, był ostry i złagodniał. Spróbuję :)” – rozpoczął asekuracyjnie z krakowską, pardon, warszawską swadą Rafał Trzaskowski.

„Fajnie, że kandydat sam nie wie, jaki ma być. Warszawa bardzo potrzebuje takiego prezydenta. Proponuję zorganizować debatę albo sondę pt. »Jaki mam być?«” – odpowiedział Patryk Jaki.

„Łój topornie. Nie rozumiemy przymrożeń oka? Tak to już chyba macie w PIS. :) Oznacza dystans” – kontrował „Młody Wilk”. „Chciałbym zauważyć, że gdy mruczę oczy, to przez otwarte u :)” – krzyknął z trybun Marcin Dobski z tygodnika „Wprost”.

Wykorzystując osłabienie przeciwnika, Jaki ruszył do szarży. „Nie można dzielić warszawiaków. Warszawa jest miastem otwartym dla wszystkich” – napisał, zamieszczając film punktujący kontrkandydata. Jak się okazało, Warszawa jakiego jest tak otwarta, że most na Pradze może udawać most z Pragi... czeskiej.

Łapiąc drugi oddech, z kontrofensywą programową wystartował Trzaskowski. Czego tam nie było! Darmowe żłobki, wizyty u ginekologa, urlopy „wytnieniowe” dla rodzin osób niepełnosprawnych. I kiedy już kandydat PO podnosił ręce w geście triumfu, okazało się, że dziecko z fotografii żłobka pochodzi z Kanady, dziewczęta idące do lekarza z Niemiec, a rodzina – jak zauważył Cezary Wąsik – „nie z Targówka, a z Tennessee”.

Pozostając w klimacie bokserkim – wyróżnienie za autonokaut miesiąca dla Nowoczesnej, która na żywo próbowała ustalić, którą rocznicę którego powstania świętujemy 19 kwietnia w Warszawie. Ewidentnie coś tam specem od social media dzwoniło, a jak wiadomo, komu bije dzwon, temu do trzech tweetów sztuka. ©©

ZDRADA NA WIZYTÓWCE

Modelko-celebrytka Ilona Felicjańska znów ma pod górkę. Już się wydawało, że wszystko zaczęło się dobrze układać. Była na odwyku, wyszła z choroby alkoholowej, napisała o tym książkę (thriller erotyczny, a co!), potem kilka kolejnych poradników o tym, jak dobrze żyć, i – co najważniejsze – ogłosiła, że znalazła miłość swojego życia. I tu zaczęły się schody.

– Kochamy się każdego dnia bardziej i każdego dnia bardziej pewni, że jesteśmy dla siebie stworzeni i nie jesteśmy w stanie bez siebie żyć. Ślub w maju. Istnieje taki rodzaj miłości, której nic nie rozdzieli – zapewniała niedawno w „Super Expressie”. Tymczasem plotkarskie media opublikowały całą serię zdjęć, ukazujących, jak wybranek Felicjańskiej, niejaki Paul Montana, obściskuje się z atrakcyjną, długowłosą brunetką. Zdjęcia są dość jednoznaczne. Okazuje się jednak, że niewierność narzeczonego nie jest dla Ilony powodem do odwołania ślubu. Ceremonia została przełożona na sierpień. – Nie ukrywam, że nasz związek nie zawsze jest łatwy. Ale łączą nas ogromna miłość i nie boimy się o siebie. Chcemy razem stworzyć dom, ale też robić wspólnie fajne rzeczy – powiedziała celebrytka. – Do ceremonii dojdzie na pewno, bo jesteśmy dla siebie stworzeni. Wszystkie gwiazdy na niebie i ziemi mówią, że będziemy cudownym małżeństwem. A ja wierzę w astrologię. Zresztą już traktujemy siebie jak męża i żonę. Tak się wzajemnie nazywamy. Na mojej wizytówce już widnieje nazwisko Montana – dodała. No tak, w tej sytuacji ślub musi się odbyć. Szkoda, żeby się wizytówki zmarnowały! Aha, Felicjańska przy okazji poinformowała, że jej następna książka będzie o... relacjach w związku. A jak wiadomo, szewc bez butów chodzi.

HOMO CZY HETERO – OTO JEST PYTANIE

Edzia Górniak pojawiła się na okładce związanego ze środowiskiem LGBT pisma „Replika”. Wzbudziła tym samym sporo kontrowersji. W „Fakcie” tłumaczyła motywy swojej decyzji, podkreślając, że nie da się wcale wykluczyć, iż może odkryć w sobie inną orientację. Wyznała też, że nie da się

wykluczyć, iż gdyby była mężczyzną, byłaby gejem.

– Jeszcze różne rzeczy mogą się wydarzyć, mogę odkryć różne upodobania, uważa się społeczeństwo gejowskie za osoby



FOT. MARCUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS



FOT. PAVEL ORDIKHA

szczególnie wrażliwe. Jeśli za taką jestem uważana przez gay community, to super – wyznała. Niestety ku rozpaczy gay community w kolejnym wywiadzie Górniak wyznała, że jednak chciałaby jeszcze wyjść za mąż, tylko kandydata dobrego nie może znaleźć. Czyli jednak ciemnogród.

KTOKOLWIEK WIDZIAŁ, KTOKOLWIEK WIE

Feministka i niedoszła polityk Manuela Gretkowska, która radykalizuje się w coraz wulgarniejszy sposób (ostatnio stwierdziła na przykład w poczytnym kobiecym magazynie, że Kościół trzyma Polskę za jaja i z palcem w c...pie), napisała kolejną już książkę. Jest jednak szansa, że publika jej nie pozna. Dlaczego? Bo redagująca to dzieło redaktorka miała zostawić je w miejskim autobusie. „Po całym dniu pracy, wymęczona redaktorka zostawiła w autobusie 168 o 17.00 korektę mojej nowej powieści. W brązowej teczce – opowiada. To nie reklama, to prośba o zwrot. Nagrodą nazwisko w podziękowaniu drukiem. Serio” – napisała na swoim profilu na Facebooku Gretkowska. Choć nie do końca wierzymy, że to nie forma promocji (przecież wiadomo, że Gretkowska musi mieć wersję książki w pliku na komputerze), to i tak apelujemy do uczciwego znalazcy o to, by teczkę zakopał w ogródku! Jeśli dzięki temu książka ukaże się z opóźnieniem, to zawsze to jakiś zysk. Dla całej ludzkości.

HIPNOTYCZNA KATASTROFA

„Wszystko wskazuje na to, że najbardziej żenujący program w historii polskiej telewizji nie będzie miał kolejnej edycji. Chodzi o „Hipnozę” w TVN. Branżowe portale donoszą, że z odcinka na odcinek mocno spada oglądalność sztandarowego show wiosennej ramówki TVN. A warto dodać, że jest emitowany w tzw. prime timie, czyli czasie najlepszej oglądalności (sobota wieczór). Portal Wirtualnemedia.pl informuje, że pierwszy odcinek „Hipnozy” zgromadził przed telewizorami 1,6 mln osób. Ostatni oglądało już zaledwie 540 tys., co sprawiło, że TVN przegrał rywalizację o liczbę widzów z TVP1, TVP2 i Polsatem. Czyli ze wszystkimi. Od pierwszego odcinka tego żenującego show wszyscy przestrzegali TVN, że nie można traktować ludzi jak idiotów. Ale stacja się uparła, że zna swoich widzów lepiej. Wyszło, że jednak nie wszyscy są idiotami. To musiało być dla stacji naprawdę przykre odkrycie. ©©

XII MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA



HOSPITAL & HEALTHCARE MANAGEMENT

WARSZAWA, 21–22 czerwca 2018 r.

POLSKO-CHIŃSKI SZCZYT ZDROWIA



DATA

21–22 czerwca 2018 r.

MIEJSCE

Centrum Konferencyjne
Hotelu Airport Okęcie
ul. Komitetu Obrony Robotników 24
(wcześniej ul. 17 Stycznia 24)
02-148 Warszawa

KIEROWNIK NAUKOWY

Jarosław J. FEDOROWSKI
prof. nadzw. MD, PhD, MBA, FACP, FESC

ORGANIZATOR

Wydawnictwo Termedia

WSPÓŁPRACA

Polska Federacja Szpitali

PATRONAT MEDIALNY

Akademia Menedżera Zdrowia
Czasopismo Menedżer Zdrowia

KONFERENCJA BEZPŁATNA
LICZBA MIEJSC OGRANICZONA
DECYDUJE KOLEJNOŚĆ ZGŁOSZEŃ

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE ORAZ REJESTRACJA NA: WWW.TERMEDIA.PL

BIURO ORGANIZACYJNE

Wydawnictwo Termedia | ul. Kleeberga 2 | 61-615 Poznań | tel./faks +48 61 656 22 00 | szkolenia@termedia.pl | www.termedia.pl

eprasa.pl 649e0b0163

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, w trakcie majowego świecka odwiedziliśmy m.in. Kazimierz nad Wisłą, gdzie zostaliśmy świadkami tradycyjnego tenkrajowego antysemityzmu.

Otóż wyobraźcie sobie, iż na licznych straganach z pamiątkami można tam kupić figurkę judeosoby z napisem: „Żyd w sieni, pieniądze w kieszeni”. To okropny przykład używania przede wszystkim słownictwa nacechowanego nienawiścią, a ponadto hołdowania wciąż średniowiecznym stereotypom.

Próbowaliśmy wejść ze sprzedającą osobą w dyskurs, wprowadzić ją w narrację o polskiej winie i konieczności rewizji historycznych przyzwyczajęń, niestety jednak ostatecznie zostaliśmy przegonieni od straganów, więc musieliśmy sobie poprawić humor wegańskimi lodami na ryżu. I w dodatku akurat teraz nie ma żadnego offowego festiwalu. Szkoda, no ale najeżdżający

Kazimierz janusze of kors nic by z niego nie zrozumieli, więc nikt ich nie chce kinem niezależnym denerwować.

Mamy pomysł na wspólny performans! Otóż czytaliśmy, iż któregoś dnia czterech osobokierowców jechało pod prąd na autostradzie. Pomyśleliśmy sobie wtedy:

**Nikt nie powinien nam dyktować,
w którą stronę wolno nam jechać autostradą!**

przecież nikt nie powinien nam dyktować, w którą stronę wolno nam jechać autostradą!

Na znak sprzeciwu wobec fashystoffskiej dyktatury, która nie dość, iż nie chce wyznaczyć na autostradach ścieżek rowerowych czy przejść dla pieszych, to jeszcze nie pozwala rozstawiać food trucków ani rowerowych

kawiarni na pasie zieleni, chcemy wyjechać na naszych holenderkach na autostradę we wszystkich kierunkach.

Ma to symbolizować naszą otwartość na każdą stronę świata, poszanowanie każdej kultury, walkę o demokrację w tym kraju i na Bliskim Wschodzie oraz oczywiście nasze wsparcie dla postulatów środowisk LGBTQWERTY.

Oczywiście musicie się w tym czasie liczyć z pewnymi utrudnieniami w ruchu, ponieważ jako termin performansu wybraliśmy piątek po południu, kiedy rzesze januszów prą autostradami na weekendowe wycieczki. Jednak będą zdziwieni xD W sumie jeśli zwracać uwagę na swoje postulaty, to radykalnie xD

Po co mi twoja sympatia?
twoją nienawiścią łatwiej
manipulować...



Zaniedbaliśmy Was i nie napisaliśmy, co należy myśleć o tym, iż Kaczafi kazał oddać ministrom nagrody na Caritas.

Wiadomka: zaścianek, zacołanie i Podkarpacie. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy na państwowe dofinansowanie czeka tyle potrzebujących organizacji, wydawnictw i stowarzyszeń LGBTQWERTY i wielu innych o poglądach racjonalnych, lewicowych i postępowych.

Podobnym błędem jest decyzja o obniżeniu pensji dla rządzących. Pensje mogły przecież zostać takie same i wówczas w całości przekazywane na różne odpowiednie organizacje, zwłaszcza na te walczące o demokrację. Walka o demokrację za pieniądze od niedemokratycznego reżimu – to by było coś! xD ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

NIEZAPOMNIANY KONCERT

9 MAJA
GDAŃSK

GODZ. 20.00
TEATR SZEKSPIROWSKI

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta



BILETY DO NABYCIA W KASACH TEATRU, PRZY UL. BOGUSŁAWSKIEGO 1
LUB ONLINE NA: BILETY.TEATRSZEKSPIROWSKI.PL
KASY/ REZERWACJA TEL. 58 351 01 01
GODZINY OTWARCIA KAS: 14:00 – 19:00

ORAZ
ORKIESTRA POLSKIEJ
FILHARMONII BAŁTYCKIEJ
POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI UL. W. BOGUSŁAWSKIEGO 1

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAT KONCERTU

PARTNERZY KONCERTU



POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONI MEDIALNI

trojmiasto.pl
eprasa.pl 649e0b0163



No i stało się. Kupujcie popcorn. Będzie wesoło. Prezydent Andrzej Sebastian uparł się, że chce referendum konstytucyjnego 10 i 11 listopada, ale Dobra Zmiana bardzo tego nie chce, bo po pierwsze uważa datę samą w sobie za niewłaściwą, a po drugie chciałaby, jeśli już, połączyć referendum z wyborami samorządowymi. Tego z kolei zupełnie nie chce Andrzej Sebastian.

Już jest wesoło. Kilku senatorów powiedziało nam w konfidencji, że nawet jeśli decyzja polityczna (znaczy Nowogrodzkiej) będzie „tak”, to oni i tak zagłosują „nie”. Z kolei dobrze poinformowana wiewiórka z Nowogrodzkiej zasugerowała, że ani Andrzejowi Sebastianowi, ani Dobrej Zmianie nie zaszkodzi odrzucenie prezydenckiego wniosku o referendum.

Wtej sytuacji drugorzędne znaczenie ma treść pytań. Jak to, powiecie, ale przecież pytania miały być dopiero wypracowane? Otóż nie. Już ładnych kilka tygodni temu Andrzej Sebastian przekazał listę swoich dziesięciu pytań wysokim przedstawicielom Dobrej Zmiany. Nie byli zachwyceni.

Równie drugorzędnego znaczenia nabrała sprawa pytań, które do referendum chciała dopisać Nowogrodzka. A chciała m.in. zapytać, czy Polska powinna przyjmować uchodźców z rozmaitych niezbyt bliskich nam kulturowo krajów, w szczególności tych, których z rozdzielnika chce nad Wisłę wepchnąć Unia Europejska.

Swoją decyzję prezydent Andrzej Sebastian ogłosił w środę bardzo długiego weekendu. Koszmar. Za rządów Kaczora Dyktatora nawet weekendy stały się dziewięciodniowe. By dodatkowo pognać naród, opresyjna władza załatwiła upalną pogodę. W dodatku niektórzy zastraszeni handlowcy nie otworzyli sklepów nawet w handlowe niedziele. Gorzej jest już tylko w Korei Północnej. I w głowie Grzegorza Schetyny.

Apropos bardzo długiego weekendu. W piątek 4 maja wolne mieli pracownicy wszystkich urzędów administracji rządowej, żeby i oni mogli cieszyć się dłuższym wolnym. Decyzja w tej sprawie została rozesłana

2 ukołowanie wszystkich programów będzie program Plus+



13 kwietnia i podpisana przez szefa kancelarii premiera Mateusza – Michała Dworczyka. Niestety zamiast wybuchu entuzjazmu wywołała bunt na pokładzie, bo na dzień odrabiania wolnego wybrano sobotę 26 maja, czyli Dzień Matki.

Bunt został spacyfikowany 19 kwietnia kolejnym zarządzeniem, w którym zmieniono treść poprzedniego i nakazano odrabianie wolnego w sobotę 19 maja, co uspokoiło nieco nastroje wśród prorodzinnie nastrojonych urzędników. Po raz kolejny okazało się, że PiS coś jednak łączy z socjalizmem. Podobnie jak słusznie miniony ustrój najwięcej energii poświęca na zwalczanie problemów, które sam wywołał.

Przeoglądając kwity przyniesione przez pomocne i prorodzinne rządy we wiewiórki, zwróciliśmy uwagę na ciekawą rzecz. Decyzje w sprawie wolnego nosiły piękny oficjalny tytuł „zarządzenie Szefa Kancelarii Rady

Ministrów” i miały odpowiednio numery 9 oraz 10. Uważamy, że jak na cztery miesiące pełnienia funkcji zaledwie dziesięć zarządzeń Michała Dworczyka to zdecydowanie za mało.

Apropos ciekawostek z kancelarii premiera. Jak donoszą wiewiórki, Andrzej Pawluszek, sekretarz premiera Mateusza zajmujący się poprawianiem relacji Polska – USA i Polska – Izrael, dostał na te zadania w limicie na służbową komórkę 30 zł miesięcznie ekstra. Domyślamy się, że i poprawa relacji będzie w tej sytuacji ekstra. Broń Boże nie sztychimy w tym momencie z taniego państwa. Po prostu słyszeliśmy, że Pawluszek zrezygnował z limitu, podziękował za zaszczyt i będzie dzwonił z prywatnego.

Inny nieoczekiwany skutek obniżki pensji i limitów – senator Jan Maria Jackowski zrezygnował z odzienia. Zdjęcia nagiego Jackowskiego nad Bałtykiem opublikował „Super Express”. Sądzymy, że zaoszczędzone w ten sposób pieniądze senator przeznaczy na jedzenie. I na kampanię samorządową PiS.

Zapytaliśmy marszałka izby refleksji i zadumy, jak podoba mu się wizerunek Senatu propagowany przez nagiego senatora Jackowskiego na plaży. Stanisław Karczewski odparł, że po obejrzeniu zdjęć nudysty Jackowskiego z zazdrości biegał następnego dnia kilka godzin.

Od roku wiewiórki opowiadały o chytrym planie Kaczora Dyktatora na wybory samorządowe. Plan miał polegać na wystawieniu w większych miastach albo młodych, mniej znanych polityków, albo kandydatów niekojarzonych bezpośrednio z PiS. Jak się okazało, plan jest realizowany, ku rozpacz wieloletnich działaczy lokalnego aparatu, którzy przywykli już, że byli etatowymi kandydatami zawsze i wszędzie. Ukuliśmy w związku z tym maksymę „ilu lat potrzeba, żeby odkryć, że ktoś przez dwadzieścia lat nie nadawał się na kandydata? Dwudziestu”.

Młodzi kandydaci są bezczelni i nastawieni roszczeniowo. Podobno część z nich domaga się, żeby w mediach publicznych zamiast „kierownictwo partii” mówiono

dwaj panowie g



„władze ugrupowania”. Słusznie. Do dziś pamiętamy lekcję od przywódcy pewnego małego prawicowego ugrupowania, którego zdarzyło nam się omyłkowo nazwać przewodniczącym zamiast prezesem. „Przewodniczący to byli w PZPR. No i dzisiaj są w PO” – poinformował.

Prosimy o potraktowanie poprzedniej notki bardzo poważnie. Udało nam się bowiem w sposób najprostszy z możliwych zdefiniować sedno sporu politycznego w Polsce. Zauważcie, że za radykalną przebudową III RP są partie, które mają prezesów, a za tym, żeby było, jak było – stoją te, które mają przewodniczących. Z klasyfikacji wypada jedynie PSL, który ma prezesa. Nie jest to jednak wielki problem. Zostanie rozwiązany wkrótce, czyli kiedy PSL wypadnie również z parlamentu.

Wracając do kandydatów na prezydentów miast. Największy szok panuje w SolPolu, gdzie wszyscy byli przekonani, że Kaczor Dyktator prędzej zgodzi się na ułaskawienie Tuska niż na wystawienie w Warszawie Patryka. Ponieważ szok łatwiej jest znośić

w większym gronie, to i na uroczyste ogłaszanie kandydatów przy Nowogrodzkiej z Patrykiem przyszła większa obstawa. Inni kandydaci stawili się zwyczajnie, to znaczy solo.

Ponieważ obaj panowie G. lubią gotować, z entuzjazmem powitali fakt, że na potrzeby weekendowego grillowania w Warszawie kandydat Jaki przebrał się za kucharza. Na co dzień podczas grillowania złych ludzi w komisji weryfikacyjnej przecież nie może się przebierać. Nie wiemy natomiast, jak przyjąć deklarację kandydata Rafcia Trzaskowskiego, że chciałby wziąć udział w Paradzie Równości. Na wszelki wypadek zaznaczamy, że nie chcielibyśmy, żeby się z tej okazji przebierał.

Apropos Parady Równości i innych okazji do walki o tolerancję. Mamy donosik. Polska policja jest strasznie nietolerancyjna. Kiedy 1 maja ekipa UB-wateli RP wzmocniona przez środowiska feministyczno-gejowskie kładła się na chodnikach, by blokować legalny marsz nacjonalistycznych Szturmowców, policja musiała wynosić

Za radykalną przebudową III RP są partie, które mają prezesów, a za tym, żeby było, jak było, stoją te, które mają przewodniczących

blokujących. Nie to jednak było nietolerancyjne, lecz reakcja na widok Marty Lempart, która nie tylko jest lesbijką i woli psy od dzieci, ale również daleko jej do formy fizycznej senatora Jackowskiego: „O matko, żebyśmy tylko jej też nie musieli wynosić!”.

Na razie w rywalizacji o Warszawę punkcik zapisujemy po stronie kandydata Jakiego. Jego ludzie właśnie zdobyli piłkarski Puchar Polski. A właściwie jego jeden człowiek – bramkarz Radosław Cierznia. Mało kto bowiem wie, że w czasach, kiedy Patryk Jaki marzył o karierze piłkarskiej, a nie politycznej, mieszkał w szkółce piłkarskiej w jednym pokoju z Cierzniakiem. @@

REKLAMA

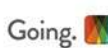
TAURON LIFE FESTIVAL OŚWIĘCIM /2018

15/06 16/06

SANTANA
ALVARO SOLER
BLUE CAFE
VERA JONAS EXPERIMENT

EUROPE
THE STRANGLERS
PUNK ALIVE
(KAZIK, MALEO, BUDZYŃSKI, RUSOWICZ, SICZKA, SMALEC, KEFIR, GUMA, JEZ, RAGA, MELON)
L.U.C. & REBEL BABEL
(GOŚCINNIE: PIEKARCZYK, SARSA, VIENIO, BISZ)
TOTEMO

Bilety: www.life festival.pl i www.eventim.pl



MACIEJ PIECZYŃSKI: Łukasz Warzecha, oceniając w czasie kampanii wyborczej konwencje kandydatów na prezydenta, Andrzeja Dudę porównał do Ferrari, Bronisława Komorowskiego natomiast do Poloneza. A jak pan ocenia ostatnie konwencje PiS i PO-Nowoczesnej Koalicji Obywatelskiej? Czy te dwa środowiska polityczne wciąż dzieli wizerunkowa przepaść?

PAWEŁ KUKIZ: Ja przede wszystkim nie mam zamiaru zastanawiać się nad kwestiami wizerunkowymi. Polityka to powinna być służba dla obywateli, a nie talent show, w którym wyborcy i komentatorzy, wcielając się w role jurorów, oceniają, kto ma ładniejszą kieckę.

Jednak to nieodłączny element polityki. Nie da się bez skutecznej kampanii wizerunkowej wygrać wyborów, a co za tym idzie – „służyć obywatelom”.

Kiedy słyszę pytanie o kwestie wizerunkowe, od razu rośnie mi ciśnienie. Podstawowy dramat państwa polskiego polega właśnie na tym, że ludzie dali się wkręcić w powierzchowne potyczki dwóch największych formacji politycznych. Sprawy istotne odchodzą na dalszy plan, a my zajmujemy się tym, kto jest ładniejszy, sprawniejszy medialnie albo kto zaliczył więcej wpadek językowych. Niestety, media żywią się tym sporem, współuczestnicząc tym samym w oglupianiu narodu i zniechęcając wyborców do interesowania się tym, co najważniejsze, czyli podatkami, służbą zdrowia, bezpieczeństwem. Guzik mnie interesują różnice personalne pomiędzy Komorowskim, Kwaśniewskim czy Wałęsą. W moich oczach oni mają jeden wspólny wizerunek: ciemżycieli narodu, któremu nie chcą pozwolić na kontrolę władzy podczas trwania kadencji na drodze demokracji bezpośredniej. Oni wszyscy uwłaszczyli się na narodzie, na państwie. Nie będę z panem roztrząsał koloru peruk polityków...

Ale to właśnie te kolory czasem decydują o poparciu wyborców.

Gryzę się w język, by nie użyć ostrzejszych słów.

Ależ proszę bardzo! Słucham.

Nie, bo wtedy w tytule zamiast o podatkach napiszecie, że Kukizowi puściły nerwy. Jeżeli dalej polityka będzie polegać na sztucznych PR-owskich bez wchodzenia w szczegóły merytoryczne, to przyjdzie moment, w którym obywatele się ockną i zrozumieją – tak jak i ja kiedyś zrozumiałem – że są manipulowa-

ni przez media i polityków. A wtedy sami przyjdą po polityków i im te kolorowe peruki pozdejmują, tyle że razem z głowami.

Dobrze, ale jednak zarówno PiS, jak i PO-Nowoczesna Koalicja Obywatelska na swoich konwencjach zaprezentowały coś więcej niż tylko kolorowe peruki.

Podstawowa sprawa, która mnie interesuje, to odpowiedź na pytanie: Ile kosztowały te konwencje? Przecież partie nie zapłaciły za te imprezy ze swoich prywatnych pieniędzy, ale z subwencji partyjnych. Jako klub Kukiz'15 złożyliśmy zapytanie w tej sprawie. Ze strony Platformy nie było żadnej reakcji, natomiast klub Prawa i Sprawiedliwości

ujawnić, na co wydaje pieniądze z kieszeni podatnika, świadczy o złej woli. Nie chcą odpowiedzieć, choć przecież pismo wystosował klub parlamentarny, który jest trzecią siłą w polskim Sejmie!

Niezależnie od kosztów konwencji lider w sondażach wciąż się nie zmienia. Wiele wskazuje jednak na to, że sytuację mógłby zmienić powrót Donalda Tuska. W niektórych badaniach cieszy się on dużym poparciem. Tusk może znów namieszać na polskiej scenie politycznej?

On już wystarczająco namieszał przez osiem lat rządów PO. Myślę, że ludzie aż tak krótkiej pamięci nie mają. A jeśli nawet, to można z łatwością przypomnieć wyborcom wszystkie grzechy Tuska. Pomimo obietnic ze 20 razy podnosił



Z Pawłem Kukizem, przewodniczącym klubu poselskiego Kukiz'15 rozmawia Maciej Pieczyński

Morawiecki idzie w ślady Tuska

odpowiedział, że... nie odpowie. Zapytaliśmy też o to, na co generalnie PiS wydaje rocznie 18 mln zł subwencji. I tu też nie odpowiedzieli, bo... w piśmie zapytaliśmy o koszty całości zamiast o szczegółowe wydatki. Co ciekawe, PiS w uzasadnieniu powołał się na wyroki sądów, tych jeszcze sprzed reformy, a więc rzekomo tak znienawidzonych i tak skompromitowanych w oczach polityków partii rządzącej. Być może więc zasypię ich szczegółowymi pytaniami o to, ile wydali na każdy detal – od pączków i kawy począwszy. To, że partia powołuje się na orzeczenia sądu sprzed lat, by nie

podatki, ukraść Polakom 150 mld zł oszczędności z OFE... Dla mnie osobiście Tusk już od ładnych paru lat jest człowiekiem przegranym, niewartym jakiegokolwiek uwagi. Przerazające jest to, że premier Morawiecki dziarskim krokiem zmierza w stronę podobnej polityki fiskalnej...

Co oznaczałoby dla Polski powrót Tuska do władzy?

On cały czas bierze udział w polskiej polityce. Jestem też pewien, że gdy uciekł do Brukseli, wciąż pociągał za sznurki w rządzie Ewy Kopacz. Pytanie tylko, czy

naród po raz kolejny zachowa się irracjonalnie i zgłasza na Tuska. Wierzę, że tak się nie stanie...

A jeśli jednak naród zachowa się irracjonalnie?

Powtarzam: z tego, co widzę, pan Morawiecki zaczyna iść w ślady Tuska, stosując jego zasadę, zgodnie z którą kiedy rząd nie ma pieniędzy, to zamiast szukać oszczędności u siebie, podnosi podatki. Żeby dać biednym, zabiera bogatym, zamiast zabrać sobie. Dokładnie tak samo było za Platformy. Według mnie równie wielkim zagrożeniem dla Polski co powrót Tuska jest dalsze przysmykanie oczu na zbójczą politykę podatkową PiS pod władzą obecnego premiera.

Mateusz Morawiecki – jako bankier czy też „bankster”, jak m.in. pan go nazywał – miał przyciągnąć do PiS liberałów i centrystów. Jak w tym kontekście nowy premier wypada na tle Beaty Szydło?

Ja już wolę otwartą, szczerą w swoich deklaracjach ideowych socjalistkę, jaką była premier Beata Szydło, niż wilka, który udaje owcę, czyli socjalistę w skórze liberała. Kredyty bankowe w Polsce są w rzeczywistości lichwą. Podobnie Morawiecki, oficjalnie wolnorynkowy bankier, jest tak naprawdę korposocjalistą. Myślę, że spory wpływ ma na niego ojciec i jego przekonanie do idei solidaryzmu społecznego. Tak naprawdę to do niedawna mało kto w ogóle znał poglądy Mateusza Morawieckiego. Pojawił się w polityce znikąd... Nie słyszałem o nim więcej niż choćby o Petru.

Morawiecki był przecież swego czasu doradcą Tuska. Miał być chyba zresztą takim prawicowym czy – ściślej mówiąc – PiS-owskim Tuskiem: „teflonowym”, nowoczesnym, lubianym, człowiekiem z elity...

To ostatnie się zgadza. Z prawicą Morawiecki ma niewiele wspólnego, przynajmniej jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze przynajmniej. Wcześniej podnosił podatki po cichu. Teraz otwarcie mówi o daninie solidarnościowej. A przecież, podobnie jak inni politycy PiS, wielokrotnie zapewniał, że podatków nie podniesie. Przecież to właśnie wprowadzenie opłaty paliwowej, która w efekcie doprowadzi do podniesienia cen benzyny, spowodowało odejście Łukasza Rzepeckiego z PiS do klubu Kukiz'15. Dziwię się, że partia rządząca tak lekceważąco traktuje tak pracowitych, młodych, perspektywicznych działaczy,

którzy rozumieją, czym grozi taka polityka fiskalna, niezgodna zresztą z wyborczymi obietnicami. PiS woli opierać się na starych wyjadaczach z „zakonu” Porozumienia Centrum.

Wprowadzenie daniny solidarnościowej może spodobać się tym, którzy głosowali na PiS, oczekując od władzy wrażliwości społecznej.

PiS sam sobie zaprzecza. Nowy podatek nazywają daniną solidarnościową, choć jednocześnie wprowadzają ją w taki sposób, że jej skutkiem będzie nie solidarność, lecz dezintegracja społeczna, mówiąc delikatnie. To uwłaczające, jeżeli rząd mówi rodzicom osób niepełnosprawnych: „Bogaci będą wam dawać pieniądze”. To jest traktowanie tych ludzi jak dziadów prośalnych. Jaki prawem?! Sam jestem ojcem niepełnosprawnego dziecka, dlatego tym bardziej oburza mnie takie podejście.

Surowo ocenił pan „piątkę Morawieckiego”. Jednak znalazł się tam również liberalny pomysł obniżki podatku CIT dla małych firm z 15 do 9 proc., czyli najniższego poziomu w UE.

Kiedy w 2016 r. obniżyli CIT do 15 proc., też chwalili się, jaka to dobra decyzja, a potem eksperci zwrócili uwagę na to, że obniżka dotyczy jedynie niewielkiej grupy przedsiębiorców.

Zawsze to coś. I teraz chcą obniżyć jeszcze bardziej.

To jest na razie luźna propozycja. Na prośbę małych przedsiębiorców złożyliśmy projekt ustawy zakładający obniżkę PIT dla małych firm z 19 do 15 proc., co stanowiłoby dla nich realną ulgę. Niestety, PiS wyrzucił ten projekt do kosza. Od Tuska też wiele obietnic słyszałem. Przypomnę: obiecał likwidację Senatu, obniżkę VAT, wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych...

Jednak PiS, w odróżnieniu od poprzedników, zwykł spełniać swoje obietnice wyborcze. Mówi pan, że „piątka Morawieckiego” to na razie tylko luźna propozycja – to samo można powiedzieć o „piątce Kukiza”. Czyba że zamierza pan przedstawić ją w formie konkretnego projektu ustawy?

W większości tych spraw przedstawił już konkretne projekty ustaw. „Piątka Kukiza”, czyli wprowadzenie kwoty wolnej na poziomie 30 tys. zł, powrót do niższych stawek VAT, dziewięcioprocentowy PIT dla małych firm, koniec z partyjnymi subwencjami i likwi-

dacja urzędów pracy – ten pakiet propozycji i tak jest niemożliwy do przeforsowania w tej kadencji. Co innego w kolejnej. „Piątka Kukiza” stałaby się kartą przetargową w sytuacji, gdyby zwycięska partia nie była w stanie rządzić samodzielnie i potrzebowałaby do tego naszych głosów...

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/PIRUM



Do byłby warunek wejścia Kukiz'15 do nowego rządu?

Tak. Jedynie, co mnie jeszcze trzyma w polityce, to nadzieja, że partia, która wygra kolejne wybory – obojętnie, czy PiS, PO czy jakakolwiek inna – nie będzie w stanie rządzić samodzielnie. A wówczas Kukiz'15 stanie się jęczyzkiem u wagi. Wtedy położę na stół pakiet naszych propozycji – „Piątka Kukiza” plus zmiany ustrojowe: wprowadzenie JOW i obligatoryjnego dla władz referendum bądź weta ludowego. Jeśli zwycięska partia te postulaty poprze, to wejdziemy do koalicji rządzącej. Jeśli nie – to zwycięzcy będą zmuszeni oddać władzę i rozisać nowe wybory.

I to wystarczy, żeby w kolejnej kadencji zjeść sobie ruch Pawła Kukiza?

Ordynacja wyborcza i kwota wolna od podatku to sprawy fundamentalne. Wprowadzenie naszych postulatów zmieniłoby filozofię gospodarczą państwa. Trzeba też szukać oszczędności. Zamiast zabierać bogatym i dawać biednym, można je znaleźć w państwowych instytucjach. Przydałby się audyt wszystkich instytucji państwowych: urzędów, agencji, spółek Skarbu Państwa, likwidacja Polskiej Fundacji Narodowej, gabinetów politycznych, urzędów pracy... Na obsługę samego ZUS wydajemy rocznie 5 mld zł! Natomiast w kwestii ustroju nie chodzi o to, by w każdej sprawie urządzać referendum. Żeby zmienić podejście polityków, wystarczyłoby wprowadzić instytucję weta ludowego. To byłby czynnik dyscyplinujący. Gdyby partia rządząca miała świadomość, że każda jej ustawa może zostać odrzucona przez naród w bezpośrednim głosowaniu, mniej byłoby prawa pisanego na kolanie. To właśnie legislacyjna byleja jest jednym z naszych największych problemów.

Czy danina solidarnościowa może zniszczyć wizerunek premiera Morawieckiego jako „liberała”?

Oczywiście. Dawał nadzieję na wolnorynkowy zwrot w PiS. Niestety, jest wręcz przeciwnie.

„Matki niepełnosprawnych chcą pieniędzy? Wprowadzimy daninę! Górnicy za mało zarabiają – opodatkujecie ich od padającego deszczu. Nie ma na policję? Nie szkodzi! Weźmiemy sklepikarzom itd. Socjalizm pełną gębą. Aż dziwne, że Morawiecki nie podjął jeszcze współpracy z Zandbergiem. Janosik z Robin Hoodem – to byłaby moc!” – tak na Facebooku skomentował pan daninę solidarnościową. Porównywanie

antykomunisty z marksistą jest trochę krzywdzące. Świątopoglądowo to są antypody.

Zgadza się, ale nie powinno się nazywać prawicową partii, która program gospodarczy ma bardziej zbliżony do Gomułki niż do Gierka!

Czym się może skończyć ten postępujący fiskalizm?

Rozdawnictwo demoralizuje ludzi, którzy stają się nadmiernie roszczeniowi, bo uważają, że im się „należy”. Właśnie dlatego upadł komunizm. O prawdziwym solidaryzmie w przypadku łupienia bogatych przez podatki można zapomnieć. Taka polityka fiskalna zamiast solidarności buduje podział na roszczeniowców oraz tych, którzy pracują na spełnianie ich roszczeń. A te ostatnie są eskalowane. Widać to po ostatnich protestach. Kiedy

Rozdawnictwo demoralizuje ludzi, którzy stają się nadmiernie roszczeniowi, bo uważają, że im się należy. Dlatego upadł komunizm

rząd spełnia żądania jednej grupy społecznej, zaraz przychodzi następna. Mało tego: władza nie zastanawia się, w jaki sposób oszczędzić na sobie. Zawsze finał jest jeden: taka władza upada i na jej miejsce przychodzi kolejna, która obiecuje, że teraz to już będzie naprawdę lepiej.

Każda partia obiecuje, że będzie lepiej...

Proszę zwrócić uwagę, co Grzegorz Schetyna mówił za rządów PO, a co mówi teraz. Cztery lata temu, gdy był u władzy, przekonywał, że gabinety polityczne są potrzebne. Dzisiaj, kiedy jest w opozycji, twierdzi, że są niepotrzebne, i wychodzi z inicjatywą ich likwidacji. A kiedy my wcześniej złożyliśmy projekt likwidacji gabinetów politycznych, zagłosował przeciwko. Matki niepełnosprawnych dzieci protestowały także za rządów Platformy. Nie dostały wówczas tego, co chciały, tylko jakąś tego namiastkę i czczą obietnicę, że będzie więcej. A Schetyna dziś wychodzi do nich i mówi, że ma pomysł na rozwiązanie ich problemów!

Schetyna nie radzi sobie jako „lider opozycji”? Zdecydowanie, ale to już inna sprawa.

Za to Jarosław Kaczyński wydaje się panować nad obozem dobrej zmiany. W samą porę zainterweniował w sprawie nagród dla ministrów w rządzie Beaty Szydło.

Jeżeli chodzi o nagrody, to uważam, że powinny zostać zwrócone, ale tam, skąd zostały wzięte, a nie zostały wzięte z Caritasu. A jeśli już, to powinno obowiązywać jakieś dżentelmeńskie zastrzeżenie, że ministrowie nie odpiszą sobie tego – jako darowizny – od podatku. Ja sobie radzę, jako muzyk zarabiam na prawach autorskich, w tej chwili nie muszę nawet grać, mam więc pewien komfort. Jednak nie rozumiem, dlaczego za to, że nagrody wziął członek partii, która ma swój majątek, nieruchomości, subwencje, absolutnie wszystko, co niezbędne do działania, za karę mają mi zabierać 20 proc. zarobku, podczas gdy my jako Kukiz'15 nie bierzemy subwencji i często z własnej kieszeni płacimy prawnikom, by pomagali w przygotowaniu projektów ustaw?!

A co do interwencji Kaczyńskiego, to rzeczywiście wciąż skutecznie kontroluje swój obóz. Wystarczy, że powie jedno słowo, a cała partia stoi na baczność. Uważam jednak, że system, w którym jedna osoba w państwie musi mieć pieczę nad absolutnie wszystkim, jest fatalny. Nie ma bowiem takiej osoby, która byłaby w stanie samodzielnie i skutecznie kontrolować wszystkie dziedziny funkcjonowania państwa.

Zastanawiał się pan w jednym z wywiadów, co by było, gdyby tej jednej osoby zabrakło...

To byłaby katastrofa. Wydaje się, że prezes Kaczyński ma dobre intencje. Jednak – jak wiadomo – dobrymi intencjami jest piekło wybrukowane. Ja znam wielu dobrych ludzi, z którymi nie zgadzam się w sprawach gospodarczych czy społecznych. Inne jest spojrzenie na społeczeństwo z perspektywy ojca rodziny, inne z perspektywy człowieka, który całe swoje życie poświęcił polityce.

Patrząc z perspektywy czasu na rekonstrukcję rządu, co zmieniło odejście takich ministrów jak Szyszko, Macierewicz, Waszczykowski?

To była tylko zamiana pionków na szachownicy. Paradoksalnie wydawałoby się, że rząd Morawieckiego będzie otwarty na wolny rynek, tymczasem po rekonstrukcji zaostrzył się socjalistyczny populizm.

Antoni Macierewicz to chyba nie jest zwykły pionek na szachownicy?



Szef Kukiz'15 nie rozumie, dlaczego członkowie jego klubu mają stracić 20 proc. pensji za to, że nagrody wzięli członkowie partii PiS FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

Jestem przekonany, że on nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Prędzej czy później Antoni Macierewicz wróci do pierwszej ligi politycznej. Czy to w ramach PiS, czy to z jakąś swoją nową formacją. To nie jest typ człowieka, który pogodziłby się z odsunięciem na boczny tor. Z pewnością będzie jeszcze próbował zaistnieć.

Wydawałoby się, że nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej wywoła przede wszystkim konflikt z Ukrainą. Wówczas odium winy spadłoby na Kukiz'15, bo to wy forsowaliście tzw. penalizację banderyzmu.

My jesteśmy otwarci na sugestie w zakresie doprecyzowania brzmienia przepisów wątku ukraińskiego tej ustawy. Od jakiegoś czasu planuję spotkać się z ambasadorem Ukrainy i przedyskutować tę kwestię. Pryncypia są jednak nienaruszalne – hołubienie w Polsce bandytów Bandery czy Szuchewycza jest dla nas równoznaczne z hołubieniem Hitlera czy Stalina. To kwestie niepodważalne i niezmiennie. Wiem jednak, że Ukraińcy mają zastrzeżenia do nazewnictwa geograficznego – nie podoba im się, że Galicja nazwana jest w ustawie, zgodnie z przedwojenną polską terminologią, Małopolską Wschodnią. Nad zmianą takich szczegółów można dyskutować.

Jednak prawdziwa awantura wybuchła wokół wątku dotyczącego Żydów.

Ten kryzys międzynarodowy spowodowany jest nieudolnością polskiej dyplomacji...

A konkretnie?

Problem polega na tym, że ta ustawa nie była wcześniej konsultowana...

Minister Ziobro twierdzi, że przedstawiciele Izraela byli informowani o kolejnych etapach prac.

Izrael twierdził co innego. Trudno teraz dojść, kto ma rację. Ja natomiast uważam, że aby zażegnać ten kryzys, trzeba doprecyzować ustawę wspólnie z zainteresowanymi stronami, nie rezygnując przy tym jednak z pryncypiów.

W wątku ukraińskim to „penalizacja banderyzmu”. A w wątku żydowskim?

PiS powinien powrócić do swojego projektu ustawy z poprzedniej kadencji. Była tam mowa o karaniu za „polskie obozy śmierci”. Tego w obecnej ustawie nie ma i to jest jej wielki mankament. Osobiście szczególnie trudno jest mi się z tym pogodzić. W Auschwitz został zamordowany mój dziadek. Kierując się logiką tych, którzy dziś w mediach atakują Polskę, mój dziadek Polak został zabity w polskim obozie przez Polaków. Przecież od samego początku chodziło właśnie o walkę z używaniem skandalicznego określenia „polskie obozy”. Bezpośrednia przyczyna, dla której ta ustawa w ogóle powstała, nie została w tej ustawie uwzględniona. To trzeba naprawić i tego ewentualnie bronić.

Jednak nawet część zdecydowanych krytyków tej ustawy dostrzega w niej jedną podstawową zaletę. A mianowicie: reakcje na jej uchwalenie pokazały skalę antypolonizmu w Izraelu...

Mimo wszystko jestem przekonany, że ta ustawa, nawet w obecnej formie, była potrzebna. Bardzo dobrze, że została uchwalona, bo pokazała, że Polacy nie godzą się, by nazywano ich pomocnikami Niemców przy eksterminacji Żydów. Gdyby tej ustawy nie było, za kilkana-

ście lat w podręcznikach moglibyśmy przeczytać, że polscy naziści w polskich obozach mordowali Żydów, a Bandera był antykomunistą, który wraz z Szuchewyczem tworzył w Polsce ochronki dla dzieci. Generalnie więc, pomimo słabości dyplomacji, ja bym jednak w tej sprawie usprawiedliwiał obecny obóz władzy. Przez tyle lat, od czasów rządów SLD, ulegały w Polsce stopniowej degradacji takie wartości jak patriotyzm, duma, godność, tożsamość narodu... Trzeba było to jakoś odreagować.

Tak czy inaczej ustawa wywołała konflikt nie tylko z Izraelem, lecz także z USA. Może mści się na nas to, że otwierając kolejne fronty, finalnie jesteśmy skazani na jednego prawdziwego sojusznika – USA?

Myślałem, że tym jedynym sojusznikiem nazwie pan Węgry...

Relacje z Budapesztem są bardzo dobre, ale Viktor Orbán udowodnił już nieraz, że jest pragmatykiem, który prowadzi wielowektorową politykę i nie zawsze można liczyć na jego lojalność...

I bardzo dobrze. Uczmy się pragmatyzmu od Orbána!

Wracając do USA... W przypadku konfliktu pomiędzy Polską a Izraelem...

Jeśli Amerykanie będą musieli stanąć przed wyborem, po czyjej stronie się opowiedzieć: Polski czy Izraela, to nie ma żadnych wątpliwości, że ten wybór byłby dla nas niekorzystny.

To jak wyjść z tego kryzysu?

Trzeba cały czas prowadzić rozmowy. Tyle wieków pokojowego współżycia Polaków i Żydów nie może być wywalonych do kosza z powodu czy to nieudolności polskiej dyplomacji, czy to antypolskiej polityki obecnych władz Izraela. Ja ze swojej strony staram się poprzez pozytywistyczną pracę u podstaw, bez emocji i konfrontacji, akcentować to, co Polaków i Żydów łączy. W rocznicę powstania w getcie warszawskim, zamiast dołączać do propagandowych chórów, przypomniałem na swoim Facebooku, że Krzysztof Kamil Baczyński, wybitny polski poeta i powstaniec warszawski, miał żydowskie korzenie. Chciałbym w wolnej chwili nakręcić film dokumentalny, w którym wspólnie z Etgarem Keretem, polsko-izraelskim pisarzem i reżyserem, rozmawialibyśmy o tym, co Polaków i Żydów łączy, dzieli, cieszy, boli, o naszej historii... To byłoby spotkanie artystów, ▶

nie polityków. Wierzę, że taka praca u podstaw, poza bieżącym sporem, może przynieść owoce.

Izba Reprezentantów Kongresu USA przegłosowała tzw. ustawę 447. Jeśli podpisze ją prezydent Trump, to departament stanu będzie zobowiązany do corocznego monitorowania, jak przebiega restytucja mienia pozostawionego przez ofiary Holokaustu. Jarosław Gowin twierdzi, że ta ustawa „nie stanowi dla Polski żadnego zagrożenia”. Podziela pan optymizm wicepremiera?

Absolutnie nie. Roszczenia wysuwane przez żydowskie organizacje wobec mienia bezspadkowego są w sprzeczności z podstawowymi zasadami cywilizacji europejskiej. Mam nadzieję, że prezydent Trump nie podpisze tej ustawy. Wszyscy wiemy jednak, jak silne jest lobby żydowskie w Waszyngtonie.

Niektórzy komentatorzy wiążą oburzenie na nowelizację ustawy o IPN właśnie z roszczeniami organizacji żydowskich wobec Polski. Łatwiej jest domagać się zadośćuczynienia od „współsprawców Holokaustu”... Zgadza się pan z tą tezą?

Cieężko jest traktować te sprawy łącznie... Przez cały czas tej burzy wokół ustawy o IPN gdzieś w tle przewijała się kwestia restryktacji, a oszczercze ataki na Polskę i Polaków w zachodnich mediach przybrały na sile. Nie wierzę, że to było przypadkowe.

USA domagały się też zmian w ustawie restryktacyjnej, ułatwiających realizację roszczeń żydowskich. Po uchwaleniu ustawy 447 te naciski zapewne się zwiększą. Największe kontrowersje budzą roszczenia organizacji żydowskich do mienia bezspadkowego. Jak na to wszystko powinien zareagować polski rząd?

Przez prawie 30 lat istnienia tzw. wolnej Polski nie udało się przyjąć ustawy restryktacyjnej, która w kompleksowy sposób porządkowałaby te kwestie. I jest to zarzut wobec całej klasy politycznej, bo gdyby taka ustawa została uchwalona kilkanaście lat temu, dziś trudniej byłoby różnym środowiskom wysuwać swoje roszczenia. I nie musimylibyśmy teraz zajmować się wyjaśnianiem afery restryktacyjnej... Dlatego ustawę restryktacyjną trzeba przyjąć jak najszybciej, chociaż nie w kształcie proponowanym przez PiS.

„Prezydent Duda mnie rozczarował, i to dosyć poważnie” – tak skomentował pan podpis głowy państwa pod nową ordynacją wyborczą. Czy tamto

rozczarowanie było na tyle poważne, że nie będzie już współpracy Dudy i Kukiza?

Nie, aż tak to nie. Jednak oczekiwałbym od pana prezydenta, by przyjmował mniej asekurancką postawę wobec obozu rządzącego. Gdybym był na jego miejscu, to złożyłbym PiS ultimatum: „Albo podniesiecie kwotę wolną od podatku wszystkim obywatelom do 8 tys. zł (a to przecież Duda obiecywał), albo będę wetował wszystkie ustawy”. Więcej wysiłku włożyłbym w referendum konstytucyjne.

Jacek Sasin sugerował, że prezydent powinien wycofać się z referendum.

A ja sugerowałbym, aby referendum odbyło się np. przy okazji wyborów samorządowych, ponieważ jako osobne wydarzenie, bez wsparcia ze strony partii rządzącej, może okazać się frekwencyjną kłapą... Chciałbym, aby padły w nim konkretne, precyzyjne pytania natury zasadniczej: „Czy jesteś za zmianą

Uważam, że mimo wszystko Andrzej Duda bardziej stawia się PiS niż Bronisław Komorowski stawiał się Platformie

ordynacji wyborczej na większościową?”, „Czy jesteś za likwidacją subwencji partyjnych?”.

Czy Andrzej Duda jest – tak jak stwierdził pan po zawetowaniu ustaw o sądach – obywatelskim prezydentem wszystkich Polaków?

Uważam, że mimo wszystko Andrzej Duda bardziej stawia się PiS, niż Bronisław Komorowski stawiał się Platformie.

Nie zawsze bowiem wetuje te ustawy, których zawetowania pan od niego by oczekiwał? Dużym ryzykiem było weto w sprawie ustawy degradacyjnej, która przecież była bardzo ważna dla elektoratu PiS.

Dzięki temu, że zawetował ustawę o KRS, udało się przeformować naszą propozycję wyboru rady przez kwalifikowaną większość trzech piątych głosów. To było bardzo ważne. Tak czy inaczej uważam, że prezydent Duda powinien bardziej wybijać się na samodzielność. Powinien dążyć do tego, by zadając

w referendum pytanie: „Czy jesteś za wprowadzeniem systemu prezydenckiego?”, otrzymać od większości odpowiedź twierdzącą.

Jeśli zacznie „wybijać się na samodzielność”, to PiS może go nie poprzeć na kolejną kadencję. Może tak, może nie.

Gdyby wybory prezydenckie miały odbyć się teraz, poparłby pan Andrzeja Dudę?

A dlaczego nie zapyta pan, czy ja wystartowałbym w tych wyborach? Dla czego mnie pan skreśla (śmiech)?

Bo zapowiadał pan poparcie dla Dudy, jeżeli będzie „obywatelskim prezydentem wszystkich Polaków”.

Gdybym nie startował albo gdyby Duda została w drugiej turze, nie widzę innego kandydata! Kto? Biedroń czy Tusk?

No właśnie, może Robert Biedroń? Jest kreowany przez część środowisk.

Bądźmy poważni. Ani jeden, ani drugi mnie nie interesuje.

Zastanawiał się pan nad utworzeniem ugrupowania, „partii” prezydenckiej, popierającej Andrzeja Dudę...

Przed wszystkim sam prezydent powinien to rozważyć. Nie widzę jednak z jego strony prób samodzielnego działania czy też wzmocnienia własnej pozycji poprzez współpracę z różnymi podmiotami. Musiałby wyjść z inicjatywą. Jednak nic za darmo. Gdybym dostał w referendum konstytucyjnym pytania, na których mi zależy, tobym wtedy mocno go wspierał. Jednak ja powinienem otrzymać od prezydenta taką deklarację już dawno temu. Czas ucieka...

Najbliższe dwa lata to maraton wyborczy – samorządowe, parlamentarne, europarlamentarne, prezydenckie... Jaka jest strategia Kukiza'15?

Nie mamy struktur ani finansowania, więc działamy dość spontanicznie. Wciąż zapraszamy do współpracy w ramach projektu „Samorządy z Kukizem”. Zgłasza się do nas wielu młodych ludzi o wolno-rynkowym podejściu, nieskażonych już myśleniem w stylu homo sovieticus. Poza tym naszą strategią jest przede wszystkim wzmocnić się i wejść do parlamentu w takiej liczbie, by nikt nie mógł bez nas samodzielnie rządzić.



Twoje własne mieszkanie za 1.200 pln miesięcznie!

NOWY PROGRAM MIESZKANIOWY GRUPY INWEST



Szukasz mieszkania dla siebie, a może chcesz je kupić inwestycyjnie?

*U nas już za **1.200 pln** brutto miesięcznie kupisz dwupokojowe mieszkanie o pow. **50 m²***

*Potrzebujesz tylko **połowy** kredytowego wkładu własnego - resztę **zaplacimy** za Ciebie!*

www.grupainwest.pl

* Powyższe ogłoszenie ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty handlowej w rozumieniu art. 66 §1 Kodeksu Cywilnego.

* Warunkiem skorzystania z oferty jest zapoznanie się regulaminem i warunkami Programu Mieszkaniowego Grupy Inwest dostępnego na stronie www.grupainwest.pl



Wojciech Wybranowski

W PiS nie podoba się usamodzielnianie się Andrzeja Dudy. Stara gwardia boi się, że to przygotowanie do przejścia schedy po prezesie. Najwyższe zagranie – czyli wystawienie innego kandydata w wyborach prezydenckich – na razie w licytacji nie pada

Aż 44 proc. poparcia w pierwszej turze wyborów prezydenckich i 20 punktów procentowych przewagi nad Donaldem Tuskiem, a w drugiej turze zwycięstwo nad byłym premierem różnicą 9 punktów procentowych – ostatni, kwietniowy „sondaż prezydencki” Kantar Millward Brown dla „Faktów” TVN, podobnie jak i te dotyczące zaufania społecznego do polityków (23 kwietnia CBOS: Andrzej Duda – 70 proc.), to dziś najmocniejszy oręż urzędującego prezydenta w rozmowach oraz wewnętrznych sporach z Prawem i Sprawiedliwością. A tych w ostatnim czasie nie brakuje. Punktów zapalnych w relacjach między nim a jego niedawnymi kolegami z partii przybywa, podobnie jak rośnie liczba parlamentarzystów dobrej zmiany coraz bardziej dystansujących się od głowy państwa.

– Oczekiwałam, że prezydent będzie wspierał Prawo i Sprawiedliwość w reformach, które przeprowadzamy, tymczasem w tej chwili nie jestem przekonana, czy Andrzej Duda i my nadal idziemy w tym samym kierunku. Mówiąc wprost, jestem lekko rozczarowana tym, co pan prezydent robi – mówi „Do Rzeczy” prof. Krystyna Pawłowicz, posłanka PiS. Pytana o powody tak krytycznej oceny w pierwszej kolejności wymienia ubiegłoroczne prezydenckie weto przygotowanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości ustaw sądowych. – Z perspektywy czasu widać, że nie powinien tego robić, bo jak widać dziś nawet z tych łagodnych, prezydenckich wersji, UE każe nam się wycofywać. Nie chodziło Unii i opozycji w tym wszystkim o sądy, tylko o walkę z rządem – dodaje prof. Pawłowicz. I podkreśla, że to jej prywatne zdanie oraz że sama do partii Kaczyńskiego nie należy.

Strach



i pożądanie

Jednak i wśród działaczy PiS słychać wypowiedzi coraz bardziej dystansujące się od prezydenta. Oczywiście niemal wszystkie nieoficjalne. Niezależnie bowiem od ochłodzenia stosunków z prezydentem władze partii na wojnę z nim nie pójdą, a jak wynika z ustaleń „Do Rzeczy”, wszelkie medialne opowieści o przygotowywaniu konkurencyjnego wobec Dudy kandydata na wybory prezydenckie to tzw. fake newsy.

Polityków partii z Nowogrodzkiej irytują m.in. wplątanie PiS w zamieszanie wokół referendum konstytucyjnego, sprawy ustaw degradacyjnej i sądowych oraz wreszcie – brak woli wsparcia partii w wyborach samorządowych.

REFERENDUM

Zamieszanie wokół prezydenckiego pomysłu zorganizowania referendum konstytucyjnego to jeden z najgłośniejszych – choć nie najpoważniejszych – problemów w relacjach prezydenta Andrzeja Dudy z PiS. Pomysł przeprowadzenia referendum konstytucyjnego prezydent ogłosił rok temu 3 maja, bez konsultacji z władzami PiS, co w obozie dobrej zmiany wywołało sporą konsternację. Część wpływowych polityków tej partii mówiła wówczas, że to nie jest dobry pomysł, i ostrzegała, że partia może to zablokować w Senacie. – Referendum konsultacyjne ws. konstytucji to autorski pomysł prezydenta Andrzeja Dudy, wycofanie się z niego byłoby dobrym krokiem – stwierdził wówczas Jacek Sasin, szef Komitetu Stałego Komitetu Rady Ministrów.

Dwa tygodnie temu prezydent zorganizował na Stadionie Narodowym konferencję „Wspólnie o Konstytucji”, jednak nie wziął w niej udziału żaden polityk PiS. W ubiegłym tygodniu w święto 3 Maja Andrzej Duda zapowiedział jednak, że referendum się odbędzie, i wskazał jego termin. – Dziś zapowiadam, że w przewidzianym ustawą o referendum ogólnokrajowym terminie złożę w Senacie odpowiedni projekt postanowienia

prezydenta, czyli wniosek o przeprowadzenie referendum, którego data będzie określona na 10 i 11 listopada 2018 r. – powiedział prezydent i dodał, że apeluje do wszystkich o udział w referendum.

– Proszę, żebyście przyszli i w to wielkie święto powiedzieli, jakiej Polski chcecie, żebyście mogli potem o tym przekazać swoim wnukom, dzieciom, daj wam Boże także i prawnukom, żebyście mogli z dumą mówić – to ja także swoją opinią, swoim zdaniem kształtowałem tę ojczyznę, w której dzisiaj żyjecie – mówił.

Referendalne zapowiedzi prezydenta nadal wywołują w obozie Zjednoczonej Prawicy silne emocje. – Problem jest taki, że z jednej strony mamy deklaracje prezydenta o referendum kierunkowym, z drugiej prezydent chyba zignorował fakt, iż od dwóch lat PiS pracuje nad projektem ustrojowych zmian w państwie polskim. Na referendum konstytucyjne jest zdecydowanie za wcześnie – mówi prof. Pawłowicz. Inna z parlamentarzystek PiS działania prezydenta ocenia ostrzej. – Nic nie wskazuje, byśmy po wygranych wyborach, nawet w koalicji z Kukizem, mieli większość wystarczającą do zmiany konstytucji. Takie zagrywki, wchodzenie w sztuczny spór z PiS to tylko egotyczna gra prezydenta – mówi „Do Rzeczy”.

Po niedawnych spotkaniach marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego i prezydenta Andrzeja Dudy, oraz decyzjach władz partii sytuacja się nieco poprawiła. Przynajmniej na tyle, że PiS oficjalnie prezydenckiego pomysłu blokować nie będzie. – Nie będziemy rzucać prezydentowi kłód pod nogi, jeśli postawi wszystko na jedną kartę i się uprze. Jeśli referendum będzie miało niską frekwencję, będzie to problem przede wszystkim dla prezydenta. My nie będziemy tego blokować, ale będziemy dbali o to, by było powszechnie wiadome, że jest to inicjatywa prezydenta – mówi nam znany senator PiS.

– Duda zaczął już swoją kampanię wyborczą, w której jego młodzi doradcy najwyraźniej podpowiedzieli mu, że

FOT. AGNIESZKA SNIĘZKO/FAST NEWS

■ powinien zacząć dystansować się od PiS. Chyba zapomniał, że bez PiS prezydentem by nie został i nie zostanie. Warto, żeby trochę przystopował z zapędami, bo Piłsudskim to on nie będzie – mówi nam jeden z czołowych działaczy PiS.

W oficjalnych wypowiedziach obowiązuje jednak stanowisko lidera partii Jarosława Kaczyńskiego. – Prezes jasno polecił, by nie wchodzić w spory z prezydentem, unikać podnoszenia kwestii spornych, wyciszać konflikty. To rozumialiśmy. Może w naszym związku nie ma miłości, ale jesteśmy na siebie skazani – tłumaczy nasz rozmówca. I nieco ironicznie dodaje, że w ostatnim czasie prezydent Duda stał się większym problemem dla premiera Morawieckiego niż prezesa Kaczyńskiego. Na myśli miał m.in. zaangażowanie prezydenta w sprawę protestu rodzin dzieci niepełnosprawnych w Sejmie. Andrzej Duda spotkał się ze strajkującymi w budynku parlamentu rodzinami, składając obietnicę pomocy, zanim Matusz Morawiecki i członkowie jego rządu porozumieali się co do strategii

z listy wyborczej – mówi wpływowy polityk rządzącej partii.

Wreszcie chodzi także o weto ustawy degradacyjnej, dzięki której członkowie komunistycznej Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego traciliby swoje stopnie wojskowe. Duda uznał, że ustawa wprowadza odpowiedzialność zbiorową, i odmówił jej podpisania. – To pogorszyło relacje między premierem a prezydentem, ponieważ dla premiera Morawieckiego sprawa była ważna także na płaszczyźnie symbolicznej. A do tego Pałac Prezydencki nie informował nas, że ma do niej zastrzeżenia. Więcej, byliśmy przekonani, że z tą ustawą nie będzie problemu – mówi nam człowiek z bliskiego otoczenia Morawieckiego.

Po prezydenckim wecie Marek Suski, szef gabinetu politycznego prezesa Rady Ministrów, grzmiał w Superstacji: – Sądzę, że prezydent zrobił krok w kierunku, przynajmniej z jego punktu widzenia, elektoratu lewicowo-postkomunistycznego, tych, którzy służyli Rosji.

Suski już wcześniej nie ukrywał, że

pragmatycznie. Nasi informatorzy mówią, że relacje Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Dudy już dawno przestały przypominać „ojcowskie” – jak niektórzy mówili przed 2015 r. – ale lider partii ma zabiegać o to, by relacje Nowogrodzka – Pałac Prezydencki nie uległy pogorszeniu. – Na poziomie prezes – prezydent te relacje już po prezydenckim wecie w sprawie ustaw sądowych się ochłodziły, natomiast nadal odbywają się robocze spotkania i rozmowy. Na przykład zawetowanie ustawy degradacyjnej, choć prezesa zaskoczyło, nie spowodowało kryzysu podobnego do tego z lipca ubiegłego roku. Po wypowiedzi Marka Suskiego, że Duda może nie być prezydentem, pytałem prezesa, jak komentować tę sprawę, i prosił, by ten konflikt wyciszać – dodaje rozmówca „Do Rzeczy”.

INNY KANDYDAT? BZDURA

Kiedy latem ubiegłego roku prezydent zawetował ustawę PiS o regionalnych izbach obrachunkowych, partia zareagowała zaskoczeniem. Kolejne weta ustaw sądowych i przepychanki z PiS spowodowały, że w obozie prawicy uaktywnili się przeciwnicy Dudy.

Macierewicz, Marek Suski, a także Zbigniew Ziobro – skonfliktowany z Andrzejem Dudą od 2011 r., kiedy to Duda nie dołączył do obozu secesjonistów z Solidarnej Polski – oraz kilku polityków z dawnego zakonu PC to dziś główni przeciwnicy prezydenta w kularowych rozgrywkach w Zjednoczonej Prawicy. Część z nich uważa, że prezydent zaczął już grać nie tylko o drugą kadencję prezydencką, lecz także o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. W partyjnych kularach krąży już kolejna data (2020 r.), z którą prezes PiS miałby rzekomo wycofać się na polityczną emeryturę. Część starych wilków w PiS obawia się więc, że usamodzielnianie się prezydenta Dudy oznacza tak naprawdę walkę o przejęcie ich partii. Czy mając dostęp do ucha prezesa, zablokują poparcie dla niego jako kandydata w wyborach prezydenckich i będą woleli postawić np. na wicepremier Beatę Szydło? – Do wyborów jeszcze daleko, ale na chwilę obecną takie pogłoski, jakie docierają z różnych stron, zwłaszcza za sprawą mediów, są – delikatnie mówiąc – absurdalne. Pojawiające się rzekomo kandydatury – czy to Suskiego, czy byłej pani premier – dzisiaj nie są brane pod uwagę – mówi nam osoba z bliskiego otoczenia prezesa PiS.

Antoni Macierewicz, Marek Suski, a także Zbigniew Ziobro oraz kilku polityków z dawnego zakonu PC to dziś główni przeciwnicy prezydenta w kularowych rozgrywkach w Zjednoczonej Prawicy

rozmów i ewentualnych propozycji rozwiązania konfliktu. Wizerunkowo zyskał prezydent, stracił PiS.

Rząd oberwał także przez wystąpienia Marcina Mastalerka, byłego szefa kampanii prezydenckiej Dudy i byłego rzecznika PiS, a dziś – jak się powszechnie uważa – „nieoficjalnego doradcę wizerunkowego” Dudy. Mastalerek ostro zaatakował PiS przy okazji afery nagrodowej, a ostatnio w równie mocnych słowach odniósł się do sytuacji w PLL LOT, gdzie pracownicy grozili strajkiem. – Dzisiaj mówimy o tym, że w Sejmie jest projekt obniżenia pensji posłom, a z drugiej strony mamy do czynienia w PLL LOT, państwowej spółce, z sytuacją, w której dzieje się dokładnie na odwrót niż to, co obiecywało PiS – skomentował.

– Odebraliśmy to nie tyle jako słowa pana Mastalerka, ale jako czytelny przekaz prezydenta Dudy, który zdaje się będzie z panem Mastalerkiem współpracował coraz bliżej. To upokarzające dla nas. A prezes nie zapomniał też, jak wulgarnie pan Mastalerek potraktował go w 2015 r. i jakie były kulisy wyrzucenia tego pana

urzędujący prezydent, były partyjny kolega, stracił jego zaufanie. – W nadchodzących wyborach Andrzej Duda nie musi być kandydatem Prawa i Sprawiedliwości, nie musi być prezydentem, tak jak ja posłem czy ministrem – przestrzegął w rozmowie z telewizją Republika.

– Jak będzie za dwa lata? Różnie może być. Wszystko wskazuje na to, że Andrzej Duda będzie kandydatem PiS, ale inna decyzja także nie będzie żadnym dramatem dla kraju – mówił z kolei eurodeputowany PiS Zdzisław Krasnodębski, pytany przez portal wPolityce.pl o wybory prezydenckie w 2020 r.

Równie stanowczo wypowiadał się Antoni Macierewicz, którego środowisko od dawna prowadzi w mediach ostrą wojnę z prezydentem. – Można się zastanowić, czy prezydent Andrzej Duda, wetując tzw. ustawę degradacyjną, nie powrócił do formuły „grubej kreski”, wynikającej z Okrągłego Stołu, że pewne osoby, pewna formacja polityczna, będą do śmierci chronione – podsumował Macierewicz.

W ścisłym kierownictwie partii do całej sprawy podchodzi się nieco bardziej



European
Economic
Congress

10.
JUBILEUSZOWA EDYCJA

EUROPEJSKI KONGRES GOSPODARCZY

14-16 maja 2018 Katowice,
Spodek i Międzynarodowe Centrum Kongresowe
Metropolia GZM

GŁÓWNE NURTY TEMATYCZNE:

Nasza nowa Europa
Rewolucja technologiczna
Digitalizacja – w kierunku nowej gospodarki
Energia dla klimatu
Energetyka w Europie. Dylematy i wyzwania
Inwestycje
Przyszłość wolnego handlu w Europie i na świecie
Przyszłość miast i metropolii w Europie

PEŁNY PROGRAM NA:
www.eecpoland.eu

@EECKatowice

/EECKatowice

/EECPoland



#eec2018
#ekg2018





Kamila Baranowska

PiS doszedł do władzy, głosząc, że jest jedną, białą-czerwoną drużyną. Dzisiaj są w nim wewnętrzne podziały i sprzeczne interesy. Czy powrót do gry w jednej drużynie jest jeszcze w ogóle możliwy?

Polska jest jedna – pod takim hasłem odbyła się ostatnia konwencja Zjednoczonej Prawicy. Trudno jednak przekonywać Polaków do hasła o jedności, gdy tej jedności brakuje w samym obozie władzy. W kampanii wyborczej było pod tym względem łatwiej, bo wszyscy mieli ten sam, jasno zarysowany cel – wygraną. Teraz każdy ma własne cele, interesy, ambicje, które chce realizować, nie zawsze bacząc na resztę. To właśnie stąd często biorą się kłopoty obozu rządzącego. Jak przebiegają podziały wewnątrz obozu rządzącego? Czy są do przezwyciężenia? I czy jest wola, by te podziały zacząć zasypywać jak najszybciej, aby w 2019 r. nie obudzić się, gdy na to wszystko będzie już za późno?

MORAWIECKI KONTRA SZYDŁO

– Żebyśmy zwyciężyli, musimy być razem, ciężko pracować i być wierni tym wartościom, które zbudowały nasz obóz i podstawy suwerenności – mówiła wice-premier Beata Szydło podczas ostatniej konwencji. – Musimy być nadal białą-czerwoną drużyną.

Do kogo mówiła? Część polityków PiS uważa, że przede wszystkim do premiera Mateusza Morawieckiego. Konflikt między byłą premier i obecnym premierem ciągnie się bowiem od dawna i wciąż przybiera na sile. Beata Szydło ma żal do Morawieckiego, że kiedy wybuchła sprawa premii dla ministrów, ten najpierw schował głowę w piasek, nie chcąc brać odpowiedzialności za decyzje poprzedniego rządu, a później ostentacyjnie odciął się od swojej poprzedniczki. Zapowiedział, że w jego rządzie żadnych premii i nagród nie będzie, a do tego w ramach większych oszczędności ogłosił zmniejszenie liczby wiceministrów w swoim rządzie. Efekt był taki, że Szydło musiała nagród dla swoich ministrów bronić sama, co wyszło jej tak sobie (słynne



Co się stało z jedną drużyną?

słowa, że nagrody się „po prostu należały”). Jej sytuacja się dodatkowo pogorszyła, gdy kilka tygodni później Jarosław Kaczyński polecił wszystkim politykom oddać przyznane nagrody.

Wśród sympatyków Szydło powtarzana jest spiskowa teoria dotycząca tego, że sprawa nagród wypłynęła do mediów nieprzypadkowo. – Nagrody były przyznawane od 2016 r., ale z jakiegoś powodu aferę z tego zrobiono właśnie teraz, już po zmianie premiera. Nie jest to dziwne? – pyta jeden z członków rządu Beaty Szydło.

Miało chodzić o uczynienie poważnej skazy na wizerunku byłej premier. Cieszy się ona bowiem dużą popularnością w elektoracie PiS, co nie budzi entuzja-

zmu w otoczeniu premiera. Szydło wciąż pozostaje politykiem z premierowskim potencjałem, co znaczy, że gdyby Morawieckiemu powinęła się noga, może go zastąpić. I wiadomo, że była premier po cichu wciąż na to liczy.

Sprawa nagród rzeczywiście nadzarpnęła nieco wizerunek skromnej premier Szydło, która lubi mówić o potrzebach zwykłych ludzi. Mimo to wśród działaczy cieszy się niesłabnącą sympatią. Było to widać podczas konwencji Zjednoczonej Prawicy. Brawa i żywiołowe owacje, które dostała, wychodząc na mównicę, nie mogły umknąć uwadze otoczenia premiera Morawieckiego. Większe dostał chyba tylko Jarosław



ją za to, co zrobiła jako premier, a przede wszystkim za to, że dała radę, będąc atakowana z wielu stron – i przez media, i przez opozycję, i przez Brukselę. Zdała też najważniejszy egzamin. O tym, że na fotelu premiera zastąpi ją nie sam Kaczyński, lecz Morawiecki, dowiedziała się w ostatniej chwili. Zniosła to z godnością, co dodatkowo umocniło jej pozycję w oczach prezesa. Dzisiaj Morawiecki i Szydło to politycy, którzy w układance prezesa Kaczyńskiego pełnią ważne, jeśli nie najważniejsze, funkcje. Dobrze widać to było podczas ostatniej konwencji. Prezes Kaczyński siedział na niej pomiędzy Beatą Szydło i Mateuszem Morawieckim.

Szydło wciąż pozostaje kimś w odwodzie, gdyby Andrzej Duda zdecydował się pójść inną drogą niż PiS. To nie do końca pasuje Zbigniewowi Ziobrze, który sam chętnie zostałby kontrpropozycją dla Andrzeja Dudy. Na to jednak się nie zanoszą. W jednej z prywatnych rozmów Kaczyński miał żartować, że jego i Ziobrę łączy to, iż mają bardzo duże elektoraty negatywne, co uniemożliwia im bycie twarzą jakiegokolwiek skutecznej kampanii wyborczej. Poza tym, jak słyszymy, jeśli prezes nie do końca może być pewien Andrzeja Dudy, to tym bardziej nie będzie pewien Ziobry, który już raz okazał się nielojalny. Dzisiaj ich współpraca układa się dobrze, ale nie brakuje takich, którzy sączą do ucha prezesa teorie, że za wszystkie kłopoty Zjednoczonej Prawicy odpowiada Solidarna Polska – począwszy od ustaw sądowych, przez które trwa konflikt z Brukselą, poprzez nowelizację ustawy o IPN, która powstała w resorcie sprawiedliwości, aż po sprawę nagród, za które w ramach KPRM odpowiedzialna była minister Beata Kempa.

Pozycja Zbigniewa Ziobry mimo to jest jednak stabilna. Minister ma niepisany sojusz z Beatą Szydło, która wspiera go w rywalizacji z Morawieckim o wpływy w spółkach Skarbu Państwa. Ten sojusz zawiązał się jeszcze w czasie, gdy Szydło była premierem.

Najbardziej widoczny konflikt Ziobry – z prezydentem i jego otoczeniem – trwa od czasu wet w sprawie ustaw sądowych. Paradoksalnie konflikt ten działa na jego korzyść, jeśli chodzi o przychyłność prezesa Kaczyńskiego. – Prezes widzi, jak Ziobro się stara, i docenia to. Poza tym, jak wiadomo, lubi mieć w zanadrzu polityków, którymi równoważy wpływy tych, którzy za bardzo rosną w siłę. Ziobro jest takim straszakiem i na Dudę, by nie czuł się zbyt

pewnie, i na Morawieckiego, by nie myślał, że obsadzi swoimi ludźmi wszystko jak leci – opowiada nam jeden z członków rządu.

NAJWIERNIEJSI Z WIERNYCH

O ile Kaczyński dał Morawieckiemu wolną rękę w całej sferze gospodarczej, o tyle w resortach siłowych postawił na zaufanych z tzw. Zakonu PC: Joachim Brudziński jako szef MSWiA, Mariusz Błaszczak jako minister obrony, Krzysztof Jurgiel jako minister rolnictwa, Krzysztof Tchórzewski jako minister energii. Jest wreszcie Marek Suski, który jako szef gabinetu politycznego premiera Morawieckiego jest de facto oczami i uszami prezesa w KPRM. Kaczyński liczy się ze zdaniem ludzi z Zakonu PC. To ci politycy najmocniej namawiali go, by stanął na czele rządu po rekonstrukcji. Byli rozczarowani tym, że postawił na Morawieckiego, który jest dla nich człowiekiem z zewnątrz, któremu nie do końca ufają. Dopóki Jarosław Kaczyński jest z niego zadowolony i publicznie go chwali, dopóty siedzą cicho. Jeśli tylko powinien mu się noga, znów zaczynają się pielgrzymki na Nowogrodzką i przekonywanie Jarosława, że tylko on jest w stanie poprowadzić PiS do zwycięstwa. – To nie jest tak, że oni mówią to, by się podliznąć. Oni naprawdę wierzą w prezesa i uważają, że jest najwybitniejszym politykiem i tylko on jest w stanie poprowadzić rząd tak, by wszystko było, jak trzeba. Na szczęście prezes puszcza ich prośby mimo uszu, bo wie, że jako premier utrudniłby PiS wygranie kolejnych wyborów – opowiada jeden z polityków PiS.

W wywiadzie dla „Do Rzeczy” Marcin Mastalerek, były rzecznik PiS, który był współautorem dwóch zwycięskich kampanii wyborczych w 2015 r., wskazywał, że tym, czego dziś najbardziej brakuje obozowi rządzącemu, jest jedność. – Przy tej sprawie [nagród dla ministrów – przyp. red.] widać, jak bardzo PiS brakuje tego, co było jego siłą w 2015 r. – bycia jedną drużyną. Jak się gra razem, to można z takich kryzysów dużo zrećniej wychodzić, np. rozpiąć pewne role, ktoś może się tłumaczyć, inny odciąć czy zaatakować. Jeżeli miałbym doradzać PiS, to zwróciłbym uwagę na jedno, nie mówcie cały czas premier Morawiecki to, premier Szydło tamto, wróćcie do drużyny. Bo to wielki atut – radzi.

Na razie nie widać, by PiS to dostrzegał. A to nie wróży dobrze Zjednoczonej Prawicy w przededniu maratonu wyborczego.

Kaczyński. Morawiecki na taki entuzjazm w partii wciąż liczyć nie może.

Szef rządu może za to liczyć na wicepremiera Jarosława Gowina, z którym od początku ma bardzo dobre relacje. Obaj dobrze dogadywali się jeszcze jako ministrowie w rządzie Szydło. Już wtedy widać było, że Gowin gra na Morawieckiego. Obecny szef rządu mógł też liczyć na wsparcie ze strony wicepremiera Piotra Glińskiego. Zarówno Gowin, jak i Gliński nie mogli pogodzić się z tym, że podlegają Szydło, którą traktowali nieco z góry jako niedecyzyjną i w pełni zależną od kierownictwa PiS. Dzisiaj ta trójka nadal się wzajemnie wspiera.

Pozycja Morawieckiego u Jarosława Kaczyńskiego jest wciąż bardzo mocna. Wbrew temu, co twierdzili niektórzy komentatorzy, nie naruszył jej spór wokół nowelizacji ustawy o IPN. Wręcz przeciwnie, Kaczyński uznał, że jak na osobę tak świeżą w polityce Morawiecki poradził sobie w tej sytuacji całkiem nieźle. Prezes jest też zadowolony z tego, jak premier prowadzi rozmowy z Komisją Europejską.

SZYDŁO CIĄGLE W ODWODZIE

Jarosław Kaczyński, choć miał przez chwilę pretensje do Beaty Szydło o sprawę nagród, to nadal ma do niej zaufanie. Ceni



Tomasz P. Terlikowski

Czy Warszawa i Wrocław warte są mszy? Czy aby w nich wygrać wybory, rzeczywiście trzeba przyjmować lewicowy światopogląd? A może polska prawica powoli przejmuje styl myślenia lewicy?

Henryk IV nie uchodzi za wzór stałości w poglądach. Ten francuski władca, aby tylko uzyskać koronę, kilkakrotnie zmieniał wyznanie. Przestawał być protestantem, by zostać katolikiem, potem wracał do bycia hugenotem i z powrotem zostawał wiernym Rzymu. Ostatecznie wybrał katolicyzm, bo – jak przyznawał – „Paryż wart był mszy”, a w stolicy Francji, według edyktu nantejskiego, panować miał katolicyzm. To zatem nie sumienie, ale pragnienie władzy sprawiło, że miał zostać katolikiem, i choć w szczerość jego nawrócenia uwierzyli biskupi, to lud miał poważne wątpliwości, które zresztą – wiele na to wskazuje – przyczyniły się do jego śmierci. I nie wchodząc w szczegóły historyczne ani nawet nie porównując prawicowych polityków do zasłużonego dla Francji Burbona, można i trzeba powiedzieć, że także oni wchodzi na drogę instrumentalnego przyjmowania i porzucania religii, którą wytyczył władca Francji.

„JEŚLI CHODZI O IN VITRO, TO POPIERAM”

Doskonałym tego przykładem są wypowiedzi dwóch polityków mocno kojarzonych z prawicą, którzy dla sukcesu w wyborach samorządowych zdecydowali się głosić poglądy jednoznacznie obce Kościołowi, na którego nauczanie chętnie się powołują w innych sprawach i którego wiernymi synami się określają. Kazimierz Michał Ujazdowski, aby uzyskać poparcie Platformy Obywatelskiej w wyborach na prezydenta Wrocławia, przyznał, że jeśli rada miasta dojdzie do wniosku, że należy finansować in vitro, to on nie będzie protestował. – Na razie Wrocław nie okazuje empatii wobec ludzi borykających się z bezpłodnością. Ja w żadnym razie nie będę oponował przeciwko decyzjom rady miasta, która

będzie znajdować – mam nadzieję – skuteczne formy radzenia sobie z bezpłodnością – mówił Ujazdowski podczas prezentacji swojej kandydatury. Zaakceptując decyzję większości rady miasta, która zostanie wypracowana w wolnej debacie, także decyzję budżetową. To nie jest decyzja prezydenta. Chcę odejść od jednostronnego, monarchicznego sprawowania władzy we Wrocławiu – uzupełniał. Kilka dni później zaś w Radiu TOK FM dodawał, że... choć ma zastrzeżenia do obecnej ustawy dotyczącej in vitro, to dotyczą one... wyłącznie tego, że powinna być ona zarezerwowana dla małżeństw, w ogóle nie odniósł się natomiast do kwestii niszczenia i zamrażania zarodków. Jest to tym bardziej zaskakujące, że jeszcze kilka lat temu Ujazdowski opowiadał się za projektem ustawy, który dopuszczał nawet kary dla klinik i lekarzy, którzy bezprawnie niszczyli zarodki. Teraz jednak, gdy Platforma Obywatelska postawiła jasny warunek: albo wsparcie

w wyborach, albo... sprzeciw wobec in vitro, Ujazdowski wybrał wsparcie w wyborach.

W jego przypadku można jeszcze mówić o uleganiu naciskom politycznych partnerów. Tego „usprawiedliwienia” nie ma jednak w przypadku kandydata na prezydenta Warszawy z ramienia PiS Patryka Jakiego, który w wywiadzie dla TVN24 zupełnie otwarcie opowiedział się za in vitro. – Jeżeli chodzi o samo in vitro: popieram – oznajmił. A dopytywany o to, ile środków powinno być na to przeznaczonych z budżetu, odpowiedział, że trzeba się nad tym „poważnie zastanowić”. Deklaracja ta zaś jest o tyle szokująca, że gdy rok temu Platforma Obywatelska doprowadziła do finansowania in vitro z budżetu miejskiego, cały klub PiS był przeciwko, powołując się przy tym na nauczanie Kościoła. W 2012 r. zaś sam Patryk Jaki wspierał projekt zakazujący mrożenia zarodków w procedurze in vitro i przekonywał, że to znakomity pomysł, będący „kompro-



Samorząd wart mszy?



FOT. MACIEJ LUCZAKIEWICZ/REPORTER

kowicie zakazującym aborcji, który został odrzucony pod pozorem zapisów dotyczących karalności kobiet. Dlaczego twierdzą, że była to przyczyna pozorna? Odpowiedź jest prosta: posłowie mogli ten zapis odrzucić i procedować ustawę dalej, ale zamiast tego wybrali odrzucenie całego projektu. Obecnie, choć projekt ustawy popartej przez 800 tys. osób, jest identyczny z tym, który PiS wspierał kilka lat temu, klub parlamentarny robi wszystko, żeby przesunąć głosowanie w jego sprawie albo... zrzucić decyzję w tej sprawie na Trybunał Konstytucyjny. I nikt nie wspomni o tym, że jeśli Trybunał nawet podejmie w tej sprawie decyzję, to i tak prawo stanowić będzie musiał parlament, a to oznacza, że jest bardzo mało prawdopodobne, by zrobił to w tej kadencji.

Nie jest także przypadkiem, a każdy, kto zajmuje się w mediach obroną życia, wie, że od jakiegoś czasu biuro prasowe Prawa i Sprawiedliwości nie dopuszcza do wypowiedzi w sprawie aborcji eugenicznej polityków, którzy... mają w tej sprawie poglądy jednoznacznie pro-life. Zamiast tego odbywają się rytualne harce tych polityków PiS, którzy od dawna opowiadają się za aborcją eugeniczną albo wręcz uznają jej zakaz za „niehumanitarny”. Prominentni politycy PiS, a także liderzy opinii nieustannie atakują zaś obrońców życia, przypisując im wyłącznie polityczne aspiracje, dzielenie prawicy, a nawet moskiewskie sympatie, jednocześnie zapominając, że... identyczne projekty zgłaszali oni za rządów PO i wtedy PiS je jednoznacznie wspierał.

Nie jest to zresztą jedyna kwestia, w której PiS zmienił zdanie. Gdy Platforma Obywatelska ratyfikowała konwencję stambulską, politycy prawicy jednoznacznie zapewniali, że zostanie ona wypowiedziana, gdy oni dojdą do władzy, ale... nic takiego się nie stało, a prezes PiS kilka tygodni temu zapewnił, że nic takiego się nie stanie. W kwestii in vitro, choć i ta sprawa miała być ponownie rozważana, także nie doszło do żadnych zmian. A historia Prawa i Sprawiedliwości uświadamia niestety, że nie jest to przypadek. Gdy za poprzednich rządów PiS istniała szansa na taką zmianę konstytucji, która chroniłaby życie, to właśnie długotrwała obstrukcja liderów tej partii, a także niechęć do zmian prezydenta Lecha Kaczyńskiego uniemożliwiły tę zmianę. PiS, i to niestety jest postawa konse-

kwentna, chętnie składa deklaracje, ale niechętnie się z nich wywiązuje.

DROGA CHADECKA?

Skąd taka postawa? Jej źródła, jak się wydaje, są dwa. Pierwszym jest realny, a nie deklaracyjny światopogląd polityczny jej liderów. Otóż nie są oni w żadnym razie konserwatystami, a jedynie antykomunistycznymi i antysystemowymi państwowcami. Kwestie światopoglądowe, co zresztą o Jarosławie Kaczyńskim mówi się wprost, ich „nie interesują”, nużą ich i nie znajdują u nich one zrozumienia. Konserwatywny i katolicki sztafaż jest im konieczny, by uzyskać wsparcie Kościoła (tak istotne, także w wyborach samorządowych) i głosy konserwatywnych wyborców (których wciąż jeszcze w Polsce nie brakuje), ale nie oznacza on rzeczywistego kośca tej partii (nawet jeśli nie brakuje w niej wielu autentycznie wierzących polityków). I dopóki wierzący katolicy i konsekwentni konserwatyści sobie tego nie uświadomią, dopóty będą żyli w złudzeniu, że PiS w sprawach światopoglądowych może cokolwiek zmienić na lepsze. Ich jedyną zasługą może być to, że jeśli nie będzie się im to opłacać, to nie zmienią niczego na gorsze.

Drugi powód jest bardziej ogólny. Otóż tak się składa, że od wielu już lat cała zachodnia prawica podlega procesowi liberalizacji, by nie powiedzieć wprost: zlewicowieniu. Dlaczego tak się dzieje? Otóż dlatego, że lewica wygrała wojnę o kulturę i myślenie ludzi, a to oznacza, że i wyborcy, i działacze – nawet jeśli z jakichś powodów głosują na prawicę – w kwestiach światopoglądu czy moralności myślą i działają jak lewica. W Hiszpanii Partia Ludowa nie zmieniła ani jednego z radykalnie lewackich pomysłów premiera Zapatero, w Wielkiej Brytanii to konserwatyści wspierali i wspierają najbardziej nawet antyrodzinne i nieracjonalne pomysły lewicowców. Jeśli w Polsce tak nie jest, to nie dlatego, że mamy tak świetnych i wiernych nauczanie Kościoła oraz konserwatyzmowi polityków, ale dlatego, że oni wiedzą, iż społeczeństwo jest bardziej konserwatywne. Gdy tylko się zorientują, że jest inaczej, to – podobnie jak Jaki czy Ujazdowski w dziedzinie in vitro – zmieniają swoje zdanie także w innych kwestiach. A każdy, kto odważy się o tym mówić, zostanie przez wiernych plemiennych wyborców, okrzyknięty... „rozbijaczem jedności prawicy”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

misem ponad podziałami w sprawie niezwykle istotnej, bo dotyczącej sumienia”. Czy od tego czasu (a pytanie to dotyczy zarówno zakazu mrożenia zarodków, jak i sprzeciwu wobec finansowania in vitro) coś się zmieniło? Czy w klinikach in vitro nie mrozi się już nadliczbowych zarodków? Czy Kościół przestał się sprzeciwiać tej procedurze? Nic o tym nie wiadomo. A z tego wynika niestety, że jedynym powodem, dla którego poseł Jaki zmienił swoje poglądy w tej sprawie, wystawiając na pośmiewisko swoich kolegów z rady miasta, jest... uznanie, że tylko z liberalnymi, niekatolickimi poglądami może zaważać o Warszawie.

PRAWICA DEKLARATYWNA

Nie jest to zresztą w przypadku PiS nic zaskakującego. Od jakiegoś czasu widać wyraźnie, że rozwiązania, które partia ta popierała, gdy nie miały one szans na polityczną realizację na etapie władzy, są systematycznie odrzucane. Tak było z projektem Ordo Iuris cał-



Rafał A. Ziemkiewicz

Polscy oficjele próbują nas uspokajać, że amerykańska ustawa 447 nie ma znaczenia. A jest ona próbą złamania Polski i ściągnięcia haraczu

Gdyby jakiś polski milioner umarł bezpotomnie w Nowym Jorku, nie pozostawiając testamentu, i po spadku po nim zgłosiłaby się fundacja z Warszawy, argumentując, że ma w statucie opiekowanie się bezpieczeństwa mieniem po Polakach zmarłych w szerokim świecie, Amerykanie (jak zresztą i każdy inny kraj) skwitowałiby jej roszczenia gromkim śmiechem. W odwrotną stronę jednak tak to nie działa. Dowodem, jak bardzo inaczej jest w odwrotną stronę, było niedawne przeprowadzenie przez obie izby amerykańskiego parlamentu ustawy, którą przyjęło się nazywać – od numeru, który miała w Senacie, ustawą 447.

Nie mówi ona nic o Polsce, ale wszyscy wiedzą, o co chodzi. Oczywiście poza polskimi oficjami, którzy z typowym głupekowatym optymizmem usiłują uspokoić nas, że nie ma żadnych powodów do obaw i ustawa jest w ogóle pozbawiona praktycznego znaczenia. Zwłaszcza to ostatnie budzi pusty śmiech. Można oczywiście wskazać pewne aberracje amerykańskiego systemu, ale ustaw z zasady pozbawionych praktycznego znaczenia tam się nie proceduje. To jest akurat nasza wyłączna specjalność.

Ustawa 447 daje departamentowi stanu i innym organom amerykańskiego państwa formalne „umocowanie” do wspierania roszczeń majątkowych amerykańskich obywateli i organizacji w Europie. Jeśli prezydent Trump ją podpisze, kończąc ścieżkę legislacyjną – oto prawdziwy test, ile warte były jego deklaracje o przyjaźni wobec Polski – to nowojorscy szantażyści, występujący jako reprezentacja międzynarodowej społeczności żydowskiej, zyskają bardzo potężne narzędzie do realizacji wielkiego skoku na „pożydowskie mienie bezspadkowe” na terenie Polski. Celu, ku któremu z podziwu godną konsekwencją zmierzają krok po kroku od ponad 20 lat, praktycznie odkład tylko upadek komunizmu otworzył



Protest Młodzieży Wszechpolskiej przeciw ustawie nr 447 pod Ambasadą USA FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

447, czyli wielki skok na Polskę

możliwość sięgnięcia po nasze kamienice, place i inne mienie.

Pamiętam jeszcze wizyty przedstawicieli amerykańskich organizacji żydowskich, sondujących tę sprawę, tuż po powołaniu rządu Hanny Suchockiej – wydaje mi się, że pierwsze, choć nie dam głowy, czy roszczeń nie podnoszono już wcześniej. Najpierw były dobrotliwa perswazja, moralny szantaż i kuszenie polskich polityków, ale przyszło i do walnięcia pięścią w stół, gdy przewodniczący Światowego Kongresu Żydów (WJC) Israel Singer publicznie oznajmił: „My nie dopuścimy, żeby Polacy po nich [ofiarach Holokaustu – przyp. R.A.Z.] dziedziczyli, Polska będzie atakowana i poniżana na arenie międzynarodowej dopóty, dopóki nie zaspokoi naszych roszczeń”. Dzisiaj ta wypowiedź jest upórcoznie usuwana z Wikipedii, choć

jej autentyczność nie budzi wątpliwości. Wraca jednak też w rozmaitych sytuacjach: np. kiedy pojawiły się plotki o odkryciu mitycznego „złotego pociągu”, który jakoby mieli zakopać Niemcy w 1945 r. gdzieś w Sudetach, następca Israela Singera (mówiąc nawiasem, pozbawionego stanowiska w atmosferze wyciszanego przez Żydów skandalu po odkryciu, jak to się eufemistycznie nazywa, nieprawidłowości w zarządzaniu przez niego „odzyskanym” majątkiem) z punktu ogłosił, że skarb należy się WJC, ponieważ „Polska dotąd nie wypłaciła ofiarom Holokaustu żadnych rekompensat”.

Media niezyciwe Polsce kłamliwie łączą roszczenia organizacji żydowskich z reprzywatyzacją, szermując takimi pojęciami jak „sprawiedliwość”, „spadkobiercy” i „odzyskiwanie”. W istocie z restytucją

własności nie ma to nic wspólnego – chyba że z taką à la mec. Nowaczyc. Roszczenia prawdziwych spadkobierców uregulowała zresztą umowa międzypaństwowa z roku 1960, na mocy której PRL zapłaciła 40 mln dol. za pozostawione tu mienie należące do obywateli USA, a rząd amerykański zobowiązał się zaspokoić wszelkie ich roszczenia we własnym zakresie. Ustawa 447 tego mienia nie dotyczy. Powstała, bo chciwe oko nowojorskich spryciarzy spościło na majątku niemającym prawnych spadkobierców.

@

Wracając do hipotetycznego przykładu, użytego na początku. Pytanie, dlaczego gdyby Polacy (albo ktokolwiek inny) zgłosili pretensje do jakiegoś „bezsadkowego” mienia po rodakach, zostaliby wyśmiani, a Żydów w analogicznej sytuacji nikt nie wyśmiewa, jest pytaniem retorycznym. Warto jednak zastanowić się, dlaczego tak jest.

Odpowiedzi są dwie. Oficjalna to wyjątkowość sytuacji i kwestie moralne. Holokaust od kilkudziesięciu lat przedstawiany jest jako zbrodnia wszech czasów, zbrodnia absolutnie wyjątkowa w dziejach, będąca na dodatek logicznym, nieuniknionym zwieńczeniem dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa i opartej na nim cywilizacji. Ta właśnie narracja ma nadawać współcześnie żyjącym Żydom wyjątkowe prawa, a wszystkim innym – szczególnie przedstawicielom wspomnianej cywilizacji wyrosłej ze skażonego antysemityzmem chrześcijaństwa – wyjątkowe obowiązki wobec Żydów. To jest podstawowa, nieusuwalna przyczyna polsko-

-żydowskiego sporu, bo w tak pisanej historii nie ma miejsca na czyjekolwiek inne poza żydowskimi cierpienie. Jak bardzo pilnowana jest nienaruszalność tego podstawowego dogmatu holokaustianizmu pokazuje choćby obecna nagonka na Natalie Portman, gdy stwierdziła, że Holokaust był tylko jednym z wielu straszliwych ludobójstw w historii i nie daje Żydom żadnych szczególnych uprawnień, np. do brutalnego tłumienia wystąpień Palestyńczyków.

Nowojorskie organizacje mówią: może i nie ma formalnego prawa, które by uzasadniało roszczenia majątkowe „po narodowości”, ale wypada, żebyście dobrowolnie przekazały mienie po Żydach-ofiarach nam, ich potomnym, a my przeznaczymy je na pomoc dla żyjących jeszcze ocalonych i kultywowanie pamięci.

Jest tu jeden, delikatnie mówiąc, słaby punkt: majątku domagają się bynajmniej

nie potomkowie ofiar, ale potomkowie tych akurat Żydów, którzy w najlepszym przypadku do Zagłady odnieśli się z zupełną obojętnością, by wspomnieć tylko historię statku „St. Louis”, beznadziejne apele Karskiego i męczeńską śmierć Żygielbojma, a niekiedy – można wręcz powiedzieć – sfinansowali ją, bo bawarski krzykacz nie podpaliłby świata, gdyby nie dostał w latach 30. hojnych pożyczek od żydowskich bankierów z USA.

Odpowiedź oficjalna sobie, a prawda jest inna: żydowskie organizacje dysponują ogromną siłą medialną i mogą jej użyć do całkowitego zniszczenia dobrego imienia każdego. To dlatego ugięły się przed ich roszczeniami szwajcarskie banki czy firmy, takie jak IBM albo francuskie SNCF. Zgodnie z biznesową logiką – bardziej ci się opłaca zapłacić żądany haracz, niż się stawiać, bo wtedy stracisz dużo więcej.

Jest to logika identyczna jak w przypadku gangsterów proponujących „ochronę” restauratorom czy sklepikarzom – w słowach Singera o „atakowaniu i upokarzaniu Polski na arenie międzynarodowej” wyrażona wprost.

I podobna „dobrowolność” przekazywania żydowskiego mienia bezspadkowego na rzecz żydowskich organizacji. Dobrowolność, w której duchu utrzymana jest „deklaracja z Teresina”, będąca formalną podstawą prawa 447. Niestety – podpisana także przez Polskę, ręką ówczesnego wiceministra spraw zagranicznych, Władysława Bartoszewskiego.

@

Wspomniane wyżej wizyty żydowskich działaczy na początku istnienia III RP przyniosły skutki, nad którymi w kontekście ustawy 447 warto się dzisiaj pochylić. Rząd Polski zgodził się uznać współczesną gminę żydowską za spadkobiercę mienia po przedwojennych gminach żydowskich.

Oznaczało to obsypanie gminy prawdziwym deszczem złota, bo przed wojną żydów było w Polsce ok. 3 mln, a obecnie 5 do 10 tys. W przeciwieństwie do zwrotów dokonywanych Kościołowi katolickiemu tu wszystko odbywało się w dyskrej i wartości zwracanego mienia nigdy nie upubliczniono. Jednak według ustaleń Wojciecha Surmacza i izraelskiego dziennikarza Nissana Tzura było to co najmniej 500 różnych nieruchomości plus ponad 82 mln zł rekompensaty w gotówce.

Surmacz i Tzur ustalili, że wykorzystanie tego majątku pełne było – znów sięgnijmy po ten eufemizm – nieprawidłowości. Nieruchomości, wbrew obietnicom towarzyszącym ubieganiu się o zwrot, bynajmniej nie posłużyły do celów religijnych, ale z punktu sprzedawane były pod deweloperkę, supermarkety etc., pieniądze zaś wsiąkły w przemysłny system inżynierii finansowej różnych splecionych fundacji, funduszy i rad, w sporej części trafiając do amerykańskiej centrali WJC. Szczególnie haniebne było sprzedawanie terenów odzyskanych jako miejsca pochówku, z których potem robotnicy wyrzucali czaszki i piszczele w foliowych workach – a przypomnijmy, że to właśnie nakazywany przez judaizm szacunek dla doczesnych szczątków był powodem, dla którego odpowiedzialny za haniebne zaoranie dawnych kirkutów rabin Schudrich wraz z innymi uniemożliwił ekshumacje w Jedwabnem, niezbędne do wyjaśnienia prawdy o zbrodni.

Publikacja wzbudziła oczywiście szum, gmina żydowska wszyskiemu gołosłownie zaprzeczyła, artykuł stał się przedmiotem wewnętrznego śledztwa w amerykańskiej części koncernu „Forbesa”, którego skutkiem autorom pogratułowano na piśmie „solidnie wykonanej pracy”. Dostali też nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za najlepsze dziennikarstwo śledcze roku 2013. Nikt nie próbował kwestionować podanych faktów – poza wspomnianym gołosłownym „nieprawdą jest” – ani pozywać do sądu. Jednak też nikt nie dał już odpowiedzieć dziennikarzom na gołosłowne zaprzeczenia. Bohaterowie tekstu i opisanych w nim przekrętów odwołali się bowiem bezpośrednio do niemieckiego wydawcy w Berlinie, z USA wsparli ich m.in. przewodniczący WJC Lauder i Abraham Foxman z Anti-Defamation League, i „Forbes” pokornie za publikację przeprosił, a dziennikarzom podziękował „za porozumieniem stron”.

To w pigułce przedsmak tego, co by się stało – teraz już na skalę miliardów – gdyby międzynarodowym żydowskim szantażystom udało się Polskę złamać. Przyznam, że przez wiele lat uważałem to za nieprawdopodobne, lokując ich roszczenia na dalekim miejscu listy zagrożeń dla Polski. Nie doceniłem sprawności i uporu, z jakim w drodze po haracz z Polski pokonują kolejne etapy i przeszkody. Dzisiaj widzę, że i ja, i wszyscy, którzy sądzili tak jak ja, popełniliśmy błąd.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Makowski

Tak zwane szyfrowane komunikatory, z których masowo korzystają polscy politycy, mają poważne luki w systemach bezpieczeństwa

Ministrowie, wiceministrowie, posłowie, senatorowie. Od lewa do prawa, od rządu do opozycji. Do tego czołowi dziennikarze. Wszyscy korzystają z szyfrowanych komunikatorów, które przynajmniej teoretycznie dają poczucie bezpieczeństwa i prywatności. A przecież w epoce po coming outcie Edwarda Snowdena, przeciekach z WikiLeaks, skandalu ze sprzedażą danych użytkowników Facebooka agencji Cambridge Analytica czy udowodnionej ingerencji obcych wywiadów w kampanie wyborcze innych państw nie istnieje już pojęcie „całkowicie prywatnej komunikacji”. Nawet najwięksi gracze na rynku mają słabe strony, furtki, które umożliwiają kradzież korespondencji albo – choć nie komunikują o tym wprost – możliwość sprzedaży danych użytkownika do celów marketingowych. Czy nasi politycy biorą to pod uwagę, przekazując między sobą korespondencję o wadze państwowej?

TAJNE PRZEZ POUFNE

Można w pewnym przybliżeniu przyjąć, że od kiedy wynaleziono pismo, rozpoznać się równoległy wyścig mający na celu utajnienie przesyłanych informacji. Starożytni Spartanie korzystali ze skytali, polegających na nawijaniu pergaminu na odpowiedniej grubości laskę w celu odczytania komunikatu. Rzymianie wprowadzili w życie „szyfr Cezara”, podmieniający litery tekstu jawnego innymi, oddalonymi o stałe miejsce w alfabecie łacińskim. Gdyby jednak zostawić na boku prymitywne metody i poszukać rozwiązań analogicznych do współczesnych komunikatorów internetowych, najbliższe im do zbudowanego w 1943 r. Zielonego Szerszenia. Ten ważący ponad 50 ton system cyfrowy, uniemożliwiający Niemcom przechwytywanie międzykontynentalnych rozmów telefonicznych, opracowano na potrzeby armii USA i wykorzystywano głównie do narad pomiędzy Winstonem Churchilllem i Franklinem D. Rooseveltem. Dzisiaj jednak

politycy nie mogą się cieszyć podobnym komfortem. A gdy korzystają z darmowych aplikacji, powinni sobie zdawać sprawę z zagrożeń, które to niesie.

– Powszechnie używane komunikatory, również te szyfrowane, są z pozoru darmowe, ale w rzeczywistości ich model biznesowy opiera się na zarabianiu na danych użytkowników i przekazywaniu ich do celów marketingowych – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Jakub Kokoszka, jeden z twórców polskiego szyfrowanego komunikatora Uscrypt. Dopowiada, że popularna aplikacja WhatsApp, zanim w 2014 r. została nabyta przez Facebook, funkcjonowała w modelu płatnym. Obecnie, gdy wczytamy się w regulamin usługi, dowiemy się, że aplikacja wymienia wiadomości ze swoim właścicielem, czyli cyfrowym gigantem Marka Zuckerberga. Ten z kolei bardzo często udostępnia dane służbom – dzieje się tak w prawie połowie zapytań o dostęp do informacji poufnych na całym świecie. Współpraca z organami ścigania to tylko połowa problemu z WhatsAppem. W rzeczywistości obiecujący „pełne zabezpieczenie kryptograficzne” komunikator funkcjonuje jako pełnoprawne narzędzie marketingowe,

udostępniające podmiotom trzecim metadane użytkownika, jego sieć kontaktów, oraz zachowujące na własnych serwerach historię rozmów.

VIBER

– W bezpieczeństwie IT obowiązuje także zasada, iż im bardziej popularna jest aplikacja i im większa liczba ludzi z niej korzysta, tym większa motywacja złamania jej bezpieczeństwa przez cyberprzestępców i agencje rządowe, tym samym większe ryzyko utraty prywatności dla użytkowników aplikacji – ostrzega dr Mariusz Stawowski, dyrektor działu technicznego firmy CLICO, zajmującej się bezpieczeństwem w sieci. Dlatego też na słabości charakterystyczne dla WhatsAppa cierpi inny powszechnie używany komunikator – Viber. W momencie rejestracji użytkownika kopiuje on jego książkę telefoniczną i zapisuje na własnych serwerach, znajdujących się m.in. w USA, Rosji oraz innych, nieokreślonych lokalizacjach. Nietrudno sobie wyobrazić, że lista kontaktów wpływowego posła w niepowołanych rękach stanowi potężne narzędzie wpływu w rękach niepowołanych osób.

Rozmowy niekontrolowane



FOT. FOTOLIA

że jest całkowicie bezpieczne. Oprogramowanie „żyje”, pojawiają się jego nowe wersje. Nawet jeżeli aktualnie nie mamy wiarygodnych przesłanek, że aplikacja jakiegos komunikatora zawiera backdoor lub podatność umożliwiającą naruszenie jego bezpieczeństwa, to w kolejnej wersji oprogramowania może być inaczej – zauważa dr Mariusz Stawowski, zaznaczając, że choć Signal i Telegram uchodzą za rozwiązania profesjonalne i szeroko polecane, nie da się w ich przypadku wykluczyć istotnego czynnika ryzyka.

Dla przykładu – pod koniec marca w sprawie toczącej się od 2017 r. Sąd Najwyższy w Rosji wydał nakaz przekazania kodów źródłowych do aplikacji Telegram rosyjskim służbom specjalnym FSB, które dzięki temu otrzymały możliwość wglądu w korespondencję podejrzanych użytkowników. W przypadku odmowy Telegram zostałby oficjalnie zakazany na terenie Federacji Rosyjskiej. Co ciekawe, wymiana wiadomości tekstowych na tej platformie odbywa się w chmurze, nie jest szyfrowana, a szyfrowanie trzeba dodatkowo włączyć. Według badań robi to zaledwie ok. 14 proc. użytkowników.

Swego czasu do wiadomości publicznej przedostała się również informacja, jakoby zachodnie służby, w tym np. brytyjska policja, posiadały urządzenia do hackowania Signala, umożliwiające odzyskiwanie wykasowanych informacji, przegląd billingów oraz sieci kontaktów. Nikt nie ukrywa, że Signal jest oficjalnie wspierany przez rząd USA, a według opinii wielu niezależnych ekspertów posiada również furtkę do omijania zabezpieczeń przez agencję wywiadowczą NSA.

– Telegram w swojej polityce prywatności nie informuje, jakie konkretnie dane pozyskuje. Ogranicza się do lakonicznego stwierdzenia, że przetwarza minimum niezbędnych danych. Signal z kolei zachowuje sobie prawo do udostępniania informacji o użytkowniku, jeżeli wynika to z obowiązku spełnienia obowiązujących wymogów prawa i regulacji, procedury sądowej lub prawomocnego żądania instytucji państwowej. Może to doprowadzić do przekazania danych amerykańskiej administracji – mówi Kokoszka.

POLSKI USECRYPT

Jak te niebezpieczeństwa powinni omijać politycy i ludzie pracujący w pań-

stwowej administracji? – W przypadku służb czy osób pełniących funkcje rządowe prawdziwe zabezpieczenia dają te aplikacje, których kod sprawdzany jest przez nie same. Połączenie z Internetem powinno być – zarówno na laptopie, jak i w telefonie – prowadzone przez szyfrowany VPN, będący dodatkową warstwą zabezpieczeń. Bezpieczna komunikacja w sieci jest możliwa. Korporacje często np. tworzą własne aplikacje właśnie pod tym kątem. Sprawują nad nimi całkowitą kontrolę i traktowane są one jako „globalna sieć lokalna” – wskazuje Sławomir Grycz, chief technology officer w firmie In'saneLab.

Jednym z takich rozwiązań jest wspomniany już produkt całkowicie zaprogramowany w Polsce, czyli aplikacja Usecrypt Messenger. Jak przekonują jego twórcy, którzy sprzedali już licencję m.in. polskiej elitarniej jednostce wojskowej oraz udostępnili produkt do testów w najważniejszych resortach kraju – od Signala czy innych rozwiązań odróżnia ich kilka istotnych parametrów. – Nie mamy na serwerze z definicji danych o połączeniach między użytkownikami. Posiadamy również test bezpieczeństwa wbudowany w aplikację, który za każdym razem sprawdza, czy na telefonie nie ma wgranego złośliwego oprogramowania mogącego mieć dostęp do głośnika, kamery czy potrafiącego przejmować kontrolę nad smartfonem. Reszta aplikacji nie ma takich opcji, dlatego nawet pomimo najlepszych zabezpieczeń można je po prostu ominąć w sposób fizyczny, rejestrując dźwięk czy wygląd ekranu – mówi Jakub Kokoszka. Kruczek? Abonament miesięczny wynoszący niespełna 70 zł.

Według informacji, do których dotarło „Do Rzeczy”, możliwych do zweryfikowania w niżej wymienionych aplikacjach, obecnie na Telegramie możemy skontaktować się z mniej więcej pięcioma ministrami i 16 wiceministrami. Na Viberze znajdziemy dziewięciu ministrów, 18 wiceministrów, na Signale 11 ministrów i 25 ich zastępców. Z WhatsAppa korzysta ok. 15 ministrów i ponad 40 wiceministrów.

Jak dowiaduje się „Do Rzeczy”, istnieje szansa, że Sejm zajmie się prawnym uregulowaniem możliwości korzystania przez polskich polityków z niektórych aplikacji szyfrujących, z opcją formalnego zakazania ich wykorzystania do komunikacji urzędowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dodatkowo może niepokoić fakt, że zanim Viber czy WhatsApp trafiły pod strzechy, prace deweloperskie nad komunikatorami prowadzono na Białorusi. Nietrudno sobie wyobrazić, że właśnie w tym okresie – bez większej kontroli – można było ukryć w kodzie źródłowym aplikacji ewentualne „tylne furtki” w systemach bezpieczeństwa. Obecnie Viber znajduje się w rękach japońskiej firmy handlowej Rakuten, m.in. sponsorującej FC Barcelonę. – Te aplikacje są tylko pozornie za darmo. W rzeczywistości użytkownik płaci za nie ceną własnej prywatności, a w przypadku polityków, prywatnością kraju – twierdzi Kokoszka.

SIGNAL I TELEGRAM

Poza rozwiązaniami, które nie ukrywają w regulaminach zastosowań komercyjnych, istnieją jeszcze dwa inne, szeroko stosowane przez polityków komunikatory. To Signal, spopularyzowany za sprawą serialu „House of Cards”, oraz Telegram. Chociaż nie mówią wprost, że będą zarabiać na naszych danych, tajemnicą poliszynela jest to, że za pierwszą stoi wywiad USA, a za drugą Rosja. – W odniesieniu do oprogramowania nigdy nie możemy mieć pewności,

Ślepa amunicja



FOT. FOTOLIA

FOT. FOTOLIA



Łukasz Warzecha

„Strzelnica w każdym powiecie”, jak często bywa z niezłymi pomysłami obecnej władzy, ma wielkie szanse spalić się w przedbiegach. Mimo że MON planuje wydać na to ok. 500 mln zł

Coraz więcej Polaków chce strzelać i zdobywa pozwolenie na broń, choć obowiązuje wciąż stara, fatalna i w wielu miejscach nielogiczna Ustawa o broni i amunicji. Najpopularniejszym sposobem na zdobycie własnej broni jest dziś wystąpienie o pozwolenie do celów sportowych, ewentualnie kolekcjonerskich. Przy czym dziwny polski system kwalifikuje broń nie pod względem parametrów, lecz celu użycia, dlatego bronią „sportową” czy „kolekcjonerską” może być zarówno typowy pistolet sportowy małego kalibru i boczny zapłonu, jak i pistolet bojowy centralnego zapłonu czy karabinek kałusz-nikow albo najnowsze dziecko polskiego

przemysłu zbrojeniowego – karabinek Grot, który doczekał się już wersji cywilnej.

Niestety, nawet w dużych miastach jest problem ze znalezieniem miejsca do strzelania. A trzeba wiedzieć, że używanie broni poza certyfikowanymi strzelnicami – z wyłączeniem sytuacji przymusowych – jest w Polsce nielegalne. Nie można – i bardzo słusznie – zabrać broni do lasu i postrzelać do puszek.

Nie funkcjonują też u nas zasady takie jak w wielu amerykańskich stanach, gdzie na własnej ziemi można sobie zorganizować strzelnicę w postaci niemal dowolnej. Jedynym wymogiem jest, żeby nie zrobić nikomu przypadkowemu krzywdy i oznaczyć miejsce, gdzie się strzela. Jeśli poszukamy w Internecie filmów nagrywanych przez Amerykanów, chwalaćcych się swoim arsenałem lub testujących nową broń, to przynajmniej połowa z nich strzela na takich właśnie zaimprovizowanych strzelnicach: stojaki na tarcze, poppery (metalowe ruchome tarczki, które opadają po trafieniu pociskiem) i cele innego rodzaju wbite wprost w ziemię, często brak jakiegokolwiek kulochwyty czy ziemnego wału, odgradzającego miejsce strzelania. Nie ma takiej potrzeby – wszak wszystko dzieje się na prywatnym gruncie, gdzie

i tak nikomu postronnemu wejść nie wolno. A jeśli wejdzie, to na własne ryzyko.

W Polsce jest inaczej, ale – co ciekawe – przepisy określające sposób przygotowania strzelnicy nie są szczególnie restrykcyjne. Wysiłek i koszt zależy od tego, o jaką strzelnicę chodzi. Najprościej jest zbudować taką, gdzie nie stawia się żadnych stałych budynków, a zatem nie ma też broni obiektowej, czyli przypisanej do strzelnicy. Wówczas trzeba się przejmować jedynie dwoma rozporządzeniami. Pierwsze wydał minister spraw wewnętrznych i dotyczy ono wzorcowego regulaminu strzelnicy. Regulamin musi zatwierdzić prezydent lub burmistrz miasta albo wójt gminy. Drugie to rozporządzenie ministra środowiska, dotyczące oddziaływania obiektu na środowisko. Strzelnicę bowiem uznaje się za obiekt dla środowiska potencjalnie szkodliwy.

Ten stosunkowo korzystny stan rzeczy, dzięki któremu kluby strzeleckie mają możliwość względnie łatwo i tanio zakładać własne proste strzelnice, może się niestety zmienić. Wszystko za sprawą teoretyków, szukających rozwiązań w stu procentach bezpiecznych – a przecież takich w przypadku strzelectwa nie ma. Wśród ekspertów Wojskowej Akademii

Technicznej pojawił się np. pogląd, że przepisy powinny nakazywać, żeby żaden wystrzelony na strzelnicę pocisk nie mógł jej opuścić. W praktyce oznaczałoby to, że mogłyby istnieć jedynie strzelnice całkowicie zamknięte, bo przecież w każdym innym przypadku pocisk może jednak wylecieć poza obiekt, jeśli strzelający nie stosuje się do zasad bezpieczeństwa. Dzisiaj sprawa jest rozwiązana logicznie: przyjmuje się, że strzelnicy nie może opuścić żaden pocisk wystrzelony zgodnie z regulaminem, czyli z grubszą w kierunku tarcz i kulochwytyw. Dopilnowanie tej reguły to sprawa instruktorów prowadzących strzelanie, którzy ponoszą odpowiedzialność za ewentualne wypadki.

Jeśli budujemy strzelnicę wyposażoną w magazyn broni, częściowo albo całkowicie krytą lub mieszczącą się w budynku, to koszty oczywiście rosną. Rosną też bardzo w zależności od długości osi. Na zawodach z broni krótkiej strzela się na odległość 25 m. Typowa strzelnica, przeznaczona dla takiej broni, może mieć osie o długości 50 m. Jednak już dla konkurencji karabinowych potrzebne są osie o długości aż 300 m, co bardzo podnosi cenę. Wymaga też znalezienia o wiele większego terenu pod budowę. Najbardziej zaawansowane strzelnice z długimi osiami, tarczociągami, oświetleniem torów, elektroniką, przynajmniej częściowo kryte, z magazynem broni i inną infrastrukturą dla użytkowników, to już koszt idący w miliony złotych.

STRZAŁ W POLITYCE

Skąd wziął się w PiS pomysł na budowę strzelnic? Najogólniej mówiąc stąd, że strzelnic w Polsce brakuje. W wielu dużych miastach lub ich okolicach to obiekty komercyjne, gdzie godzina korzystania ze stanowiska kosztuje kilkadziesiąt złotych, do czego trzeba często dodać koszt wypożyczenia broni i zakup amunicji. Takie strzelnice są atrakcyjne albo dla zamożnych strzelców z własną bronią, albo dla amatorów chcących skorzystać z jednorazowej atrakcji. Nie nadają się na miejsce ćwiczeń dla członków klubu albo bractwa strzeleckiego. Z kolei strzelnice klubowe, choć tylko częściowo nastawione na komercję, są przeznaczone głównie dla członków jednego klubu, którzy mają tam priorytet i zwykle płacą znacznie mniej niż klienci z zewnątrz.

Pierwsze rozmowy na temat systemu strzelnic w Polsce za rządów PiS odbyły się na wiosnę 2016 r. Wówczas chodziło o przeprowadzenie krajowego remanentu

strzelnic – zarówno czynnych, jak i zapuszczonych, zwłaszcza należących kiedyś do Ligii Obrony Kraju. A takich jest w Polsce sporo. Audytem miało się zająć MSWiA. Sprawa nie ruszyła z miejsca. Potem w 2016 r. doszło jeszcze do kilku spotkań, na których obecni byli przedstawiciele organizacji strzeleckich, MSWiA, MON i Ministerstwa Sportu. Wtedy dyskusja dotyczyła m.in. bardzo ciekawego projektu, zgłoszonego przez środowiska strzeleckie: produkcji i instalowania strzelnic prefabrykowanych. Najtańsza wersja, przeznaczona tylko dla broni bocznego zapłonu (mały kaliber, mniejsza moc, broń wykorzystywana głównie w sporcie), mogłaby się zmieścić w stu kilkudziesięciu tysiącach złotych. Droższa, z 25-metrową osią dla broni centralnego zapłonu, to jakieś 250 tys. zł. Do ok. 400 tys. zł prognozowano cenę najbardziej zaawansowanej, z dłuższą osią do broni długiej. Jednak i ta sprawa utknęła.

Dopiero w drugiej połowie 2017 r., z inicjatywy ówczesnego wiceministra obrony Michała Dworczyka, pojawił się pomysł, aby państwo dofinansowywało samorządom budowę strzelnic w powiatach. Miały stanowić infrastrukturę nie tylko dla stowarzyszeń proobronnych, lecz także dla żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej.

Nie było jednak żadnego spektakularnego projektu nowej ustawy w tej sprawie. Znowelizowano jedynie Ustawę o dochodach jednostek samorządu terytorialnego, dodając kilka elementów do jej artykułu 42, określającego, jakie dotacje celowe może otrzymać samorząd – mogą to być m.in. dotacje związane „z budową, remontami i utrzymaniem strzelnic oraz rozwijaniem sportu strzeleckiego, w szczególności wśród dzieci i młodzieży oraz organizacji proobronnych”. Z innych dodanych zapisów wynika, że dotacje mogą pochodzić z MON.

Zaraz po uchwaleniu ustawy, na początku grudnia 2017 r., na Stadionie Narodowym odbyła się konferencja „Sokół – strzelnica w powiecie”. W ciągu dwóch dni rozmawiano o wymogach dotyczących budowy strzelnic, postępowaniu administracyjnym w tych sprawach, wymaganiach dla magazynów broni czy źródłach utrzymania już zbudowanej strzelnicy.

BRAK PRZEGLĄDU, BRAK SYSTEMU

Niby znakomicie, ale w tak zorganizowanym przedsięwzięciu brak jakiegokolwiek planowania strategicznego. Nie zrobiono przecież przeglądu strzelnic,

a dotacje mają być rozdzielane na wniosek gmin. Tymczasem do sprawy powinno się podejść systemowo. Jeśli państwo chce wspierać rozwój strzelectwa, to poza konieczną zmianą obecnej Ustawy o broni i amunicji – i to nie w kierunku większej restrykcyjności – powinno uświadomić sobie, co jest faktycznie potrzebne.

W tej chwili w Polsce istnieje tylko jedna strzelnica – klubu WKS Śląsk we Wrocławiu – która spełnia wszystkie wymogi pozwalające na organizowanie dużych, międzynarodowych zawodów. A przecież taki obiekt nie tylko musi spełniać wyśrubowane normy, lecz także mieć odpowiednią bazę hotelową dla zawodników. Brakuje popularnych, otwartych strzelnic, ale też tych, na których można rozgrywać zawody niższej rangi, i tych z magazynami broni, gdzie w strzelanie mogą się zacząć regularnie wdrażać ci, którzy na własny pistolet, karabin czy strzelbę muszą jeszcze poczekać.

Przemyślany i poważnie poprowadzony program, który wcale nie musiałby kosztować więcej niż wspomniane 500 mln zł, powinien zakładać pokrycie kraju obiektami różnej rangi – w zależności od potrzeb. Nie zawsze muszą to być nowe obiekty – można przywrócić do użytkowania i przebudować te od dawna nieczynne. Można sobie wyobrazić rozwiązania z dziedziny partnerstwa publiczno-prywatnego, a gotowe strzelnice mogłyby być oddawane w zarząd, na odpowiednich warunkach, klubom lub prywatnym firmom. Chodzi jednak o to, żeby był to istotnie program w całym tego słowa znaczeniu, a nie po prostu worek z dotacjami przyznawanymi to tu, to tam. Skoro już państwo sięga w tej sprawie do kieszeni – czyli uznaje, że jest to sprawa w jakiś sposób strategiczna – to niech robi to z głową.

Dla uczczenia 100 lat odzyskania niepodległości Antoni Macierewicz, jeszcze jako szef MON, planował postawienie stu kolumn. Ten kuriozalny pomysł został wprawdzie skasowany przez Mariusza Błaszczaka, nowego ministra obrony, ale zastąpił go inny, nie mniej dziwny: sto grających ławek (po 30 tys. zł sztuka) na stulecie odzyskania niepodległości. Ławka ma wprawdzie tę wyższość na kolumną, że można na niej przynajmniej usiąść. Dlaczego jednak nikt w MON nie pomyślał, żeby 100-lecie roku 1918 uczcić zapoczątkowaniem programu „Sto strzelnic na stulecie”?

KATARZYNA PINKOSZ: Historia Alfiego Evansa poruszyła Polskę. Gdyby podobny przypadek wydarzył się u nas, jak zareagowałby pan jako minister zdrowia i jako lekarz?

ŁUKASZ SZUMOWSKI: Nie znam szczegółów medycznych, trudno więc odnieść mi się merytorycznie do tej sprawy. Jeśli jednak ktoś inny chciał wziąć odpowiedzialność za dalsze prowadzenie leczenia chłopca i rodzice też wyrażali taką wolę, to nie rozumiem uporu brytyjskiego szpitala.

Czy w Polsce byłoby możliwe, żeby lekarze i sąd zadecydowali o odłączeniu dziecka od aparatury medycznej bez zgody rodziców?

W naszym kraju na szczęście tak się nie dzieje. Zaprzeszanie uporczywej terapii trzeba jednak odróżnić od tego, co – jak czytałem w prasie – chcieli zastosować Brytyjczycy. Zakończenie podawania płynów i jedzenia nie jest zaprzestaniem uporczywej terapii, tylko aktywną formą zakończenia życia. W przypadku pacjentów terminalnych, u których rozpoczyna się proces umierania, etyczne jest zaprzestanie uporczywej terapii, by nie męczyć pacjenta, gdy wiadomo, że oprócz zapewnienia pewnego komfortu nic już dla niego nie można zrobić. Jeśli jednak są jakieś szanse i inny ośrodek chce podjąć się terapii, to powinno się wyrazić na to zgodę.

Gdy rozgrywał się dramat chłopca, u nas protestowali rodzice niepełnosprawnych dzieci. Jednym z wielu problemów, jakie mają, jest za mała możliwość rehabilitacji. Dotyka to wielu osób, nie tylko niepełnosprawnych.

Postulatem osób protestujących było zwiększenie kwoty na świadczenia z zakresu rehabilitacji, a nie zapewnienie dostępu do niej.

Słaby dostęp do rehabilitacji rzeczywiście jest problemem, który wymaga rozwiązania. Dlatego w połowie roku wprowadzimy pilotażowy program opieki fizjoterapeutycznej. Obecnie stosowane są tzw. turnusy: pacjent jest rehabilitowany tydzień lub dwa, a później przez cały rok pozostaje bez opieki. To nie jest dobre rozwiązanie, dlatego chcemy zaproponować inną formę opieki. Rehabilitacja rozpocznie się od pracy fizjoterapeuty z pacjentem, następnie pacjent będzie wykonywać ćwiczenia w domu i przychodzić na kontrolę. Dzięki temu opieka stanie się bardziej systematyczna i rozciągnięta w czasie.



**Z Łukaszem Szumowskim,
ministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz**

Polacy nie lubią rewolucji

Jeśli program pilotażowy się powiedzie, to będziemy iść w tym kierunku.

Obiecywał pan niedawno, że już za pana kadencji jako ministra skrócą się kolejki do specjalistów. Jak pan to zrobi?

Zaczęliśmy od skrócenia najdłuższych kolejek, najbardziej bolesnych dla pacjentów, np. do operacji zaćmy i endoprotezowania stawu biodrowego. To już częściowo udało się zrobić. W tym roku chcemy też skrócić oczekiwanie na badania diagnostyczne – tomografię komputerową i rezonans magnetyczny. Często na te badania czekają pacjenci nowotworowi, a od szybkiej diagnozy zależy życie. Nie naprawimy od razu całego systemu. Jeśli chodzi o specjalistów, to także chcemy zacząć od dziedzin najbardziej obleganych.

Czyli do których specjalistów już niedługo będziemy krócej czekać?

Na pewno powinni to być m.in. endokrynolodzy, kardiolodzy, neurologi. Kolejki wynikają z tego, że większość lekarzy tych specjalności przeszła do sektora prywatnego. Chcielibyśmy tak poprawić sposób płacenia, żeby chcieli pracować w sektorze publicznym.

Trudno będzie skrócić kolejki, skoro w Polsce tak dramatycznie brakuje lekarzy – w ostatnich latach wyjechało ich ok. 30 tys. Ma pan pomysł na ich zatrzymanie?

Nie wiemy dokładnie, ilu wyjechało, część pracuje za granicą i jednocześnie w Polsce. To duży problem, jeszcze większy w przypadku pielęgniarek. Zwiększamy liczbę osób przyjmowanych na studia lekarskie i pielęgniarские. W tym roku utworzymy ponad 4,7 tys. miejsc na bezpłatnych dziennych studiach lekarskich – dla porównania w 2014 r. było ich 3133. Jeśli chodzi o zatrzymanie lekarzy



FOT. SZYMON ŁASZEWSKI/MINISTERSTWO ZDROWIA

w kraju, to porozumienie z rezydentami zakłada, że lekarz po zrobieniu specjalizacji dwa lata z pierwszych pięciu przepracuje w Polsce. To będzie powodowało pewne zakorzenienie i powinno zmniejszyć liczbę wyjeżdżających. Pamiętajmy, że decyzja o wyjeździe na stałe nie jest łatwa. To pewien dramat osobisty: tu pozostają rodzina, przyjaciele.

Będą też zachęty dla lekarzy, żeby wracali?

Podczas niedawnej wizyty w USA spotkałem się m.in. z Polakami, którzy pracują w National Institutes of Health – najlepszej instytucji medycznej, naukowej na świecie. Wielu z nich mówiło, że chętnie wróciłoby do Polski, gdyby mieli szansę na prowadzenie atrakcyjnych prac naukowo-badawczych. Obawiają się jednak, że biurokratyczna rzeczywistość naszych uczelni medycznych i instytucji naukowych nie pozwoli im wykorzystać

Chcemy, żeby przez całe leczenie onkologiczne chorego prowadził koordynator. On znajdzie dla niego miejsca i terminy wizyt, badań, podpowie, co dalej

tęgo, czego nauczyli się w NIH. Chciałbym przygotować kilka bardzo dobrych ofert dla naukowców. Planujemy m.in. powołać Agencję Badań Medycznych, która finansowałaby niekomercyjne badania kliniczne, sprawdzała, czy nowe leki i technologie lekowe, które refundujemy, rzeczywiście się sprawdzają i są przydatne w Polsce. W tej chwili wszystkie programy refundacyjne opierają się

na badaniach przeprowadzonych przez firmy. Mam nadzieję, że jeszcze przed wakacjami projekt ustawy powołującej taką agencję znajdzie się w Sejmie.

Już cztery miesiące jest pan ministrem. Co uważa pan za swój największy sukces?

Jestem zadowolony z porozumienia z rezydentami, gdyż jest to porozumienie patriotyczne. Można powiedzieć: dojrzałe – w znaczeniu funkcjonowania państwa. Pokazujemy w nim, że lekarze specjaliści są ważni, ale jeśli mają być godziwie wynagradzani, to za pracę w jednym miejscu – bo wtedy będą mieć czas dla pacjenta. Dzięki temu, że ich docenimy, zdecydują się na pracę w Polsce. Bardzo mi zależało, żeby rozmów i porozumienia nie sprowadzać tylko do podwyżek, ale żeby w porozumieniu znalazły się elementy propaństwowe.

Dostrzegam pierwsze sukcesy w skracaniu kolejek: jak wspominałem, już są nieco mniejsze, m.in. jeśli chodzi o operacje zaćmy. Również wzrost nakładów na ochronę zdrowia będzie szybszy, niż pierwotnie zakładano – premier Mateusz Morawiecki zdecydował, że 6 proc. PKB osiągniemy już w 2024 r.

Zapowiedział pan utworzenie Narodowego Instytutu Onkologii. Co na tym zyska pacjent?

Utworzenie Narodowego Instytutu Onkologii zapowiedział pan premier Mateusz Morawiecki. Chodzi o stworzenie narodowej sieci onkologicznej, składającej się z krajowego i wojewódzkich centrów koordynujących, które będą współpracować z ośrodkami akademickimi i koordynować leczenie pacjenta – w zależności od potrzeby kierować go do szpitala z odpowiednim stopniem referencyjności. Dzisiaj pacjent, który dowiaduje się, że ma raka, oprócz tego, że cierpi, musi sam dla siebie szukać pomocy. Najczęściej robi to chaotycznie, nie wie, do jakiego lekarza ma się zgłosić, czeka na badania. To jest niedopuszczalne. Chcemy, żeby przez całe leczenie onkologiczne prowadził go koordynator. On znajdzie dla chorego miejsca i terminy wizyt, badań, podpowie, co dalej. Mam nadzieję, że dzięki temu powstanie system przyjazny dla pacjenta, który wspiera go w tym trudnym momencie, gdy dowiaduje się o rozpoznaniu choroby nowotworowej.

To znaczy, że gdy np. dowiem się o nowotwora, pójdę do centrum onkologii i tam koordynator ustawi całe leczenie?

■ Nie trzeba będzie iść, wystarczy zadzwonić. Koordynator powie, gdzie iść na badanie, do lekarza, gdzie będzie najszybsza tomografia komputerowa.

Pacjent, idąc do szpitala, będzie mógł sprawdzić, czy w danym szpitalu dobrze leczą?

Chcemy oceniać i premiować jakość. Pacjent powinien mieć możliwość zapoznania się z informacjami o szpitalu, do którego trafia – o rodzaju i liczbie wykonywanych operacji, efektach leczenia, odnotowanych powikłaniach itp. Dzięki temu będzie mógł świadomie zdecydować, gdzie chce być leczony.

Zaczynamy przekształcać Centrum Monitorowania Jakości w Agencję Monitorowania Jakości, która będzie miała dużo szersze uprawnienia. Z uwagi na rosnące potrzeby pacjentów zwiększamy nakłady na zdrowie, tak aby wykonywanych było więcej zabiegów, operacji, badań. Jednocześnie jednak musimy zadbać, aby były one wykonywane na dobrym poziomie. Obecnie niewiele szpitali posiada certyfikaty jakości. Chcemy, żeby wszystkie przechodziły tę procedurę, która nie służy karaniu, tylko ma spowodować, że szpitale będą poprawiały swoje procedury, by np. zmniejszyć liczbę powikłań.

Zapoczątkował pan niedawno rok debat na temat przyszłości ochrony zdrowia w Polsce. Takich debat było już wiele. Te będą inne?

Ta debata jest wyjątkowa, ponieważ pierwszy raz nie będziemy mówić o tym, jak jest źle i co nie działa. Celem naszej ogólnonarodowej debaty będzie pytanie o priorytety: Co zrobić ze wzrastającymi nakładami na ochronę zdrowia? W latach 2018–2024 przeznaczymy 830 mld zł na ochronę zdrowia, podczas gdy w latach 2008–2014 było to 465 mld zł. Ilość pieniędzy gwałtownie wzrośnie. Musimy się zastanowić, jak je najlepiej wydać, jak zainwestować. Wspólnie z ekspertami i pacjentami odpowiemy na pytania, co trzeba zrobić jak najszybciej, a co można trochę później.

Drugie ważne pytanie postawione w tej debacie: Jak chcemy docelowo zorganizować ochronę zdrowia? Chciałbym, żeby to Polacy odpowiedzieli na te pytania, a nie tylko ja, jako minister. Jeśli wspólnie przeanalizujemy sytuację i znajdziemy rozwiązania, to liczę na to, że wreszcie będziemy mieć stabilny system ochrony zdrowia. W ochronie

zdrowia potrzebujemy stabilizacji. Pacjenci, Polacy, nie lubią rewolucji.

A jaka jest pana wizja?

W mojej wizji jest miejsce zarówno dla funkcjonowania prywatnego, jak i publicznego systemu ochrony zdrowia. Powinny jednak funkcjonować na jasnych zasadach, grać fair. W tej kadencji na pewno nie będziemy likwidować NFZ, jestem coraz większym jego zwolennikiem, ponieważ zaczął lepiej funkcjonować. Skłaniam się ku utrzymaniu systemu składkowego, a nie czysto budżetowego. Jak jednak powiedziałem – chcę zapytać Polaków, co oni uważają. Pytania muszą być tak sformułowane, żeby były jasne dla każdego. Do tej pory sposób rozmawiania o ochronie zdrowia był hermetyczny, ludzie nie rozumieli, co mówią eksperci i politycy. Zainicjowana przeze mnie debata ma służyć również temu, aby Polacy rozumieli, co robimy, i akceptowali to lub wyrażali swoje niezadowolenie.

W tej kadencji na pewno nie będziemy likwidować NFZ, jestem coraz większym jego zwolennikiem, ponieważ zaczął lepiej funkcjonować. Skłaniam się ku utrzymaniu systemu składkowego, a nie czysto budżetowego

Jest pan trochę idealistą...

Zawsze byłem raczej realistą. Gdy słyszę, że nie da się skrócić kolejek, mówię, że skoro VAT udało się uszczelnić, to uda się też skrócić kolejki.

Mówił pan o powołaniu Instytutu Biotechnologii Medycznej. Zaczną powstawać polskie innowacyjne leki?

Tworzeniem IBM zajmuje się resort nauki, środki na ten cel zostały zagwarantowane w budżecie. To będzie grunt pod innowacyjne badania medyczne w Polsce. Podczas niedawnej wizyty w USA wicepremier Jarosław Gowin podpisał umowę pomiędzy USA a Polską w zakresie współpracy naukowo-technologicznej, a ja rozmawiałem o podpisaniu w niedługim czasie porozumienia o współpracy między amerykańskim departamentem zdrowia a polskim rządem. Pozwoli to na lepszą współpracę w zakresie badań medycznych. Powinniśmy za kilka lat mieć

lepiej rozwinięty innowacyjny sektor biotechnologiczny i sektor medycznych start-upów. Proszę spojrzeć na VIB – flamandzki Wirtualny Instytut Biotechnologiczny – w ciągu 10 lat udało się stworzyć jedną z najlepszych instytucji naukowych, a jednocześnie mocny sektor gospodarki kraju. Warto iść tym śladem. Badania naukowo-medyczne napędzają gospodarkę, tworzą się nowe firmy, nowe start-upy. Część z nich osiągnie sukces i może wreszcie Polska stanie się istotnym graczem na rynku farmaceutycznym.

Jak to się stało, że pan, ceniony profesor kardiologii, zdecydował się zostać ministrem zdrowia?

Może to, co powiem, zabrzmie archaicznie... Bycie ministrem traktuję jako formę pewnego zobowiązania wobec swojego kraju. Jeśli czułem się choć trochę kompetentny, to musiałem powiedzieć „tak” wyzwaniu postawionemu przez pana premiera.

Nie kryje się pan ze swoimi konserwatywnymi poglądami, podpisał pan m.in. deklarację sumienia. Nie bał się pan ataków z tego powodu?

Nigdy nie kryłem swoich konserwatywnych poglądów. Uważam, że jasność w tym zakresie jest lepsza niż milczenie lub ukrywanie ich. Nie oznacza to, że nie mogę w bardzo konstruktywny i życzliwy sposób dyskutować z osobami, które mają przeciwne poglądy. Chętnie rozmawiam ze wszystkimi.

Dzisiaj pan podpisałby deklarację sumienia?

Poglądów nie zmieniłem. Podpisywałem ją w okresie, kiedy w wątpliwość były podawane wolność lekarza i klauzula sumienia. Na szczęście Trybunał Konstytucyjny uznał je za immanentną część zawodu lekarza i problem został rozwiązany. Są kraje, gdzie klauzula sumienia nie jest respektowana. Uważam jednak, że bez niej trudno wykonywać ten zawód.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZŁOWIEK, KTÓRY ODKRYŁ PRAWDĘ

ALEX
PETTYFER

ROBERT
WIĘCKIEWICZ

TALULAH
RILEY

PIOTR
STRAMOWSKI

ORAZ
MICHAEL
GAMBON

KATYŃ

OSTATNI SWIADEK

VIGOROUS PRODUCTIONS and GEN FILMS present in association with SILVER LINING PRODUCTIONS FREEFIRE FILMS JOPPA FILMS and FILM POLSKA a CAROL HARDING PRODUCTION a PIOTR SZKOPAK film THE LAST WITNESS
ALEX PETTYFER ROBERT WIĘCKIEWICZ TALULAH RILEY and MICHAEL GAMBON CASTING DIRECTION JEREMY ZIMMERMANN COMPOSER BARTOSZ CHAJDECKI COSTUME DESIGNER HILARY HUGHES EDITOR JO-ANNE DIXON PRODUCTION DESIGNER ARK TURNER DIRECTION OF PHOTOGRAPHY EDWARD AMES WRITTEN BY PAUL SZAMBOWSKI AND PIOTR SZKOPAK BASED ON A STAGE PLAY BY PAUL SZAMBOWSKI
CO-PRODUCED BY ALEX PETTYFER AND KRZYSZTOF SOŁEK PRODUCED BY CAROL HARDING DIRECTED BY PIOTR SZKOPAK

W KINACH OD 11 MAJA

ICC PKP INTERCITY

W RZECZY

HISTORIA

SIECI

wPolityce.pl

ams

24h

niedziela

Gazeta Polska

niezależna

GAZETA POLSKA

WŁADZA

HIST MAG

onet

eprasa.pl 649e0b0163



Radosław Wojtas

Tej kolekcji nie sposób wycenić. Samą tylko jej perłę w koronie – „Damę z gronostajem” – podczas zagranicznej podróży w 2011 r. ubezpieczono na 300 mln euro. A to jeden z tysięcy eksponatów

O jczyzno! Nie mogłam cię obronić, niech cię przynajmniej uwiecznię” – wspominała swoje myśli księżna Izabela z Flemmingów Czartoryska, które towarzyszyły jej podczas tworzenia w 1801 r. Świątyni Pamięci w Puławach. W budynku wzorowanym na świątyni w Tybur powstało wtedy pierwsze polskie muzeum. Nad drzwiami umieszczono napis: „Przeszłość przyszłości”, a na kluczu do nich greckimi literami wykalgrowano „Otwieram Świątynię Pamięci”.

Księżna Izabela rozpoczęła gromadzenie zbiorów pod koniec lat 80. XVIII w. Początkowo były to przede wszystkim polskie pamiątki historyczne. Z czasem kolekcja była wzbogacana o eksponaty z całego świata, ze wszystkich epok, i rosła za sprawą potomków rodu. Część dzieł została kupiona, znaczna część stanowiła darowiznę dla kolekcji, która miała być dostępna dla wszystkich Polaków. Jeden z obrazów – „Zwiastowanie” z 1517 r. – księżna Izabela Czartoryska wydobyla z gruzów wawelskiej kolegiaty św. Michała Archanioła na Wawelu.

Dzisiaj kolekcję stanowią niezwykle cenne eksponaty związane z historią Polski i przedmioty ze wszystkich epok. To dlatego Muzeum Czartoryskich nazywane jest czasem Małym Luwrem. Niezależnie od kontrowersji wokół zakupu kolekcji i niesnasek w rodzinie Czartoryskich przejście kolekcji w posiadanie Skarbu Państwa za 100 mln euro, czyli ułamek jej wartości, jest w pewnym sensie spełnieniem zamiarów księżnej, założycielki muzeum, która mówiła: „Nie opuszcza mnie gorączka Narodowości, ta może przesadna miłość ojczyzny, którą wszyscy znają tak dokładnie”.

DAMA I KOCHANEK

Kiedy mówi się o kolekcji Czartoryskich, która pod koniec 2016 r. przeszła

na własność Skarbu Państwa, to ten obraz jako pierwszy przychodzi na myśl. „Dama z gronostajem” to jedno z najsłynniejszych dzieł Leonarda da Vinci, które – podobnie jak jego twórca – weszło już nawet do popkultury.

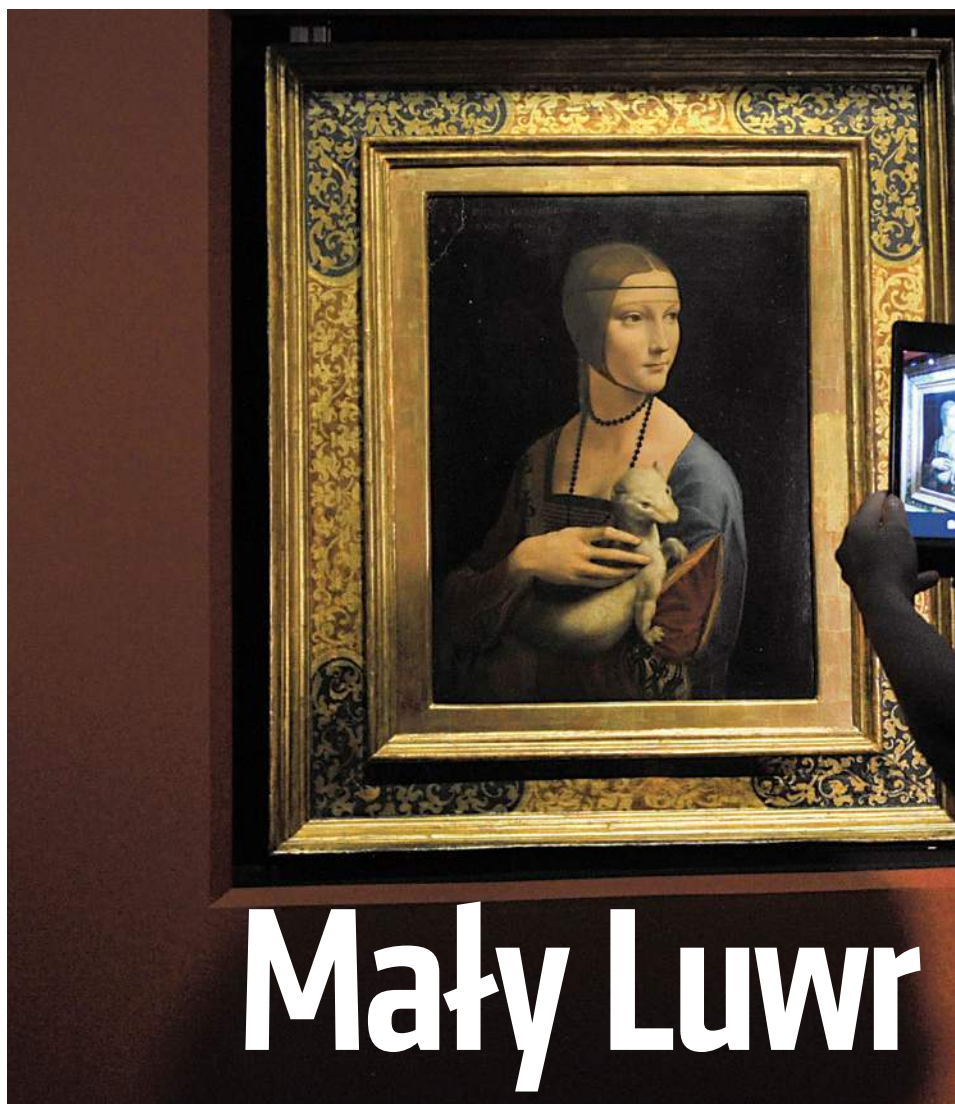
Na orzechowej desce, w roku ok. 1490, Leonardo uwiecznił damę mediolańskiego dworu Cecylię Gallerani, przyjaciółkę i kochankę księcia Ludwika Sforzy. Il Moro, jak go zwano, zamówił obraz u Leonarda, gdy już trwały pertraktacje do jego ożenku z Beatrice d’Este. Mistrz da Vinci nie mógł namalować kochanków razem, musiał uciekać się do symboliki. Gronostaj, którego czule tuli do piersi i głaszcze dłońią Cecylia, odczytywany jest jako jej kochanek, noszący przydomek Ermellino (Gronostaj) lub Ermellino Bianco (Biały Gronostaj). Światło, w kierunku którego spogląda zatrzymana w ruchu kobieta, może sym-

bolizować Amora, pod którego postacią kryje się książę. Leonardo zadbał o to, by światło było równie starannie rozłożone w tle. Niestety, w XIX w. zostało zamalowane na czarno.

„Dama z gronostajem” jest jedynym dziełem Leonarda da Vinci znajdującym się w polskich kolekcjach. Ostatni sprzedany obraz da Vinci – „Zbawiciel świata” – osiągnął zawrotną cenę 450 mln dol. I to mimo tego, że autorstwo włoskiego mistrza nie jest w tym przypadku stuprocentowe. W przypadku „Damy z gronostajem” nie ma natomiast co do tego najmniejszych wątpliwości.

REMBRANDT, MATEJKO I ZAGINIONY MŁODZIEŃC

W odkupionych przez państwo polskie zbiorach „Dama...” jest niekwestionowaną gwiazdą, ale i towarzyszące jej obrazy nie przynoszą wstydu kolekcji. Jednym z naj-



Mały Luwr



Czartoryskich

dynamizmem i dokładnością najważniejszych momenty z historii Polski. W kolekcji Czartoryskich znajduje się obraz „Zakuwana Polska” („Polonia – Rok 1863”) – jedyne dzieło malarza odnoszące się do wydarzeń mu współczesnych, czyli upadku powstania w Królestwie Polskim przeciw carskiej Rosji. Obraz odkupił książę Władysław Czartoryski w roku 1879. Polska na płótnie przedstawiona jest jako zakuwana w kajdany młoda kobieta w poszarpanej żałobnej sukni. Scena rozgrywa się w sprofanowanym przez żołdaków kościele, który symbolizuje zniszczoną ojczyznę.

HISTORIA POLSKI W PRZEDMIOTACH ZAKŁĘTA

Ekspozycje patriotyczne związane z historią Polski są ważną częścią kolekcji. Dużą jej część stanowią militaria. Wśród nich wielką rzadkością jest chorągiew carów Szujskich wzięta pod Kłuszynem w 1610 r. Chorągiew moskiewska wykonana z dwóch rodzajów jedwabnego adamaszku przedstawia kompozycję „Tobą raduje się wszelkie stworzenie”, którą uzupełnia scena Zwiastowania. Na rewersie przedstawiono władcę w otoczeniu poddanych, podkreślających jego status jako wybrańcy Boga.

Jest też buzdycan należący do Stefana Czarnieckiego. Podczas wojen napoleońskich został podarowany wojsku polskiemu przez potomków hetmana. To na ten symbol władzy oficerskiej przysięgało nowo tworzone w Królestwie Polskim wojsko. W kolekcji znajduje się także złocena i bogato zdobiona buława hetmana Mikołaja Hieronima Sieniawskiego, który u boku Jana III Sobieskiego uczestniczył w wyprawie wiedeńskiej z 1683 r., czy wykonana w Mediolanie tarcza króla Jana III Sobieskiego, którą poeta Jan z Wilanowa w jednym z wierszy uznał za dobrą wróżbę rychłego zwycięstwa polskiego króla nad Turkami.

Jest również – według tradycji wykonana jednej nocy przez krakowskie mieszczki (prawdopodobnie została jedynie przez nie przerobiona, a powstała wcześniej) – chorągiew, którą Kraków ofiarował Tadeuszowi Kościuszce w dniu przysięgi na rynku krakowskim 24 marca 1794 r.

Wśród licznych pozostałych militariów wchodzących w skład kolekcji wrażenie robi siodło po księciu Adamie Kazimierzu Czartoryskim, komendancie Galicyjskiej Gwardii Szlacheckiej

cenniejszych jest „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem” (1638 r.) Rembrandta – pejzaż olejny na desce dębowej, który trafił do Polski z Paryża w 1774 r. Holenderski mistrz jedynie przez ok. 10 lat malował samodzielne olejne pejzaże, zachowało się ich ledwie kilka.

Podczas II wojny światowej, podobnie jak niektóre inne dzieła kolekcji Czartoryskich („Dama z gronostajem” również), został zrabowany przez Niemców, ale powrócił do Krakowa. Po wojennej zawierusze nigdy nie odnaleziono natomiast „Portretu młodzieńca” (ok. 1509–1511) pędzla Rafaela. Jeśli dzieło kiedykolwiek zostanie odnalezione, to roszczenia własnościowe podejmie państwo polskie, bo zakup obejmował prawa nie tylko do dzieł należących do Czartoryskich, lecz także zaginionych.

Kolekcja obrazów (sakralnych i świeckich) obejmuje dzieła stworzone od

średniowiecza do XIX w. Ciekawe i cenne są m.in. włoskie obrazy gotyckie i wczesnorenesansowe. Znaczną część zbiorów stanowią obrazy przedstawiające najważniejsze osoby i wydarzenia w historii Polski oraz portrety rodzinne. W skład kolekcji wchodzi m.in. 10 miniatur z lat 1553–1556 przedstawiających członków rodu Jagiellonów, portret królewicza Władysława Zygmunta Wazy namalowany na płótnie w XVII w. (autor nieznany) czy portret z końca XVII w. przedstawiający Zygmunta Zbierchowskiego herbu Grzymała, który pod Wiedniem w 1683 r. „pierwszy złamał nieprzyjacielskie szyki” i zyskał chwałę, ale stracił w tym starciu brata.

W zbiorach nie mogło zabraknąć prac Jana Matejki, któremu miejsce w pantheonie polskich malarzy przyniósł nie tylko kunszt, lecz także tematyka prac przedstawiających z niemal filmowym

FOT. WACŁAW KACIŁA / REPORTER

■ w Wiedniu. Przedmiot wyjątkowej urody, wykonany m.in. z drewna, ze skóry, z aksamitu, ze srebra, zdobiony i złożony.

Najstarsze eksponaty kolekcji to dokonania sztuki starożytnej. A wśród nich sarkofag Tachenemti z mumią kobiety z drugiej połowy VIII w. p.n.e., na którym przedstawiono sceny z podróży duszy po świecie umarłych. Z krainy nad Nilem pochodzi też płyta nagrobna Merera – monarchy Górnego Egiptu, czyli zwierzchnika urzędników w jednej z egipskich prowincji. Czartoryscy pozyskali do swojej kolekcji również papirusy z fragmentami „Księgi Umarłych”. Jest też sarkofag z Etrurii (dzisiejsze Włochy) z III/II w. p.n.e. Jakże różny od egipskiego, bo wywodzący się z kręgu kulturowego wyobrażającego sobie życie po śmierci jako nieprzerwaną biesiadę. Postać mężczyzny na sarkofagu, ubrana w tunikę i płaszcz, znajduje się w pozycji półleżącej, a w dłoni dzierży paterę.

W zbiorach są naczynia, popiersia, posągi, m.in. ze starożytnych Grecji i Rzymu. Wśród nich rzymski posąg Wenus z początku naszej ery. Jest to jedna z licznych powstających w Cesarstwie Rzymskim kopii Afrodyty wykutej w marmurze ok. 350 r. p.n.e. przez Praksytelesa.

Niektóre eksponaty mogą zaskoczyć. Izabela Czartoryska do zbiorów włączyła np. kamyki z grobu Romea i Julii, relikwie hiszpańskiego bohatera narodowego Cyda i jego żony Chimeny, a nawet urnę z relikwiami Bolesława Chrobrego.

WŁOSCY MISTRZOWIE I BEZCENNA BIBLIOTEKA

Osobną kategorię stanowią galeria rycin i rysunków, a także bogata biblioteka.

Jedną z ciekawszych rycin jest „Zwiastowanie” wykonane przez Marco Dentego według obrazu Rafaela Santi. Jej autor, włoski rytownik, to jeden z najzdolniejszych uczniów Raimondiego uważanego za najwybitniejszego włoskiego grafika swojej epoki. W zbiorach jest także rycina mistrza Raimondiego. „Toaleta Wenus” również inspirowana jest twórczością Rafaela. Zapewne jest to motyw związany z dekoracją jednego z apartamentów watykańskich.

Czartoryscy zgromadzili również niezwykle cenne woluminy i dokumenty. W kolekcji jest np. „Przywilej jedleński”, w którym „duchowni i panowie polscy po porozumieniu się z Witoldem, wielkim księciem Litwy, oraz panami litewskimi przyrzekają, że po śmierci



„Portret młodzieńca” Rafaela został zagrabiony z kolekcji Czartoryskich podczas II wojny światowej. Do dziś go nie odnaleziono FOT. WIKIPEDIA



Buzdygan Stefana Czarnieckiego FOT. MNK



„Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem”, Rembrandt Harmensz van Rijn FOT. MNK



„Zwiastowanie”, Marco Dente da Ravenna według Rafaela Santi FOT. MNK



Część kompleksu Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie FOT. FOTOLIA

króla Władysława Jagiełły uznają i ukończą króla polskiego jego syna, pod warunkiem zatwierdzenia praw i przywilejów. Zapewniają, że sprzeciwią się każdemu buntownikowi, który nie uzna przyszłego króla”. Jest także dokument, w którym Władysław Warneńczyk potwierdził prawa szlacheckie i nadał Iwanowi, Aleksandrowi i Michałowi – książętom na Czartorysku – oraz im krewnym prawa do wieczystego używania książęcej pieczęci z herbem Pogoń. Jest także akt hołdu pruskiego, są cenne rękopisy, a wśród nich list Mikołaja Kopernika do biskupa chełmińskiego Jana Dantyska. Wśród starodruków znajduje się m.in. kronika Jana Długosza. Kolekcja składa się z 250 tys. obiektów: książek, starodruków i rękopisów.

W SERCU KRAKOWA

Wraz z bezcennymi muzealiami w ręce Skarbu Państwa przeszły budynki Muzeum Książąt Czartoryskich. To nieruchomości położone na krakowskiej starówce, opodal Bramy Floriańskiej. Arsenał z basztami Stolarską i Ciesielską, klasztor i pałac stanowią jeden kompleks muzealny, w którym przechowywane i eksponowane są zbiory z zakupionej kolekcji.

W 2010 r. Fundacja Czartoryskich rozpoczęła remont muzealnych nieruchomości, który do tej pory nie został dokończony. Brakowało środków, a fundacja miała trudności z pozyskaniem finansowania zewnętrznego. Muzeum Narodowe w Krakowie dokończy remont w ramach programu „Przeszłość przyszłości”, na które pozyskało dotację m.in. z funduszy unijnych oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Prace, które w części już się rozpoczęły, mają nie tylko poprawić stan budynków, lecz także lepiej dostosować je do prezentowania kolekcji Czartoryskich. Obiekty zostaną przystosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych, a przez przebudowę dachu Arsenału jego powierzchnia użytkowa zwiększy się o 30 proc. Projekt „Przeszłość przyszłość”, który zakłada też zbadanie i zabezpieczenie przez konserwatorów ok. 800 eksponatów, ma się zakończyć w grudniu 2019 r., w 500. rocznicę śmierci Leonarda da Vinci. – To będzie prezent na Gwiazdkę dla Wszystkich, którzy są spragnieni kontaktu ze wspaniałą sztuką – mówi dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie dr hab. Andrzej Betlej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Lee Childem, autorem bestsellerowych powieści kryminalnych o Jacku Reacherze rozmawia Piotr Gociek

Wiem, co lubią czytelnicy

PIOTR GOCIEK: Czy masz mapę?

LEE CHILD: Mapę?

Tak, taką jedną wielką mapę, na której wyrysowałeś wszystkie podróże Jacka Reachera.

Mam całą szufladę map, jestem wielkim fanem map, ale nie da się narysować jednej mapy dla Reachera. Nie tylko dlatego, że wiele przygód przytrafiło mu się w innych krajach. Także dlatego, że na potrzeby książki wiele rzeczy trzeba wymyślić, wymieszać. Nie trzymam się niewolniczo topografii, pewne rzeczy składam po swojemu. Piszę w końcu powieści, a nie turystyczne przewodniki. Zdarza mi się więc naginać rzeczywistość, co czasem irytuje niektórych czytelników, którzy mówią: „Zaraz, ale to miejsce tak naprawdę wygląda trochę inaczej”.

Zaskoczyłeś mnie, bo wyobrażałem sobie, jak spędzasz wiele dni w podróży, a potem przenosisz do książek wszystkie te motele, przedmieścia, tawerny restauracje, skrzyżowania – wszystkie miejsca, gdzie zwykle spotykamy Reachera.

Jestem przeciwnikiem nadmiernie szczegółowych przygotowań do konkretnej książki, kiedy research jest zbyt szczegółowy, odbija się to na pisaniu. Uważam, że całe życie pisarza jest researchem. Wszystko, co zobaczysz, każde miejsce, w którym kiedyś byłeś, ludzie, których spotkałeś, to jest materia, z którego korzystasz. O wielu inspirujących rzeczach dowiaduję się od czytelników, którzy piszą do mnie z całego świata, często są to ludzie pochodzący, tak jak Reacher, ze świata wojska.

„Nocna runda” to 22. powieść cyklu o Jacku Reacherze, pisałeś o nim także opowiadania. Co jest najtrudniejsze, kiedy po wykonaniu tak wielkiej pracy trzeba wymyślić kolejną, nową historię?

Ludzie, którzy nie są pisarzami, często uważają, że trudno jest znaleźć dobry pomysł. Jest odwrotnie. Mam 10 pomysłów dziennie, sztuka polega na tym, żeby znaleźć taki pomysł, który będzie współgrał z innymi tak, by powstała dobra książka. Główny problem to zawsze kwestia: W jaki sposób Reacher zaangażuje się w wyjaśnianie kolejnej zagadki? Nie ma stałej pracy i mieszkania, więc jest figurą niezmiernie elastyczną, dzięki temu nigdy się nie nudzę, obmyślając, jak wkroczy na scenę. Tyle jest przecież możliwości. To jest jednocześnie największym kłopotem. Reacher nie pełni żadnej oficjalnej funkcji, a jego osobo-

wość samotnika sprawia, że zwykle nie chce się w nic angażować. Jak zatem sprawić, żeby intryga ruszyła z miejsca?

Zatem jak?

Zwykle jest to przypadek i czytelnikom to nie przeszkadza. Odbiorcy rozumieją sytuację i są skłonni zaakceptować jedną, czasem niewiarygodną sytuację, jeśli później rozwija się ją w sposób wiarygodny i prawdopodobny.

W przypadku „Nocnej rundy” zastanawiałem się, co było pierwsze: pomysł, by opowiedzieć o weteranach z Afganistanu, o problemie z uzależnieniem od legalnych narkotyków czy może historia sygnetu z West Point?

Sygnet był pierwszy. Poznałem w trakcie pisarskiej kariery wielu wojskowych,

Ludzie, którzy nie są pisarzami, często uważają, że trudno jest znaleźć dobry pomysł. Jest odwrotnie. Mam 10 pomysłów dziennie

m.in. lekarza, który był na misji w Iraku i Afganistanie. Zaprosił mnie na West Point, mogłem przyjrzeć się temu, jak działała ta niezwykła uczelnia, wtedy pojawił się pomysł wykorzystania sygnetu, który otrzymuje się na koniec studiów. Jednocześnie od wielu lat byłem zafascynowany, choć to może niewłaściwe słowo, straszliwymi okaleczeniami twarzy, z jakimi wracali do domu weterani I wojny światowej. To były ciężkie rany, lekarze dokonywali cudów, lecz efekty końcowe i tak bywały wątpliwe. Rozwinął się cały przemysł masek, protez. Wiele o tym czytałem, teraz zapragnąłem włączyć tę wiedzę do powieści. Z kolei wątek uzależnienia od opioidów wziął się stąd, że zacząłem się zastanawiać, dlaczego społeczeństwo tak słabo radzi sobie z rozwiązywaniem rozmaitych problemów. Myśle, że częściowo dlatego, że nie przyjmujemy do wiadomości niewygodnych dla siebie faktów. Kiedy stoją w sprzeczności z naszymi wcześniejszymi przekonaniami na jakiś temat, decydujemy się po prostu je ignorować. To wszystko połączyło się i stworzyło powieść.

Książki o Reacherze stoją zwykle na półkach z napisem „kryminał” albo „thriller”, ja lubię

patrzeć na nie jak na współczesne westerny. Tajemniczy jeździec znikąd przybywa do miasta, zaprowadza w nim porządek, odjeżdża w siną dal.

Oczywiście, masz rację, tak właśnie jest. Jednak to nie Amerykanie wymyśliли ten schemat opowieści, jest zakorzeniony dużo głębiej – w średniowieczu, do którego został zapożyczony z mitów skandynawskich posiłkujących się z kolei podaniami anglosaksońskimi itd.

To archetyp, wzorec mitycznej opowieści, który bardzo mocno przemawia do naszej wyobraźni. Z tego powodu go wybrałem. Myślałem o tym od samego początku, kiedy jeszcze zastanawiałem się, jak będzie wyglądał bohater mojej pierwszej powieści. Musiała to być postać mityczna, połączenie Robin Hooda i innych archetypicznych herosów.

Dlaczego Jack Reacher to były wojskowy, a nie policjant czy agent specjalny?

To już wynika z następnej kwestii: mój mityczny bohater musiał działać we współczesnych realiach. Zastanawiałem się, kto byłby w tej roli wiarygodny. Chciałem, by Reacher był mocno wyalelowany ze społeczeństwa. Uważam, że takimi właśnie ludźmi są wojskowi. Szczególnie ci, którzy byli dziećmi wojskowych.

Doświadczyłeś tego sam jako dziecko? Twój ojciec był żołnierzem.

Nie był żołnierzem zawodowym, po prostu walczył podczas II wojny światowej, tak jak inni w owym czasie. Mnie to więc zbyt nie dotknęło. Nauczyłem się jednak od ojca, że świat cywilów i świat wojska to dwie zupełnie różne rzeczywistości. Wracając do Reachera, kiedy już ustaliłem, że będzie ekswojskowym, pozostawało pytanie, w jakie doświadczenie go wyposażę, skoro moje książki mają być – szeroko rzecz ujmując – opowieściami kryminalnymi. Logicznym wyborem był wojskowy policjant, czyli żandarm. I przy tym zostałem.

Wiele czasu zajęło ci stworzenie tego bohatera? Wyskokzył gotowy z twojej głowy czy założyłeś, że będzie ewoluował, a pewne szczegóły ustalisz później?

Nie chciałem zbyt długo się zastanawiać nad bohaterem i obmyślać go zbyt szczegółowo. Wierzę, że pewne rzeczy powstają intuicyjnie, trzeba zostawić miejsce dla wyobraźni. Kiedy wszystko chcesz ustalić na początku, to pisanie

zamienia się w przygotowywanie listy sprawunków, a postać robi się papierowa.

Nawyki do wojskowej dyscypliny Reacher jest paradoksalnie naszym przewodnikiem po świecie chaosu, zbrodni, narkotyków, przemocy.

Po świecie, który nas przeraża, o którym nic nie wiemy i na którego spotkanie jesteśmy całkowicie nieprzygotowani. I jest kimś więcej niż przewodnikiem. W odróżnieniu od nas jest gotowy, by stawić czoła niebezpieczeństwu. Zwykły człowiek stając oko w oko z bandytą, jest sparaliżowany, wystraszony, nie wie, jak się bronić. Reacher pokazuje, że nawet wobec tych przeciwności nie jesteś bez szans. Pokonując wroga, oswaja z nim czytelników. Każdy z nas ma takie lęki. Wracasz do domu o drugiej w nocy, mijasz trzech dziwnych typów w ciemnej ulicy. Czujesz się nieswojo. A jakby to było, gdybyś nie musiał się bać? Piszac o Reacherze, dokonuję takiej terapeutycznej projekcji dla czytelników.

Czujesz się czasem sam wyalienowany – Brytyjczyk żyjący od 20 lat w Ameryce?

Nie, nie bardzo. Stany to bardzo przyjazne miejsce do życia dla Brytyjczyków, łączą nas w końcu szczególne relacje, patrzymy na siebie jak na kuzynów. Poza tym mieszkam w Nowym Jorku, który mocno różni się od typowej Ameryki. Czuję się wyalienowany z innego powodu – kompletnie nie dbam o to, co się stało naraz niesłychanie ważne dla innych ludzi. Przede wszystkim rewolucja, którą przyniosły media społecznościowe. Może się starzeję, ale cenię sobie wcześniejszy kształt relacji międzyludzkich.

Nie lubisz mediów społecznościowych?

Nie lubię, nie używam i nie rozumiem, na czym polega ich urok. Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia rząd wprowadza prawo, na mocy którego każdy obywatel zobowiązany jest nosić radionadajnik i na bieżąco zdawać relację ze wszystkiego, co robi: co je, co myśli, z kim się spotkał. Czyż nie protestowalibyśmy przeciwko takiemu zamachowi na naszą wolność? Tymczasem ironia i paradoks tkwią w tym, że wszystko to robimy z własnej woli. I to w kraju, który jest tak przywiązany do wszelkich wolności jak Ameryka!

Był jednak czas, kiedy orientowanie się w tym, czego ludzie chcą i co ich interesuje, należało do

twoich obowiązków służbowych. Zanim zostałeś pisarzem, pracowałeś ponad 20 lat w telewizji.

Ścież, w której pracowałem, skupiała kilkanaście stacji. Każda z nich miała taką osobę jak ja, zajmującą się mrówczą, niewdzięczną pracą. Trzeba było koor-

albo kino eksperymentalne, albo wysokobudżetowe widowiska na podstawie komiksów. Nie ma miejsca na kino środka. Dlatego wątpię, żeby powstał trzeci kinowy film o Reacherze. Bardziej możliwe są produkcje telewizyjne.

Wracasz do domu o drugiej w nocy, mijasz trzech dziwnych typów w ciemnej ulicy. Czujesz się nieswojo. A jakby to było, gdybyś nie musiał się bać?

dynować emisję wszystkich programów i reklam, precyzyjnie układać wszystko w odpowiedniej kolejności. Potem zacząłem robić także inne rzeczy, przygotowywać zwiastuny programów i seriali, wydawać wiadomości, audycje sportowe. Pracowaliśmy dosłownie z każdym rodzajem telewizyjnej rozrywki, więc moim największym doświadczeniem po tych latach jest zrozumienie, czego oczekują widzowie. Byłem w tym dobry. A dziś pomaga mi to w pracy pisarza: wiem, co ludzie lubią. Chociaż patrząc na współczesne media, powinienem może powiedzieć: „Kiedyś wiedziałem, co lubią”.

Twoje książki są według mnie idealnym materiałem na seriale. To, w jaki sposób przeplatasz wątki, krótkie sceny, cięcia w odpowiednich miejscach, dialogi. Zaryzykowałbym, że tego nauczyłeś się, właśnie pracując w telewizji.

Po przepracowaniu 40 tys. godzin w telewizji coś musiało mi zostać w głowie! Zgadza się, rytm, montaż, język opowieści, tego wszystkiego nauczyłem się przy okazji i dziś robię to instynktownie. Nigdy nie musiałem się specjalnie zastanawiać nad tym, w którym miejscu zawiesić akcję albo jak zakończyć scenę, wszystko to przychodzi samo i wydaje mi się oczywiste. Telewizja zmieniła całą kulturę. Wszystko musi być dziś krótsze i szybsze. Widzę to nawet po sobie. Z biegiem czasu zacząłem pisać krótsze rozdziały. Wszystko przyspiesza.

Tymczasem dwie powieści o Reacherze doczekały się wersji kinowych. Dlaczego nie seriali? Te książki są wprost stworzone dla telewizji.

Kiedy podpisywałem umowy dotyczące adaptacji, był rok 2005. Wtedy myśleliśmy przede wszystkim o kinie, dobre czasy dla współczesnej telewizji miały dopiero nadejść. Dzisiaj sytuacja jest już zupełnie inna, w kinach można obejrzeć

Chciałbyś, żeby powstawały zgodnie z chronologią, w jakiej ukazywały się powieści?

Zostawiam to fachowcom. Sądzę, że najprawdopodobniej skończy się to tak jak adaptacja powieści Michaela Connelly’ego o detektywie Bosch. Na potrzeby serialu skompilowano i skompresowano wątki z kilku książek. Wyszło to moim zdaniem świetnie, „Bosch” to jeden z moich ulubionych seriali.

Z dwóch kinowych ekranizacji powieści o Reacherze zdecydowanie bardziej podobała mi się pierwsza: „Jednym strzałem”.

Też jestem tego zdania. Pierwszy film był bardzo zwarty, stylowy, klasyczny w konstrukcji. Prawdziwy kryminał, porządna opowieść noir, dopracowana w najmniejszym szczególe. Drugi film, „Nigdy nie wracaj”, okazał się po prostu przeciętny.

Dawno, dawno temu, zanim zacząłeś pracę w telewizji, studiowałeś prawo, ale jednocześnie zaangażowałeś się w amatorskie przedsięwzięcia teatralne. Skąd to rozdwojenie jaźni?

Wybrałem prawo, bo łączyło tematy, którymi byłem zainteresowany: historię, filozofię, logikę. Dało mi świetne fundamenty, dzięki tym studiom nie tylko poszerzyłem wiedzę, lecz także nauczyłem się, jak nie dawać sobie wciskać kitu. Zarazem ciągnęło mnie do świata rozrywki. Chciałem być jego częścią. Szybko odkryłem, że nie nadaję się na aktora, brakowało mi talentu, wyglądu, śmiałości. Mogłem za to robić inne rzeczy: ustawiać światła, zajmować się dźwiękiem. Byłem niesłychanie szczęśliwy, mogąc w jakikolwiek sposób przyczynić się do tego, żeby publiczność biła brawo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE RECENZJĘ KSIĄŻKI LEE CHILDA „NOCNA RUNDA” NA STR. 53

Majstersztyki

Marka Nowakowskiego



Krzysztof Masłoń

Był mistrzem krótkich form prozatorskich. Jego opowiadania to himalaje literatury polskiej drugiej połowy XX i początków XXI w., a takie zbiory z lat 70. jak „Gdzie jest droga na Walne”, „Książę Nocy” czy minipowieść „Wesele raz jeszcze”, to ich korona.

Pisał Marek Nowakowski o tych, o których inni autorzy nawet się nie zająknęli, w związku z czym, nieco ironicznie, określano go jako piewę marginesu społecznego, co było dużym uproszczeniem. Zresztą to nieprawda. Penetrował pisarsko środowisko przestępcze, owszem, ale najogólniej rzecz ujmując, interesowali go ludzie i rzeczywistość, w jakiej przyszło im funkcjonować.

Odsłonił świat, wcześniej pozostający poza zainteresowaniami PRL-owskiej literatury. Na światło dzienne wydobył to wszystko, co się działo w zaułkach ulic mających złą sławę, w kamienicach, w których na listach lokatorów próżno było szukać przodowników walki i pracy, ba, niepodobna było nawet znaleźć takiej listy. Pisarza w równym stopniu interesowali złodzieje i paserzy, lumpy czy pracownicy szarej strefy, dorabiający gdzieś u prywaciarzy, osobnicy z mianem pasożytów społecznych, drobni geszefciarze. Jednak fascynowali go również ludzie sukcesu. Często łączyła ich niechęć, a nierzadko nienawiść i pogarda do systemu, który miał nas uszczęśliwić, a przyniósł same nieszczęścia. W wolnej od komunizmu Polsce zmieniło się wiele, pod wieloma względami wszystko, ale nieszczęścia pozostały. Marek Nowakowski widział je, rejestrował, pokazywał. Tak postrzegał swoją rolę społeczną.

W jego książkach, i to od samego początku, często pojawiali się np. starzy

ludzie. W bezzwzględnym świecie przedstawianym przez pisarza nie żyło im się lekko. Na umierającego pasera Kiciuchę czyhał już pazerny Wazelina, by przejąć po nim wszystko, wraz z kobietą. Podobne problemy mieli inni bohaterowie opowiadań z tomu „Ten stary złodziej” (1958): Trzyczwartak z Kaczorem czy Tapeta z Ząbkim. Jednak przecież ten ostatni zawahał się przed skrzywdzeniem starego współnika przez pamięć, że był on kiedyś charakterny.

Bo w tamtym dawnym świecie – przywoływanym przez pisarza – choć, co prawda, „wilki podchodziły ze wszystkich stron”, obowiązywały jeszcze jakieś zasady. Oczywiście łamane, nie zawsze jednak i nie przez wszystkich. Był to inny świat, z korzeniami w epoce przedwojennej. Świat, w którym starość równała się mądrości, podziwiano dawne zasługi, a do nestorów chodziło się po radę i wsparcie, którego – w miarę możliwości – nie odmawiali. W tamtym świecie dziecko upodobało się do dorosłych, gdy dziś przeciwnie – starcy wbijają swe pomarszczone członki w młodzieżowe ubranka. Emeryci mają siedzieć w domu przed telewizorem, wzruszać się serialami, oddawać rentę dzieciom, a jeszcze lepiej wnukom, i jak najmniej się odzywać. A do knajp nie zaglądać, bo psują estetykę wnętrza.

Z czasem obraz tej starości u Nowakowskiego będzie coraz bardziej ponury, by w „Stygmatykach” (2005) spowić się w smugę cienia najczarniejszą z czarnych. Jednak to nic, sympatia pisarza będzie zawsze po stronie tych niezaradnych, jakże często niedoświadczonych ludzi, ba, nawet wraków ludzkich, budzących może politowanie, ale nigdy wzgardę. „Ze starowinami mam ciągłe kłopoty” – przyznawał w opowiadaniu „Popapraniec” z tomu „Silna gorączka” (1963).

Z upływem lat inaczej również będzie postrzegać Marek Nowakowski swoich rówieśników i siebie samego. Na jednym



FOT. TOMASZ PACIOŚ/FOTONOWA

z ostatnich spotkań pokazał mi stare zdjęcie, które – jak mi się zdaje – wylądowało na obwolucie „Dziennika podróży w przeszłość” (2014). Komentował je słowami w rodzaju: „Gdzie są chłopcy z tamtych lat”, każąc mi podziwiać muskulaturę rozebranego do połowy chłopaka, którego ledwie widziałem na fotografii marnej jakości. Rozemocjonowany opowiadał, jaki to z tego faceta był kozak. Wydawało mi się, że dziś byle dresiarz po obowiązkowym stażu w siłowni robi większe wrażenie, ale zachowałem tę refleksję dla siebie. Marek był wierny przeszłości.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SŁOWA I CZYNY

Jedną z pierwszych książek napisanych przez Nowakowskiego w III RP były „Strzały w motelu George” (1997), przyjęte bez entuzjazmu, choć dziś widać jak na dłoni, że autor bezbłędnie wyczuł nastroj nadchodzących czasów. Powstawała polska mafia, rodziła się też polska klasa średnia, a temu zjawisku poświęcił pisarz inną książkę, mikropowieść „Homo polonicus” (1992), w której stworzył postać istic archetypowego beneficjenta III RP, Stasia Bombiaka,

biznesmena, któremu słowa wystaje z butów. Przestrzeń, w której się osobnik ten porusza, autor z detalami opisał następnie w zbiorze 46 miniatur prozatorskich „Prawo prerii” (1999), ukazujących panoramę Polski jako jednego wielkiego bazaru.

Równocześnie coraz głębiej zanurzał się Nowakowski w przeszłości. To wtedy powstał bardzo cenny cykl „Powidoków” (wydawanych od 1995 r.), obrazów Warszawy, której już nie było. Współczesność stolicy pokazywał w „Opowiadaniach ulicznych” (2002), jej dzień wczorajszy w „Powidokach” właśnie, na podstawie których zrealizowano zresztą dziewięciopodciękowy serial telewizyjny, z Markiem w głównej roli warszawskiego cicerone. W roli tej czuł się coraz lepiej. „Miasto, czyli świat” – pisał, a to miasto znał jak własną kieszeń. Nic dziwnego, że pomagał w promocji Orkiestry Staśka Wielanka czy zespołu Szewagierkolaska, choć nie był specjalnym admiratorem Grzesiuka ani „warszawskiego” folkloru. Jednak to była jakaś część jego świata, o którym ani nie chciał, ani nie potrafił zapomnieć.

Był aktywny na różnych polach, m.in. mocno zaangażował się w tworzenie Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Przewodniczył jej kapitule, zależało mu, by wyróżnienie to zyskało jak najwyższą rangę. W tekstach publicystycznych i wywiadach, których udzielał, zabierając głos w sprawach publicznych, wielokrotnie ostro występował przeciw okragłostołowej taktyce obozu Solidarności. Piętnował postkomunistów i liberałów, ale to nie przynależność partyjna decydowała o tym, kogo cenił, a kto był mu wrogi, obcy czy obojętny. Ponieważ brał pełną odpowiedzialność za swoje słowa i czyny, domagał się tego także od innych. Chociaż, z drugiej strony, postawa Katona była mu z gruntu obca.

Wolna ojczyzna nie stała się dla niego Polską jego marzeń, choć pewnie mogła. Mało kto był tak predestynowany do zajęcia w III RP wysokiego stanowiska, do czerpania profitów ze swej wcześniejszej działalności jak właśnie Marek. Nie chciał, pazerność na dobra doczesne była mu z gruntu obca, zaś zaszczyty... Tych mu raczej szczędzono. Jednak też nie wypinał piersi po order, które powinien otrzymać choćby za walkę z komuną. Z politycznym kombatanctwem się nie obnosił. To zupełnie nie było w jego stylu.

A czy na czymś Markowi Nowakowskiemu zależało? Pewnie, tak jak każdemu człowiekowi pióra na pisarskiej sławie. Tej zaznał w stopniu raczej ograniczonym.

Kolejne, wydawane przez niego tomy odnotowywano, recenzowano albo i nie. Chwalili go krytycy uznawani za prawicowych, ci z drugiej strony wytykali autorowi „Fortuny liliputa” (1996) rzekome anachronizmy. Bywało, że Salon wżgardliwie milczał, czym – sędzę – przejmował się najmniej, bo przecież znał go doskonale.

GŁĘBOKI URAZ I JESZCZE GŁĘBSZY GNIEW

Coraz bardziej dystansował się Nowakowski od luminaryz środowiska pisarskiego. Autorami związanymi z PZPR jawnie gardził, jeśli zaś chodzi o „dobre towarzystwo”, o stalinowców, którzy w ciągu jednego dnia przepoczwarzyli się w opozycję, to nie potrafił wybaczyć im ani tej nagłej wolty, ani – tym bardziej – gorliwego uczestnictwa w „hańbie domowej”. Niechęć do tej formacji pozostała mu na dłużej, choć przecież takie np. „Strzały w motelu George” swój pierwodruk miały jeszcze w „Gazecie Wyborczej”.

Na szczęście nie opuszczała pisarza wena. W nawiązujących tematycznie do „Powidoków” tomach „Nekropolis” (2005, 2008), opowiedział już nie o dawnej Warszawie, ale o Warszawie umarłej, o Warszawie, której nie ma. Hojną ręką ofiarował też czytelnikom swoje autobiograficzne książki: „Pióro” i „Dziennik podróży w przeszłość”. I – najważniejsze – zbiór opowiadań „Czarna i Mała” (2010), z jakże innym od całej reszty „Piorunkiem”, smutną opowieścią o prowadzonym na spód żrebacku, ale i o radości życia, i o... miłości – choćby i do zwierząt. Warto też jeszcze przypomnieć obraz postpegeerowskiej rzeczywistości, jaki stworzył Nowakowski w „Psich Głowach” (2008).

W PISARSKIM MOZOLE

Marek Nowakowski zmarł w wieku 79 lat, 16 maja 2014 r. Pochowany został na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. W opowiadaniu „Mój Przyjaciel Pisarz” z tomu „Portret artysty z czasu dojrzałości” (1987) tak pisał o swoim dojrzewaniu twórczym: „Wiedziałem, że sztuka to nie żadna lekkość i bajeczna kraina uniesień, ale ciężka harówka, gdzie najważniejsza jest uczciwość wobec siebie i mozolne przedzieranie się przez gąszcz kłamliwych słów w poszukiwaniu tego jednego jedyne, które przylega do rzeczy jak skóra do ciała”.

I takie słowa znajdował. „Na Annopolu doliniarze powiadają:

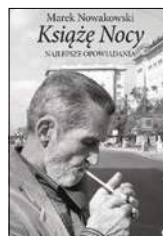
»Wspólnik jest jak brat«” – zdanie to, otwierające debiutancki tom Marka „Ten stary złodziej” (1958), przeczytałem pierwszy raz pół wieku temu, a mógłbym je powtórzyć obudzony w środku nocy. Podobnie jak podsumowanie życia bohatera innego opowiadania z tego zbioru – „Kwadratowego”: „To był największy połykacz”. I dziesiątki innych.

Był pisarzem niezwykle wyczulonym na głos ulicy. Zawsze pisał dla tutejszego czytelnika, dla swojaka. W okresie pomarcowym zdarzało mu się publikować w Paryżu u Jerzego Giedroycia, ale to dopiero w latach stanu wojennego stał się częstym autorem Instytutu Literackiego. Wcześniej podpisywał się tam pseudonimem Seweryn Kwarc. Nie dlatego, że brakowało mu odwagi – tej nie zbywało mu nigdy, ale niecierpliwie czekał na moment, kiedy będzie mógł z powrotem oficjalnie drukować swoje książki. Doskonale wiedział bowiem, gdzie ma swoich odbiorców i pod jakimi warszawskimi adresami ich znajdzie. Drugi obieg, którego był – jak by to nie zabrzmiało dziwnie – gwiazdą, nie gwarantował mu dostępu do tych wszystkich, na których mu zależało.

Do mistrzostwa swoich opowiadań doszedł nie dzięki poszukiwaniom formalnym i eksperymentom językowym. Nie próbował – jak konstatował Jan Walc – „dokonać zasadniczego przełomu w sztuce prozatorskiej, wymyślić nowego kierunku, stworzyć własnego, wymyślonego świata. Tym wszystkim zajmuje się zupełnie chyba wystarczająca ilościowo grupa jego kolegów”. Przez lata z uporem godnym lepszej sprawy wpisywano go w mały realizm, nie dostrzegając tego, że nawet najbardziej naturalistyczne obrazy Nowakowskiego były zawsze literacką reakcją na rzeczywistość, a nie reporterskim odzwierciedleniem faktów. Gdybym w jednym zdaniu musiał określić to, czym się zajmował w swojej twórczości, powiedziałbym, że nieprzerwanie snuł swoją prawdziwą opowieść o prawdzie.

Taki był ten „Pojedynyk”, jak sam o sobie powiadał. Marek Nowakowski, pisarz osobny, pisarz doskonały.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Nakładem wydawnictwa Iskry ukazał się wybór 40 opowiadań Marka Nowakowskiego zatytułowany „Książę Nocy. Najlepsze opowiadania”. Poprzedza go wstęp Krzysztofa Masłonia „Majstersztyki Marka Nowakowskiego”, którego skróty tutaj przedrukujemy.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nic śmiesznego

Większość sierot po Związku Sowieckim „Śmierci Stalina” nie obejrzy. W Rosji rozpowszechnianiu tego filmu zgodnie sprzeciwili się aparaczkowcy, ze służbowego obowiązku nasłuchujący, co w kulturze piszczy, dyrektor moskiewskiego Muzeum Historycznego i sztandarowy rosyjski reżyser Nikita Michalkow.

Nie zabolalo ich to, że tytułowy bohater został przez innostraićców sportretowany jako tyran żądny krwi poddanych. Na Wschodzie wrażliwość jest inna. Sadystycznemu władcy zbrodnie należy wybaczyć, jeśli w wolnych chwilach potrafił zadbać o państwo. A Stalin potrafił – i to jak! Gdy europejskie imperia jedno po drugim chwiały się i upadały, sowiecka ośmiornica coraz bardziej rosła w siłę, zaś jej ideologiczne macki sięgnęły najdalszych zakątków Ziemi. Orientalny

despota może (a nawet powinien) wzbudzać strach lub uwielbienie. Kpić z niego mogą jedynie ludzie pozbawieni uczuć patriotycznych oraz instynktu samozachowawczego. Za życia generalissimusa dowcipnisie z miejsca trafiali do Gułagu. Jednak potem w Kraju Rad krzywo patrzono na takich, którzy wielkości uszanować nie potrafili.

Brytyjczycy mają zgola inne tradycje, więc Stalina i jego przybocznych potraktowali z buta. W filmie Iannucciego żadnej wielkości nie uświadczysz, jest jedynie małość (choć w różnoraki sposób się przejawiająca). Warto podkreślić, że autorzy tej jadowitej satyry o komiksowym rodowodzie lekcje odrobili. Fabuła jest niemal w stu procentach zgodna z ustaleniami historyków.

„Śmierć Stalina” operuje humorem czarnym jak bezkسیężycowa noc na Syberii. Syn denuncjuje

ojca, kobiety są gwałcone przez oprawców lub same im się oddają, by ratować bliskich. Rozstrzelani skazańcy wznoszą okrzyki na cześć genseka. Nikt nie jest bezpieczny. Nad każdą szyją wisi miecz Damoklesa. Z czego tu się śmiać? Z wiecznie pijanego syna czerwonego cara? Z giętkich kręgosłupów dworzan, którzy z entuzjastów dzierzymordzia w sekundę są gotowi przepoczwaryć się w reformatory?

Próbując oswoić to egzotyczne towarzystwo, filmowcy sięgnęli po cytaty z klasyki zachodniej popkultury. Ma to pewne uzasadnienie: Stalin zmuszał członków politbiura do oglądania hollywoodzkich westernów i musicali. Nie dałbym jednak złamanej kopiejką, że marszałek Żukow wiedział, kto zacz Coco Chanel. Aktorów dobrano pod kątem predyspozycji. Steve Buscemi, mało do Chruszczowa podobny, wypadł znakomicie, bo role gangsterów udających pocziwców od lat są jego specjalnością. A kimże w końcu byli wujaszek Joe i jego czerwona drużyna, jeśli nie banda kryminalistów? Miała być komedia, wyszedł dobry film. ©©



★★★★★
REŻ. ARMANDO
IANNUCCI
„ŚMIERĆ
STALINA”
WIELKA
BRYTANIA/
FRANCJA 2017

wyst. Steve
Buscemi, Simon
Russell Beale,
Jeffrey Tambor



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „RAMPAGE: DZIKA FURIA”

Tegoroczny wysyp filmów rozrywkowych, głośnych i niespecjalnie mądrych, zaczyna się nie tylko od nowej części „Avengers”. „Rampage” to dzieło reżysera katastroficznego „San Andreas”. Tym razem zabrał się do filmu inspirowanego popularną grą. Z grubsza chodzi o uchronienie świata przed mutującymi się zwierzętami, które

ogarnia nieodparta chętka niszczenia wszystkiego wokół. W roli głównej Dwayne Johnson, dzielący ekran z bardzo wielką małpą. ©©

Piotr Gociek

• „Rampage: Dziką furia”, reż. Brad Peyton, wyst. Dwayne Johnson, Naomie Harris, Jeffrey Dean Morgan, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Prawdziwa historia”, reż. Roman Polański, Francja 2017
- „Tully”, reż. Jason Reitman, USA 2018
- „Katyń – Ostatni świadek”, reż. Piotr Szkopial, Polska/Wielka Brytania 2018
- „Sobibór”, reż. Konstantin Khabenskiy, Rosja 2018

Wielka czystka

Twórcy najbardziej dochodowego kinowego serialu XXI w. musieli w końcu zjeść tę żabę, czyli rozwiązać problem, który sami stworzyli, mnożąc bez wytchnienia szeregi superbohaterów obdarzonych supermocami. Iron Man i Doktor Strange nie pałają do siebie sympatią, bo świat zrobił się dla takich jak oni za ciasny. Scenarzyści wysłali więc obrońców ludzkości do gwiazd, by ratowali kosmiczny porządek. Zagraża mu zwalasty ekoterorysta, przekonany, że połowę istot żyjących trzeba wybić, by druga połowa mogła żyć godnie.

Dotąd Thanos siał zniszczenie tradycyjnymi metodami, teraz zapragnął wejść na wyższy poziom. Na wieść, że Kamienie

Nieskończoności „kontrolujące wszystkie aspekty stworzenia” mogą wpaść w ręce fanatyka, herosi spod znaku Marvela jednoczą siły i zaczyna się totalna rozwałka. Widzowie mniej zahartowani w bojach mogą dostać oczopląsu. Fabuła ma rozmach iście wagnerowski, tym razem patos wygrał z autoironią.



★★★★★

REŻ. ANTHONY RUSSO, JOE RUSSO
„AVENGERS – WOJNA BEZ GRANIC”
(„AVENGERS: INFINITY WAR”) USA 2018

wyst. Robert Downey Jr, Benedict Cumberbatch, Chris Hemsworth

Ze wstydem przyznaję, że niezbyt porywa mnie komiksowa mitologia, żerująca na greckich, biblijnych i szekspirowskich motywach. Trudno przejąć się kosmiczną apokalipsą, skoro do odwrócenia jej skutków wystarczy jeden kamień. Podstawowy cel, czyli sprawienie, by publika na 150 minut zapomniiała o bożym świecie, został jednak osiągnięty. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „BATTLETECH”

Zanim narodziło się uniwersum „MechCommandera”, popularnej w latach 90. serii taktycznych pojedynków uzbrojonych po zęby robotów, ponad dekadę triumfy święcił „BattleTech”. Świat brutalnej wojny domowej, zdominowanej przez rywalizujące o kontrakty frakcje najemników...

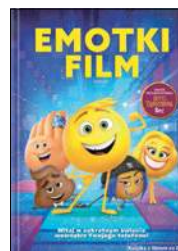
również dysponujących mechanicznym arsenałem. Dobra wiadomość dla stęsknionych fanów jest prosta: „BattleTech” powraca. Z ciekawą fabułą oraz turowymi starciami, połączonymi z kompletowaniem załogi i wyposażaniem meków. Co nie pozwala się cieszyć do końca? Zbyt



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W KUPIE RAŻNIEJ?

Film „Emotki” wyróżnia się – niestety w obszernej kategorii „filmy o niczym”. Wyróżnia się tym, że wyjątkowo trudno znaleźć dla niego usprawiedliwienie. Tym razem granice wytrzymałości widza zostały przekroczone. Historia małego emotikona, który jest nieszczęśliwy, bo chciałby mieć inny wyraz twarzy, to rzecz tyleż absurda, co nudna. Pomysł na krótki skecz kabaretowy, nie na kinowy przebój. Są i inne wątpliwości. Czy ma sens wmawianie dzieciom, że prawdziwie magiczny świat znajduje się we wnętrzu ich smartfonów i że jakość ich życia zależy od aplikacji? Nie mówiąc o tym, że od filmu, w którym poziom humoru wyznaczają krążące wokół wydalania teksty wypowiediane przez cyfrową kupę, należy po prostu trzymać się z daleka.



★★★★★

REŻ. TONY LEONDIS
„EMOTKI. FILM”
USA 2017,
IMPERIAL

wyst. T.J. Miller, James Corden, Anna Faris

NIEZBYT PIĘKNA KATASTROFA

Barman niemowa zakochany (z wzajemnością) w pięknej kelnerce po jej tajemniczym zniknięciu próbuje poruszyć niebo i ziemię, by wyjaśnić tę zagadkę. Dwóch amerykańskich weteranów z Afganistanu (i przy okazji dezertierów) pracuje dla mafii – jeden z nich, ojciec małej dziewczynki, chce w ten sposób zarobić na lewe papiery i ucieczkę z Niemiec. Rzecz dzieje się bowiem w Berlinie połowy XXI stulecia, który wygląda trochę jak plan serialu „Modyfikowany węgiel”; a trochę jak „Blade Runner”. Chociaż jest to wyśniony projekt Douglasa Jonesa, to tym razem reżyser „Moon” nie dał rady. Scenariusz jest słabutki, a co gorsza – nie ma żadnego powodu, dla którego kryminalno-rodzinny intrygę należało zamieniać w thriller SF. Materiał na B-klasowy kryminał rozsypuje się jeszcze bardziej w rękach reżysera, bo historia opowiedziana jest bez tempa i bez nastroju, a większość postaci bardziej irytuje, niż przykuwa uwagę. Zostały efektowne dekoracje, trochę scen jak z pornosów BDSM i aktorzy, którzy się męczą, bo nie wiedzą, co grać.



★★★★★

REŻ. DOUGLAS JONES
„MUTE”
USA 2018,
NETFLIX

wyst. Alexander Skarsgård, Paul Rudd, Justin Theroux

©© recenzuje Piotr Gociak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Warszawska trylogia 1905

Otym, co się działo w 1905 r. w Rosji, ale i w Priwisłan-skim Kraju, i w Warszawie, wiemy zatrzważająco mało.

W PRL sprawę odfajkowywano hasłami rewolucyjnymi, „krwawą niedzielą” w Petersburgu, a w Polsce – strajkami szkolnymi. W wolnej Polsce niewiele się pod tym względem zmieniło, co w jakiejś mierze jest nawet zrozumiałe, zważywszy, że rok 1905 to czas bezprzykładnego nasilenia terroru nie tylko ze strony zaborcy, lecz także polskich organizacji z bojowcami PPS na czele. Krew lała się strumieniami, także w Warszawie, dość przypomnieć stu zabitych podczas styczniowej demonstracji i 32 poległych w manifestacji pierwszomajowej.

W ogóle działo się wówczas wiele rzeczy strasznych i bardzo dobrze, że przypomina je w swojej nowej powieści „1905” Wacław HOLEWIŃSKI. „Pogrom” to pierwszy tom zamierzonej przez tego wytrawnego autora, m.in. laureata Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, trylogii, którą rozpoczął od wydarzenia, którego próżno byłoby szukać w podręcznikach i które przez studia historyczne traktowane jest najwyraźniej jako mocno wstydlive. Otóż między 24 a 26 maja 1905 r. doszło w Warszawie do brutalnych samosądów na sutenerach, burdelmamacach i prostytutkach. Wszystko wskazuje na to, że pogromy te zainspirowali Moskale, umiejętnie sterując „gniewem ludu”, by choć na krótko obrócić go w inną stronę.

Na to, co się działo wtedy w mieście, patrzmy oczami ówczesnych rzezimieszków, „dam do towarzystwa”, a także dziennikarzy oraz rewolucjonistów i – wreszcie – zaborców, którzy nad Wisłą czuli się coraz mniej pewnie. Doszło do tego przecież, że generał-gubernator warszawski Konstantin Kławdijewicz Maksymo-



FOT. WŁODZIMIERZ WASILUK/JEST NEWS

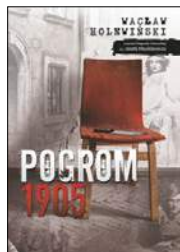
wicz ze strachu przed zamachem zamknął się w Twierdzy Zegrze, skąd nie wychylał nosa. Niedługo rządził w Warszawie – od 19 lutego do 28 sierpnia 1905 r. Ta druga data zamyka pierwszy tom powieści HOLEWIŃSKIEGO, w którym pojawiają się już tak ważne postaci historyczne jak następca Maksymowicza – Gieorgij Skałon, którego pierwszym krokiem było wprowadzenie stanu wojennego, czy „żandarm-intelektualista” Andriej Margrafski, bliski znajomy Gabrieli Zapolskiej, któremu przypisuje się zwerbowanie dla ochrony Stanisława Brzozowskiego, a którego 2 sierpnia 1906 r. pozbawił życia Tomasz Arciszewski, w końcu II wojny światowej i zaraz po niej premier polskiego rządu na uchodźstwie. A w tle mówi się o największych naszych bohaterach, takich jak Stefan Okrzeja, schwytany w trakcie zamachu na policyjny cyrkuł na Pradze, a w konsekwencji powieszony – w wieku 19 lat – na stokach Cytadeli.

Czyta się „Pogrom 1905” znakomicie, a zainteresować powinien nie tylko miłośników historii. Ja w każdym razie po przeczytaniu postawiłem powieść na półce tuż obok najlepszej, moim zdaniem,

książki Agaty Tuszyńskiej – wydanych przez nią jeszcze u Jerzego Giedroycia „Rosjan w Warszawie”.

Jednak na koniec zostawiłem sobie drobne, a może wcale nie-drobne, wytknięcie edytorskiego błędu. Otóż powieść zaopatrzona jest w przypisy, bardzo pomocne, gdy np. autor wtrąca zwroty z języka jidysz, bo w końcu jeśli nawet wiemy, kim był szajgecz (tłumaczony jako łobuz), to już kim mamzer – niekoniecznie. A był to, nie ma co ukrywać, skurwysyn. Podobnie warto było wyjaśnić, że samojedy to dzisiejsze samochody, a przystaw to policyjny komisarz. Na tej samej zasadzie postanowiono przeliczyć używane wówczas w Warszawie rosyjskie jednostki miar i wag. Z funtem poradzone sobie, a trzeba wiedzieć, że w stolicy Kraju Nadwiślańskiego funt masła kosztował 40 kopiejek, funt sera – 15 kopiejek, a funt baraniny – 20. Gorzej poszło z wiorstami. Oto zesłaniec syberyjski wspomina swoją dramatyczną drogę na Wschód: „Jeden drugiego ciągnął. Padaliśmy, ktoś pomógł wstać i zaraz sam padał. W tych armiakach [rodzaj płaszcza – przyp. K.M.] wyglądaliśmy jak kupa nieszczęść. Pięćset wiorst w miesiąc. Deszcz, wiatr, śnieg. Idziesz, idziesz i tylko marzysz, aby paść na barłóg i odpocząć”. I wszystko byłoby w porządku, nasze współczucie dla katorżnika – przeogromne, niepotrzebnie jednak zaopatrzono ten fragment w odsyłacz informujący, że „wiorsta równała się 605 kilometrom”. Gdyby tak było, zesłańcy w ciągu miesiąca pokonywaliby odległość 302 500 km. Dla porównania: równik liczy niewiele ponad 40 tys. km. A wiorsta równała się nie 605 km, lecz 1067 m.

Cóż, redaktor Mieczysław Grydzewski wiedział, naturalnie, że „Pana Tadeusza” napisał Słowacki, to znaczy oczywiście Mickiewicz, i właśnie dlatego przed drukiem sięgał do encyklopedii. ©©



★★★★★
WACŁAW
HOLEWIŃSKI
„POGROM 1905”
ZYSK I S-KA 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Sygnet i dziewczyna

Lata mijają, Jack Reacher się nie zmienia. I za to właśnie kochają go czytelnicy. Weteran wojskowej żandarmerii, który nigdzie nie może zagrać dłużej miejsca, przemierza świat niczym bohater westernu. Pojawia się znikąd, rozprawia ze złymi ludźmi i rusza w dalszą drogę bogatszy o parę blizn, wspomnienie nocy z piękną kobietą i kilka gorzkich przemyśleń na temat ludzkiej natury.

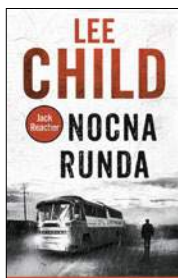
W „Nocnej rundzie” wydarzeniem wprowadzającym akcję w ruch jest dostrzeżony na wystawie lombardu sygnet z West Point, akademii wojskowej, którą ukończył także sam Reacher. Pierścień jest mały, najpewniej należał do kobiety. Cóż takiego sprawiło, że właścicielka pozbyła się nagrody, za którą tysiące dałyby się pokroić? Ktoś ją zabił i zdjął sygnet z palca? A może sama go sprzedała? Tylko dlaczego? Nałóg? Depresja? Gest protestu? Reacher zabiera się do roboty zbrojnej w to, co zwykle: cierpliwość, intelekt, doświadczenie i własne pięści.

Dwudziesta druga powieść popularnego cyklu jest mało efektowna w porównaniu z tymi częściami cyklu, w których pojawiały się tajne atomowe bunkry, międzynarodowy terroryści i spiski godne książek Ludluma. Jest za to bardzo ludzka, bo pełna

sympatycznych bohaterów, którym kibicujemy (oprócz Reachera są to także pewna policjantka i pewien prywatny detektyw) oraz współczujemy (nie tylko zaginionej absolwentce West Point). Lee Child, autor doświadczony i niegłupi, rozważnie dobiera składniki – trochę kłopotów rodzinnych, trochę obrazków ze świata drobnych przestępców i nieco większych dilerów, nieco refleksji, kiedy zastanawia się (nie pierwszy raz) nad tym, jak trudno czasem bohaterom misji w Iraku czy Afganistanie rozpocząć nowe, cywilne życie. Jeśli miałbym trochę narzekać, to jedynie na finałową rozprawę. Z drugiej strony trudno o jakieś specjalne fajerwerki, kiedy przeciwnikiem jest... nie, nie naciągnięcie mnie na spoilery.

Kiedy podczas spotkania pisarza z polskimi czytelnikami w Warszawie pewna zaperzona jejmość zarzuciła mu, że pisze w kółko to samo, pisarz odpowiedział

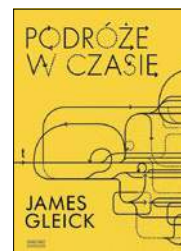
pytaniem: „Czy chcielibyście, żebym nie pisał już o Reacherze?”. „Nieee!” – chórem odparła sala. Najbardziej lubimy piosenki, które już znamy, a Jack Reacher ma szansę na równie długie życie jak James Bond. I pewnie jak on przeżyje swojego stwórcę. ©



★★★★★
LEE CHILD
„NOCNA RUNDA”
ALBATROS 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Czy pamiętasz, kiedy po raz pierwszy usłyszałeś o podróżach w czasie? Wątpię” – pisze amerykański popularyzator nauki, laureat trzech Nagród Pulitzera. I mówi o wzajemnym wpływie nauki i kultury na siebie oraz na to, jak postrzegamy czas.



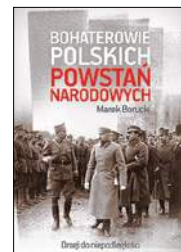
JAMES GLEICK
„PODRÓŻE
W CZASIE”
ZYSK I S-KA

Manifest ideowy francuskiego prezydenta, któremu marzy się miejsce na kartach historii z opisem „wielki reformator Unii Europejskiej”. Warto sprawdzić, w których miejscach Polakom może być z nim po drodze (dodam, że w niewielu).



EMMANUEL
MACRON
„REWOLUCJA”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Od powstania kościuszkowskiego do warszawskiego, z uwzględnieniem bohaterów rzadziej dziś wspominanych zrywów (takich jak Wiosna Ludów). Prawdę mówiąc, należałoby znaleźć miejsce także dla bohaterów poznańskiego Czerwca '56.



MAREK BORUCKI
„BOHATEROWIE
POLSKICH
POWSTAŃ
NARODOWYCH”
MUZA

Obszerna opowieść o słynnej aktorce, w której tyleż miejsca, co rozważania nad jej prywatnymi demonami zajmuje próba zrozumienia fenomenu jej popularności i korzeni legendy, którą tak szybko obrosło życie Marilyn.



SARAH
CHURCHWELL
„TWARZ MARILYN
MONROE”
MARGINESY

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jo Nesbø „Macbeth”** (Wydawnictwo Dolnośląskie) – autor cyklu o Harrym Hole’u tym razem o porachunkach policyjno-przestępczych lat 70.
2. **Katarzyna Puzyńska „Nora”** (Prószyński i S-ka) – dziewiąta powieść z cyklu kryminałów, których akcja rozgrywa się w zaciśniętym Lipowie.
3. **Olga Tokarczuk „Opowiadania białe”** (Wydawnictwo Literackie) – 10 opowiadań autorki „Ksiąg Jakubowych”.
4. **Anna Ficner-Ogonowska „Okruh”** (Znak) – nowa powieść popularnej autorki literatury kobiecej. Niespodziewana miłość plus rodzinne tajemnice.
5. **Vincent V. Severski „Zamęt”** (Czarna Owca) – międzynarodowy thriller autora trylogii „Niewierni”. Czyli tajna sekcja polskiej Agencji Wywiadu w akcji.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Bonito.pl)

Noszą amerykańskie mundury, stacjonują w Europie, ale nie są tu po to, by odstraszać potencjalnych wrogów, lecz by... przyciągać. Przyciągać Europejczyków do sal koncertowych, w których rozbrzmiewa amerykański jazz. Co się udaje, bo na ich występach puste krzesła to raczej widok niespotykany. „Ambassadors”, czyli zespół Amerykańskich Sił Powietrznych w Europie, koncertował w Polsce w ramach kampanii „100 lat razem”, podkreślając przyjaźń polsko-amerykańską.

„Ambassadors” to przede wszystkim klasyki jazzowe, głównie amerykańskie swingowe szlagiery z lat 30. i 40. XX w. Zespół z 75-letnią tradycją pozostaje wierny tym brzmieniom, ale się w nich nie zamyka. Dlatego na koncertach usłyszeć można ich aranżacje również nowszych standardów jazzowych.



FOT. ROB MUMFERY/MATERIALY PRASOWE

Ambasadorzy jazzu

Historia grupy sięga 1943 r., kiedy to puzonista Glenn Miller po wstąpieniu do armii stworzył Army Air Corps Band. Stacjonując w Anglii, grał z zespołem aranżacje jazzowe w BBC. Po wyzwoleniu Paryża wraz ze składem miał się przenieść do Francji, ale nigdy tam nie dotarł. Przez długi czas uważano, że zginął w katastrofie samolotu nad kanałem La Manche, ale w latach 80. XX w.

jego brat ogłosił, że muzyk zmarł krótko po przylocie do Francji na raka płuc, a niejasne okoliczności śmierci zaplanował, bo chciał zostać zapomniany.

Obecnie stałą siedzibą zespołu Amerykańskich Sił Powietrznych w Europie jest baza Ramstein w Niemczech. Koncerty w Polsce zorganizowano w kwietniu, który w Stanach Zjednoczonych jest miesiącem jazzu. Wejściówki

zarówno na te darmowe, jak i płatne występy muzyków jazzowych rozchodziły się bardzo szybko. Tegoroczne tournée po Polsce zorganizowano, by podkreślić dwie ważne rocznice – stulecie naszej niepodległości przypadające w tym roku oraz przyszłoroczną setną rocznicę ustanowienia stosunków dyplomatycznych między USA a Polską. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

Czar miejskiego folkloru

Wstulecie urodzin (6 maja) Stanisława Grzesiuka Warszawskie Combo Taneczne przypomina 22 piosenki z repertuaru barda warszawskiego Czerniakowa.

Przed nowym rokiem ukazał się rewelacyjny album „Noc w wielkim mieście” Jazz Bandu Młynarski-Masecki z piosenkami przedwojennych orkiestr tanecznych. Tym razem Jan Emil Młynarski na czele WCT składa hołd mistrzowi szemranej piosenki. Wyśpiewuje hymny robotniczej stolicy (m.in. „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka”, „Czarna Mańka”, „Wszystkie rybki”) z niebawym urokiem i poszanowaniem dla tradycji.

To trzeci album Warszawskiego Comba Tanecznego, które od dziesięciu lat popularyzuje folklor

miejski. Robi to z wielkim pietyzmem i z wykorzystaniem klasycznego instrumentarium, do którego należą m.in. piła, mandolina i bandzola. W nagraniu usłyszymy oryginalne „drewno” (tak swoją bandzolę nazywał Grzesiuk), które przeszło renowację po 60 latach, oraz katarzynkę, którą zbudował organmistrz z Bielna, Mirosław Prymek. W pięciu nagraniach wziął też udział Jerzy Jastrzębski – legendarny akordeonista Orkiestry Ulicznej z Chmielnej.

Czy te piosenki wciąż się bronią? Zdecydowanie, gdyż humor i groza podmiejskich opowieści nie utraciły dawnego powabu, a uliczny akcent i słownictwo rozbawia niejednego. A do tego nóżka sama przytupuje od pierwszej do ostatniej piosenki. ©©



★★★★★
WARSZAWSKIE COMBO TANECZNE
„STO LAT PANIE STAŚKU!”
TOINEN MUSIC



★★★★★
PETR & PAVEL ORM
„DISCOFIL”
GAD

Wytwórnia wyszukująca nietuzinkowe starocie uraczyła nas czechosłowackim, syntezatorowym disco z 1979 r. Niebanalne aranżacje, archaiczne brzmienia i urocze czeskie wokale doskonale pasują na hipsterską potanicówkę. ©©



★★★★★
SIMON REYNOLDS
„RETROMANIA”
KOSMOS KOSMOS

Jeden z najwybitniejszych brytyjskich krytyków błyskotliwie analizuje stan dzisiejszej popkultury (z naciskiem na muzykę), która „żywi się własną przeszłością”. Autor posiada socjologiczne zacięcie, zmysł obserwacji, wielką wiedzę i świetne pióro. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Sparta wciąż lakoniczna

Na majówkę pojechaliśmy na Peloponez. W ramach edukacji historycznej postanowiliśmy odwiedzić Spartę, choć wszyscy nas ostrzegali, że to nieciekawe miejsce, a na warunki greckie wręcz uderzająco brzydkie.

Faktycznie. Nowa Sparta jest prowincjonalna i przykurzona. Ze starej zostały smętne resztki. Tak nędzne, że zaspany strażnik nie pobiera za wejście żadnej opłaty, co jest w Grecji rzadkością, bo dziurę budżetową łąta się na wszelkie możliwe sposoby. A jednak Sparta bardzo mi się podobała, chociaż zawsze cierpiałem z tego powodu, że wygrała z Atenami wojnę peloponeską (wiadomo, zgnily ze mnie liberał).

Przede wszystkim niedysiejsze miasto wojowników jest bajkowo położone. Kiedy samotny turysta błąka się po żałostnych pozostałościach przeszłości, jego oczom ukazuje się wielce symboliczny widok. Za wątlmymi ruinami rośnie gaj oliwkowy, za nim rozciąga się nowoczesne miasto pozbawione jakichkolwiek cech charakterystycznych, a za nim, w oddali, piętrzą się ogromne góry Tajget. Są mniej więcej tak wysokie jak nasze Tatry, ale wrażenie majestatu jest silniejsze, bo morze znajduje się zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Ten obraz symbolizujący kruchość tego, co ludzkie, i wieczność natury można kontemplować godzinami. Tym bardziej że podróżnik będzie prawdopodobnie jedynym turystą w tym miejscu.

Ito jest druga rzecz, która urzekła mnie w Sparcie.

To miasto ma w nosie turystów. O nic nie zabiega, nie chce się przypodobać. Jest równie lakoniczne jak pół wieku przed Chrystusem. Przyznaję, że miałem w planach nabycie kilku tanich suwenirów. Mój plan jednak spalił na panewce, bo w Sparcie po prostu nie ma kramów z pamiątkami, które są wszak w każdym choć odrobinę ponętnym greckim miasteczku. Przy pomniku Leonidasa rozpostarli się jedynie zakurzona pustka i kilka pojemników na śmieci.

A przecież Sparta, nawet pomijana w przewodnikach, z łatwością mogłaby zdyskontować swą popularność, roznieconą nie tak dawno przez film „300”. Ludzie z bardziej błahych, a czasami wręcz idiotycznych powodów szturmują rozmaite zakątki świata. Bardzo łatwo byłoby przyciągnąć w to miejsce zastępy prawdziwych twardzieli podziwiających hoplitów spod Termopil. Łatwo byłoby zarobić na koszulkach, które są sprzedawane w Atenach (o ironio!) i wszędzie indziej, tylko nie przy posągu Leonidasa.

Sparta nie chce się jednak do nikogo wdzięczyć. Może nie potrafi, ale to chyba niemożliwe, bo Grecy mają wrodzony talent do handlu. Raczej więc nie chce. I w tym braku potrzeby bycia popularnym jest tak wspaniale wierna sobie, jest tak doskonale spartańska, że trudno jej nie lubić. Chociaż ona ma to gdzieś. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Rdzeń i otulina

Czasami odnoszę wrażenie, że jakaś część obozu dobrej zmiany popadła w złudne przekonanie, że jest już pozamiatane, totalna opozycja przegrała, a zwycięzcy mogą realizować swój skądinąd znakomity program. Własne kontakty towarzyskie upewniają ich w powszechnej akceptacji ich działań. Oczywiście są wrogowie. Jednak któż by się liczył z wrogami?

Tymczasem sprawa jest bardziej złożona. Elektorat Andrzeja Dudy i Zjednoczonej Prawicy nie składa się z samego twardego rdzenia.

Tymczasem odkąd trwa demokracja, odtąd wiadomo, że wyborów nie wygrają bezpartodowi zwolennicy, lecz niezdecydowani, którzy z jakichś powodów do nich dołączają. Kokietowanie już przekonanych nie doda ani jednego głosu. Nie wiem, jak zakończy się ostatecznie kwestia wolnych niedziel, ale związkowcy i tak głosowaliby na PiS. Podobnie jak zwolennicy zaostreżenia prawa antyaborcyjnego. Nawet jeśli władza nie zdecyduje się umierać za ich postulaty, nie zagłosują przecież na Nowoczesną czy SLD.

Niezależnie od osobistych przekonań dla Polaka kierującego się racją stanu najważniejsze jest wygranie przez prawicę czterech kolejnych wyborów. I wcale nie dlatego, że zwycięska opozycja wsadzi dzisiaj dobrą zmianę do więzienia, bo nie wsadzi. Kontynuowanie obecnych rządów jest niezbędne dla przyszłości Polski, dla której istotniejszy jest dynamiczny rozwój niż rozliczenie każdej byłej nieprawości. Strażnicy świętego ognia zapominają, jak często w naszej historii odnosiliśmy „moralne zwycięstwa” i realne klęski. Najczęściej wówczas, kiedy chciejstwo przysłańało trzeźwą ocenę sytuacji. Zysków i kosztów. Polityka, jak wiadomo, jest realizacją celów możliwych, a kompromis jednym z niezbędnych elementów gry. Oczywiście kiedy polega on na dwóch krokach naprzód i jednym w tył, a nie odwrotnie. ©©

Strażnicy świętego ognia zapominają, jak często w naszej historii odnosiliśmy „moralne zwycięstwa” i realne klęski

Istnieje poważna grupa, którą nazwałbym czasową otuliną. Motywy jej akceptacji dla rządu wypływają z wielu przyczyn i nie są to preferencje raz na zawsze. Nie oznacza to także poparcia dla rozmaitych sztandarowych spraw, takich jak degradacja generałów czy kwestia zamachu w Smoleńsku. Ludzie w swej masie chcą spokoju, stabilizacji, poprawy własnej sytuacji materialnej. Podobnie im się ściganie złodziei, pod warunkiem że sieć stanie się zbyt wielka, tak że zagrożeni mogą poczuć się wszyscy.



Piotr Zychowicz

Część Polaków zachowywała się wobec Żydów haniebnie. Nie oznacza to jednak, że cały naród polski jest współodpowiedzialny za Holocaust

Icek Unfasung był rzeźnikiem w Jósefowie w powiecie biłgorajskim. 13 lipca 1942 r. Niemcy ze 101. Policijnego Batalionu Rezerwy wymordowali żydowską ludność tego miasteczka. Icek Unfasung chciał żyć. Wraz z rodziną uciekł do lasu. Tam dołączył do grupy ukrywających się Żydów.

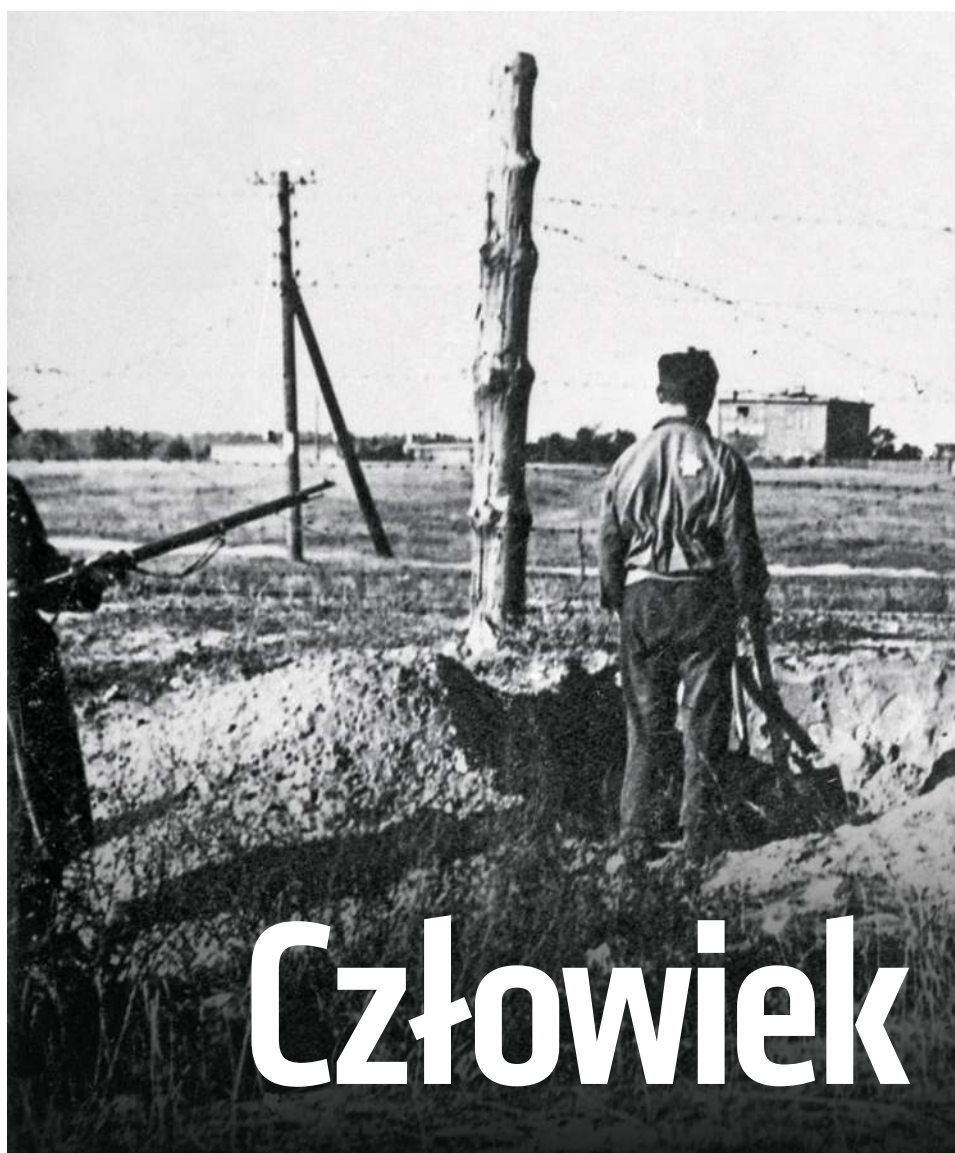
Uciekinierzy zbudowali ziemiankę, w której planowali ukryć się przed obławami. Małutkie dziecko Icka Unfasunga miało koklusz i nie potrafiło powstrzymać się od kaszlu. W momencie, gdy w lesie pojawili się Niemcy, sytuacja stała się rozpaczliwa. Kaszel niemowlęcia mógł zdradzić kryjówkę.

Unfasung podjął dramatyczną decyzję. Usiadł na twarzy własnego dziecka. Zadużył. Zabił. Wszystko najprawdopodobniej wydarzyło się na oczach szalejącej z rozpacz matki. Dziecko zginęło, ale reszta mieszkańców bunkra ocalała.

A oto relacja świadka pacyfikacji getta w Bielsku Podlaskim:

Zobaczyłem coś, co mnie przeraziło. Dwóch mężczyzn, jak się okazało Żydów, wiozło wozem coś, co wyglądało jak potężna ośmiornica. Zobaczyłem, że są to ręce i nogi, które wystawały przez szczeble drabiniastego wozu. Ręce i nogi poruszały się w różny nieskoordynowany sposób. Byli to kładzeni jak polana, jedno na drugim, starzy Żydzi. Niemcy rozstąpili się i dwaj młodzi Żydzi zaczęli rzucać żywych starców do ogromnego dołu. Po zakończeniu rozładunku furmanka pojechała do następnych. Niemcy zdjęli z pleców maszynowe pistolety i zaczęli strzelać do leżących na dnie dołu. Po kilku seriach dowodzący oddziałem egzekucyjnym ze zwykłym pistoletem obszedł [dół] dookoła, co chwila strzelając. Znowu Niemcy palili papierosy.

Żydówka o nazwisku Mendlowa ukrywała się u Polaków w kolonii Sieniewiczze (gmina Drohiczyń). W lutym 1943 r. przyszli Niemcy. Mendlowa błagała zan-



Człowiek

darmów, by darowali życie jej pięciorgu dzieci. Odpowiedź była odmowna – Żydzi zostali wyprowadzeni za stodołę. Przed egzekucją kobieta okryła dzieci kocem. Żeby nie patrzyli...

To tylko trzy z tysięcy ludzkich tragedii opisanych w książce „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. Książka ta – zgodnie z podtytułem – opowiada o Żydach. To oni są jej głównymi bohaterami, to ich gehenna została przedstawiona na jej kartach.

Niestety, fakt ten zdaje się umykać większości uczestników debaty o „Dalej jest noc”. Publicystów, historyków i internautów bardziej od Żydów interesują Polacy. A konkretnie postawy, jakie zajmowali wobec Holocaustu. Mało tego, taki ton debacie nadali sami autorzy książki.

Dla mnie z kolei ta sprawa ma znaczenie drugorzędne. Empatia i pamięć

o ofiarach wydają mi się ważniejsze niż spór o to, co robili Polacy, który to spór siłą rzeczy musiał przerodzić się w rytualną, plemienną naparzanekę. Część jej uczestników z mściwą satysfakcją wytyka Polakom, że nie byli „tacy święci”. A druga część ze świętym oburzeniem daje odpór „plugawym oszczerstwom”.

Proszę wybaczyć, ale ja na taką grę nie mam ochoty. Dlatego właśnie artykuł rozpocząłem od przedstawienia losów Żydów. To one najbardziej mnie poruszyły, gdy czytałem „Dalej jest noc”. Ojciec, który musi zadusić własne dziecko, doły śmierci wypełnione drgającymi ciałami... Pacyfikacje, obławy, wagony bydłące, gaz.

Ludzie tropieni niczym dzikie zwierzęta. Zaszczuci, głodni, przerażeni. To, przez co przeszli Żydzi, jest niewyobrażalne. W każdym wrażliwym na krzywdę ludzką czytelniku lektura



Żyd kopie dla siebie grób przed egzekucją, Łódź 1941 r.
FOT. REPROD.: WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS

bywa świnia

„Dalej jest noc” wzbudzi uczucie zgrozy i współczucie.

GRANATOWI I CHŁOPI

„Dalej jest noc” to obszerny (1700 stron) zbiór tekstów o losach Żydów w dziewięciu powiatach Generalnego Gubernatorstwa. Autorami jest dzie-
więciu badaczy związanych z Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN. A re-
daktorami prof. Barbara Engelking-Boni
i prof. Jan Grabowski.

Muszę ze wstydem przyznać, że wstęp-
ną opinię na temat tej książki wyrobiłem
sobie, zanim ją przeczytałem. Wpływ na
to miały radykalne medialne wystąpienia
prof. Grabowskiego oraz okropny, promu-
jący książkę okładkowy materiał „New-
sweeka”: „Jak Polacy dobijali Żydów”.

Obawiałem się, że autorzy książki
również poszli tym tropem. Okazało się,

że jest inaczej. Na kartach „Dalej jest noc”
został przedstawiony pełny wachlarz po-
staw. Występują na nich zarówno Polacy
podli – szmalcownicy, mordercy i dono-
siciele – jak i Polacy wspaniali. Szlachetni
bohaterowie, którzy ratowali żydowskich
bliźnich.

Metoda ta została zastosowana nie
tylko wobec Polaków. W książce ukazani
zostali brutalni funkcjonariusze żydow-
skiej Służby Porządkowej i urzędnicy
Judenratu z Biłgoraju, którzy wydali
swych współbraci w ręce Niemców.

Na kartach „Dalej jest noc” spotyka-
my też różnych Niemców. Bezlitosnych
oprawców z gestapo i urzędników
okupacyjnej administracji, którzy nie za-
tracili człowieczeństwa. Ludzkie postawy
nie zależały bowiem od narodowości,
ale od tego, jakim kto był człowiekiem.
Przyzwoltym czy nieprzyzwoltym.

Tym sposobem dotarliśmy do tematu,
który najbardziej elektryzuje opinię
publiczną. Czyli krzywd, które Polacy
wyrządzili Żydom.

Pierwsze opisane przez autorów
„Dalej jest noc” negatywne zjawisko to
udział służb mundurowych Generalnego
Gubernatorstwa w pacyfikacjach gett
w trakcie akcji „Reinhardt” w 1942 r.
Chodzi przede wszystkim o granatowych
policjantów, ale również o strażaków i ju-
naków ze służby budowlanej Baudienst.

Ich zadaniem było otoczenie pacyfiko-
wanych gett kordonem. A w przypadku
junaków – kopanie dołów śmierci. Po za-
kończeniu pierwszej fazy akcji policjanci
i strażacy – często w asyście spontanicz-
nie włączających się do akcji wyrostków
– przeszukiwali domy w poszukiwaniu
ukrywających się Żydów.

Zdarzało się, że policjanci strzelali do
Żydów, a junacy dobijali rannych łopata-
mi. Do zakopywania ciał chętnie zgła-
szali się również niektórzy mieszkańcy
miasteczek – dawało to bowiem okazję
do rabunku nieboszczyków.

Drugie opisane w „Dalej jest noc” ne-
gatywne zjawisko to szkodenie Żydom,
którzy uciekli z gett na wieś. Część chłó-
pów wyłapywała uciekinierów i dostar-
czała ich granatowym policjantom lub
niemieckim żandarmom. Część donosiła
na sąsiadów, którzy ukrywali Żydów.
A pewna (najmniejsza) część mordowała
uciekierów na miejscu.

Historycy, którzy wezmą pod lupę
„Dalej jest noc”, zapewne znajdą w niej
wiele mniejszych lub większych pomy-
łek. Takie zdarzają się we wszystkich
książkach. Wydaje się jednak, że zasadni-
czy obraz wydarzeń nie ulegnie zmianie.
Byli Polacy, którzy podczas Holokaustu
zachowywali się haniebnie. I dziecinne
wypieranie faktów niewiele tu pomoże.

KWESTIE SPORNE

Nie oznacza to jednak, że nie ma pola
do dyskusji. Takie pole jest, i to co naj-
mniej w trzech obszarach: odpowiedzial-
ności, motywu i skali tych wydarzeń.

Zacznijmy od kwestii pierwszej. Pań-
stwową odpowiedzialność za nieszczę-
ścia, które spadły na Żydów w General-
nym Gubernatorstwie, ponosi oczywiście
III Rzesza. To pod niemiecką okupacją
znajdowała się Polska i to Niemcy wpro-
wadzili w życie obłędny projekt wymor-
dowania Żydów.

Granatowa policja i inne służby GG
wypełniały rozkazy swoich niemieckich

przełożonych. Gdyby nie okupacja i wprowadzone przez Niemców antyżydowskie przepisy, zdecydowana większość chłopów krzywdzących Żydów nigdy nie dopuściłaby się niecnych czynów.

Kto zaś ponosi odpowiedzialność indywidualną? Sprawcy. A więc konkretni, często znani z imienia i nazwiska, mordercy i donosiciele. W tym również Polacy. Trudno jednak winą za czyny tych ludzi obarczać cały naród.

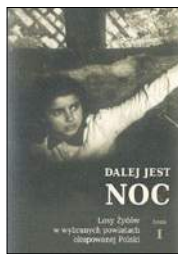
Teraz kwestia druga – motyw. Część uczestników debaty lansuje tezę, że patologiczne zjawiska opisane na kartach „Dalej jest noc” należały do polskiej specyfiki. Ich przyczynami miały być ludowy katolicyzm i endecki antysemityzm. Innymi słowy – Polak to świnią. Moim zdaniem prawda jest inna: człowiek bywa świnią.

Intelektualiści mają tendencję do tłumaczenia świata rozmaitymi „izmami” i „logiami”. Jest to często zwodnicze. Motywy postępowania ludzi są bowiem na ogół znacznie bardziej przyziemne. Wydaje się, że w interesującym nas przypadku antysemityzm miał znaczenie drugorzędne. Głównym motywem była chciwość.

Mieszkańcy miasteczek i wsi byli często niezwykle ubodzy. Ubóstwo to pogłębiła wojna, która przyniosła jednocześnie głęboką demoralizację. W okupowanej Polsce szerzyły się alkoholizm, złodziejstwo, bandytyzm. Polacy na co dzień obcowali ze śmiercią, życie ludzkie stało się niezwykle tanie.

To właśnie splot tych czynników – biedy, okupacyjnej demoralizacji i niemieckich zarządzeń – przyniósł tak fatalne skutki. Przytłaczającą większość antyżydowskich wybryków była powiązana z rabunkiem. Dowody na to można znaleźć niemal na każdej stronie „Dalej jest noc”.

Po pacyfikacji w Szczepleszynie jeden z grabarzy zakasał rękawy i palcami szukał złota w pochwach martwych Żydówek. Inni – tzw. dentyści – obcęgami wyrwali trupom złote koronki. Żąda pieniędzy kierowała chłopami, którzy tropili po lasach uciekinierów z gett. A także mieszkańcami miasteczek, którzy po zakończeniu niemieckich pacyfikacji w gorące plądrowali opustoszałe żydowskie domy.



„DALEJ JEST NOC. LOSY ŻYDÓW W WYBRANYCH POWIATACH OKUPOWANEJ POLSKI”; T. I-II CBNŻ

Gratyfikacja często była podwójna. Najpierw można było Żyda ograbić samemu, a potem – w nagrodę za jego zadenuncjowanie – otrzymać nagrodę od Niemców. Na ogół był to worek cukru, mąka albo ubranie po zamordowanym.

Taka jest już parszywa natura ludzka. Jeżeli można wzbogacić się kosztem bliźniego i nie ponieść za to konsekwencji, to w każdej społeczności znajdą się źli ludzie, którzy skorzystają z okazji. Patologie te w jeszcze większym stopniu – jak piszą autorzy „Dalej jest noc” – występo-

wały wśród Białorusinów czy Ukraińców. A ich przecież trudno oskarżyć o endeckość i katolicki antyżudaizm.

O postawie każdego poszczególnego człowieka decydowały więc przede wszystkim jego cechy charakteru. Nie tylko jednak. Także poziom intelektualnego i społecznego wyrobienia. Znakomicie ilustruje to sytuacja w powiecie bielskim przedstawiona przez prof. Engelking-Boni. Na terenie tym znajdowały się dwa rodzaje wiosek – część była zamieszkała przez rolników będących potomkami chłopów pańszczyźnianych, a część przez rolników będących potomkami szlachty zagrodowej.

Okazuje się, że aż 73 proc. Żydów, którzy uratowali się w tym powiecie, uratowało się w zaściankach szlacheckich! Badaczka znalazła tylko jeden przypadek zadenuncjowania Żyda przez mieszkańca zaścianka.

„Linia podziału między pomaganiem a wydawaniem przebiega między klasami społecznymi – pisze pani profesor. – Obraz jest jednoznaczny: wydają chłopci, pomaga szlachta zagrodowa”.

Część chłopów cechowała charakterystyczna dla tej grupy społecznej bierność, która nakazywała posłuszeństwo wobec każdej władzy. Jeżeli władza mówiła, że trzeba Żydów wyłapywać, to chłopci Żydów wyłapywali.

I wreszcie kwestia trzecia – skala. Wydaje się, że teza autorów „Dalej jest noc”, iż większa liczba Polaków Żydom szkodziła, niż im pomagała, jest niestety prawdziwa. Wynikało to z prozaicznego faktu, że znacznie łatwiej jest być świnią niż bohaterem. Aby ratować Żydów – a co za tym idzie ryzykować życie całej rodziny – trzeba było wykazać się wręcz nieludzkim heroizmem. A to, jak wiadomo, jest cecha bardzo rzadka.

Problem pojawia się jednak w momencie, gdy dochodzimy do konkretnych liczb. W wywiadach (w książce to nie pada) prof. Grabowski mówi o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków lub przy ich współudziale. Jest to liczba kolosalna. Wypadałoby więc, żeby profesor miał na jej podparcie twarde dowody.

Jest to tymczasem jedynie szacunek oparty na niepełnych danych. W świetle badań przeprowadzonych przez autorów „Dalej jest noc” nie da się go obronić. Do śmierci ilu Żydów przyczynili się więc Polacy? Nie wiadomo. I dopóki nie zostaną przebadane pozostałe powiaty, a w szczególności duże miasta, gdzie sytuacja była zupełnie inna niż na prowincji, dopóty wiedzieć tego nie będziemy.

Wszystko, co napisałem wyżej, nie ma na celu usprawiedliwienia polskich morderców i donosicieli. Nie chodzi o wyszukiwanie dla nich okoliczności łagodzących. Podobnymi zabiegami się brzydzę. Nie wolno jednak pomijać kontekstu tych dramatycznych wydarzeń. I warto wystrzegać się krzywdzących uogólnień.

Na koniec jeszcze kilka uwag o „Dalej jest noc”. Trudno zrozumieć, dlaczego autorzy książki wydanej w 2018 r. używają nomenklatury charakterystycznej dla historiografii PRL. Związek Sowietki nazywają „Związkiem Radzieckim”, a wkroczeniem bolszewików do Polski „wyzwoleniem”.

W rozdziale prof. Engelking-Boni znalazł się zaś następujący passus dotyczący działalności podziemia niepodległościowego: „W okresie 1944–1947 zamordowano tam 411 osób (w tym 105 funkcjonariuszy MO i UB, 38 żołnierzy radzieckich...)”. Zamordowani ubecy... No cóż, mam nadzieję, że to niefortunny skrót myślowy.

Należy natomiast podkreślić, że autorzy „Dalej jest noc” nie stanowią monolitu. Badacze ci mają różne poglądy i różny warsztat. Bardzo obiektywne rozdziały wyszły choćby spod pióra Dariusza Libionki (powiat miechowski) i Aliny Skibińskiej (powiat biłgorajski). Z kolei trudno zgodzić się z częścią ostrych tez lansowanych przez Jana Grabowskiego (powiat węgrowski).

Czeka nas bez wątpienia wielka, pełna emocji debata. Warto, żeby jej uczestnicy nie stracili z oczu tego, co najważniejsze. Jak ujął to świadek dr Zygmunt Klukowski: „Działy się straszne rzeczy, potworne, koszarne, od których włosy stają na głowie”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MACIEJ PIECZYŃSKI: Twierdzi pani, że „Żydzi w sytuacji zagrożenia poświęcają dzieci, starszych i słabszych, aby w ten sposób ratować samych siebie. Tym różnią się od mentalności zachodnich chrześcijan”. Czy to nie jest krzywdzące uogólnienie?

DR EWA KUREK: To nie są słowa Ewy Kurek, takie jest prawo żydowskie. Zgodnie z nim w sytuacji zagrożenia społeczność żydowska dla dobra wspólnoty może poświęcić część grupy. Na tym prawie oparł się izraelski parlament, uchwalając w 1950 r. ustawę, która zwalnia z odpowiedzialności tych wszystkich policjantów żydowskich, którzy dokonali zbrodni na jednej grupie Żydów, aby uratować inną bądź też aby uratować siebie. Pisała o tym Hannah Arendt. Wystarczy zajrzeć do moich książek, do przypisów. Matthew Tyrmand oburzał się na te słowa. Jednak on – po pierwsze – nie jest religijnym Żydem, po drugie – nie wie, o czym mówi, bo nawet nie zna języka polskiego. Moja książka pt. „Poza granicą solidarności. Stosunki żydowskie 1939–1945” po raz pierwszy ukazała się 12 lat temu. Jeśli ktoś ma zastrzeżenia, to niech weźmie ją do ręki i wytknie konkretne błędy czy przekłamania.

Dobrze, ale twierdzenie, że tak generalnie robią Żydzi, to ciężkie oskarżenie pod adresem żydowskiej cywilizacji.

To nie oskarżenie, to fakt. Tak mówi ustawa Knesetu z 1950 r. Nie napisałam nic, czego by nie było w żydowskich źródłach. Niektórzy są zgorszeni, że piszę o tym, jak Żydzi tańczyli w getcie. Wystarczy poczytać „Kronikę getta warszawskiego” autorstwa Emanuela Ringelbluma! Żydzi o tym pisali.

Racja, nawet Marek Edelman przyznał: „Oczywiście, że się w getcie bawiono, co wieczór różne organizacje czytały klasykę polską i żydowską”. Dodał jednak dlaczego: „Ci ludzie



Doktor Ewa Kurek podczas spotkania autorskiego promującego jedną z jej książek FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER



Z dr Ewą Kurek, historykiem, absolwentką KUL, badaczką relacji polsko-żydowskich rozmawia Maciej Pieczyński

Ewa Kurek tego nie wymyśliła!

chcieli pozostać ludźmi i dlatego zajmowali się kulturą”.

Nie chodzi o czytanie książek, ale o wytworne lokale, w których bawiła się żydowska elita. Adam Czerniaków, prezes warszawskiego Judenratu, pisał, że przyszła do niego grupa Żydów z prośbą, aby zrobić w getcie kasyno. Nie zgodzili się na to Niemcy. Nie wiem, dlaczego Czerniaków miałby kłamać.

Dobrze, ale może „bawili się” nie dlatego, że byli zepsuci, nie dlatego, że świętowali uzyskanie „autonomii” (jak nazywa pani getto), ale dlatego, że chcieli odreagować, zapomnieć o koszmarze wojny?

Nie wszyscy w getcie się bawili. Społeczność getta dzieliła się na dwie grupy: biednych chasydów oraz elitę, czyli pracowników Judenratów, policję

żydowską. Proszę poczytać gazety z czasów wojny. Pisano, że to właśnie w getcie po raz pierwszy w historii Żydów Żydzi opodatkowali chleb. Elitę było stać na wszystko, biedota zaś umierała z głodu na ulicach. Ludzie, zaczynajcie czytać źródła historyczne! Zaczynajcie cokolwiek czytać! Mam w głębiej pogardzie polityków, którzy postanowili uniemożliwić wręczenie mi nagrody im. Jana Karłowicza. Gdyby czytali, wiedzieliby, że prof. Jan Karłowicz 21 lat temu osobiście nagroził mnie wstępem do jednej z moich książek, i tego dowodu uznania nie odbierze mi już nigdy żaden polityk, Żyd ani Polak.

W opublikowanej przez „Gazetę Wyborczą” recenzji można przeczytać: „Autorka cytuje Czerniakowa i Ringel-

bluma tak, jakby nie rozumiała, że nie mogli oni o wszystkim pisać wprost, że używają ironii czy szyfrują fakty na wypadek, gdyby ich zapiski wpadły w ręce Niemców”.

Czerniaków napisał o wielu faktach, które kompromitowały społeczność żydowską. Dlatego teraz próbuje się dorobić teorii, że działał w jakiejś konspiracji albo pisał „ironicznie”. Marek Edelman, którego tak państwo szanujecie, stwierdził w jednym z wywiadów, że Czerniaków bał się konspiracji, nie chciał w niej działać, uważał, że jest niepotrzebna. Podobno spotkał się z przedstawicielami Żydowskiego Związku Wojskowego. Z dzienników Czerniakowa wynika, że każdego dnia wszystkie sprawy getta konsultował z Niemcami. Co miał przed nimi ukrywać?! To puste gadanie.

Dlaczego opiera się pani wyłącznie na źródłach żydowskich? Może warto skonfrontować je z dokumentami niemieckimi, żeby uzyskać pełny obraz życia w getcie? Przecież pamiętniki Czerniakowa czy Ringelbluma to jednostronne źródła.

Dokumenty niemieckie też są w mojej książce. Taka dyskusja nie ma sensu. Pan nie ma przed sobą dokumentów, ja też nie.

Gościła pani w programie „O co chodzi” u Magdaleny Ogórek. Nie widziałem, by w trakcie rozmowy wertowały panie dokumenty.

Bo pani Ogórek nie zadawała mi tak szczegółowych pytań – co jest na której stronie.

Nie pytam pani o podanie dokładnej strony. Jeżeli recenzenci stawiają pani konkretne zarzuty, warto jednak na nie odpowiedzieć.

Poproszę zatem o konkretne zarzuty.

Może jednak warto skonfrontować źródła żydowskie ze źródłami niemieckimi?

Może pan skonfrontować. Bardzo proszę. Od czasu pierwszego wydania mojej książki

„Poza granicą solidarności” minęło 12 lat, sześć lat od czasu, gdy ukazała się w tłumaczeniu angielskim. Przez te wszystkie lata nie znalazł się nikt, kto by udowodnił, że cytowani przeze mnie autorzy żydowscy kłamali. Ciągłe tylko słyszę pyskówkę ze strony polityków i dziennikarzy. Zamiast się ze mną kłócić, niech się wezmą do roboty i obalą to, co napisałam.

Profesora Marka Chodakiewicza trudno posadzić o antypolonizm czy filosemityzm. Recenzując pani książkę, nie zgodził się z tezą, w myśl której Żydzi negocjowali z Niemcami na temat utworzenia autonomii. „Rzekome negocjacje z Niemcami sprowadzały się częstokroć tylko do wykonywania rozkazów [...]. Niemcy wyzyskiwali te momenty do bezkompromisowego komunikowania swej woli [...]. W tym kontekście jest jasne, że przywódcy żydowscy »negocjowali« jedynie w tym sensie, że starali się dostosować do niemieckich rozkazów w taki sposób, aby wyrządzić sobie i swojemu ludowi jak najmniej krzywdy”. Poza tym, zdaniem Chodakiewicza, Niemcy po prostu wykorzystywali żydowskie dążenia do odrębności, a Żydzi robili dobrą minę do złej gry, kładąc się, że getto ma coś wspólnego z autonomią.

Bardzo szanuję prof. Chodakiewicza. Zacytował pan piękny elaborat w amerykańskim stylu. Jednak gdzie są oparte na źródłach fakty?! Czerniaków zapisał w swoim dzienniku, cytuję z pamięci: „Dziś bardzo ważny dzień. Otrzymałem z rąk Niemców nominację na burmistrza autonomii żydowskiej w Warszawie”. Jeżeli pan mi udowodni, np. na podstawie niemieckich źródeł, że w tym zapisie chodziło o co innego, niż to, co napisał Czerniaków, to jestem gotowa dyskutować. Jeżeli ktoś mi udowodni, że rzeczywistość wyglądała inaczej, niż opisują to żydowskie źródła, to przyjmę to.

Profesor Chodakiewicz tłumaczy to pani w następujący sposób: „Trudno się dziwić, że w swoich notatkach na żywo

taki jak Adam Czerniaków starali się wykazać sami przed sobą jakimś sukcesem, a siebie opisać jako niezależnego gracza. Przecież człowiek, aby pozostać aktywny w tym szaleństwie, nie mógł sam przed sobą tracić nadziei. Musiał stale podkreślać, że wierzy w sens swojej misji. Musiał wykazać się sam przed sobą jakimś osiągnięciem”.

Powtarzam: bardzo cenię pana profesora, ale to kolejny przykład amerykańskiej szkoły historycznej, popularnej od lat 70. XX w. i zwanej psychohistorią. Sama od czasu do czasu i w niektórych wypadkach wpisuję się w tę szkołę, ale tylko wtedy, gdy pozwalają na to niepodważalne źródła historyczne i gdy opisywane wydarzenia związane jest z silnymi emocjami (np. relacje uratowanych w klasztorach dzieci czy partyzantów CC mjr. „Zapory”). Europejska szkoła historyczna wyklucza natomiast emocjonalne fantazjowanie na temat tego, co czuła dana postać historyczna, zwłaszcza polityk, bo jest to zwykła nadinterpretacja. Jak już wspomniałam, amerykańska szkoła historyczna nie opiera się na źródłach. Dlatego cytowany fragment to tylko emocjonalna interpretacja osobowości Czerniakowa w wykonaniu prof. Marka Chodakiewicza.

Faktem jest, że Żydzi podlegali Polakom, a Polacy podlegali Niemcom. Żydzi nie byli samodzielni w getcie.

Nigdy nie twierdziłam, że Żydzi byli samodzielni i nie podlegali Niemcom. Burmistrz autonomii żydowskiej, Adam Czerniaków, oczywiście Niemcom podlegał, ale Żydzi w getcie warszawskim mieli np. prawo do zbierania podatków, negocjowali warunki na temat granic getta. Chwalili się, że udało im się to czy tamto wynegocjować.

Twierdzi pani, że dowodem na istnienie „autonomii” żydowskiej w czasie niemieckiej okupacji jest to, iż Żydzi sami zapłacili za mur wokół getta, a nawet go wybudowali. Jednak co mieli zrobić? Zlekceważyć rozkaz Niemców?

Nigdy nie napisałam, że fakt, iż Żydzi sami zbudowali mury, świadczy o autonomii. Mur jest murem, a o autonomii i państwie żydowskim w Łodzi piszą Ringelblum, Czerniaków i inne źródła.

Jednak mur, odgradzający tę „autonomię” od strony aryjskiej, wybudowali nie z własnej inicjatywy, ale na rozkaz Niemców.

Trudno powiedzieć. Żydom zawsze marzyła się autonomia. W 1920 r. w Sejmie poseł żydowski Izaak Grünbaum zażądał autonomii terytorialnej dla Żydów w Polsce. Ewa Kurek tego nie wymyśliła!

Co innego żądania autonomii w warunkach niepodległego państwa polskiego, a co innego utworzenie getta przez niemieckich okupantów dwie dekady później, w warunkach terroru nazistowskiego w podbitej Polsce.

Państwo wszyscy myślą stereotypami. To dla pana jest co innego. Jednak to nie znaczy, że tak samo myśleli Żydzi. Proszę poczytać żydowskie źródła. Nie ma w nich pańskiego myślenia.

To fakty, nie stereotypy.

Faktem też jest, że w latach 1939–1942 tylko jeden na 10 ginących obywateli Rzeczypospolitej był Żydem. I tego też nie wymyśliła Ewa Kurek, tylko wyliczył żydowski historyk Symon Datner. Proporcje zmieniają się dopiero w 1942 r., kiedy Niemcy wprowadzają w życie plan ostatecznego rozwiązania.

Chodakiewicz pisze o pani książce również: „Chyba najbardziej nieprzemysłaną wypowiedzią jest opinia autorki, że »nie jest już jednak tak pewne, czy bez pomocy Żydów Niemcy zdołaliby zrealizować plan zagłady narodu żydowskiego« [...] Godzić się z opinią Kurek w tym względzie można tylko wtedy chyba, gdyby ktoś chciałby bronić tezy – ostatnio modne na Zachodzie – że bez »polskich kolaborantów« nie byłoby »polskich obozów koncentracyjnych«, a więc nie byłoby Holocaustu”. Historyk amerykański Bryan M. Rigg udokumentował

fakt, że sto kilkadziesiąt tysięcy Żydów walczyło w armii Hitlera. Ringelblum pod koniec 1942 r. notuje, cytuję z pamięci: „Dziś umysł sili się, żeby zrozumieć, jak to możliwe, że 50 esesmanów, 200 Łotyszów i 200 Ukraińców posłało na śmierć 300 tysięcy Żydów warszawskich”. Pisze też o Żydach z policji żydowskiej, Judenratu oraz pogotowia ratunkowego, którzy brali udział w mordowaniu Żydów. Jeśli to wszystko było bez znaczenia... Proszę poczytać Icchaka Kacnelsona.

Jednak Kacnelson nie pisał wspomnień, tylko poezję. To nie jest miarodajne źródło historyczne.

Czy poeta, któremu zamordowano dwóch synów i żonę, nie jest źródłem historycznym?! Kacnelson pisze: „Jam jest ten, który to widział, który przyglądał się z bliska”. To nie jest poezja Kacnelsona. To są słowa Kacnelsona, naoczne go świadka zagłady Żydów warszawskich, ojca i męża zagazowanych.

Cytuje pani poemat. To nie jest literatura faktu, tylko literatura piękna.

Źródło historyczne jest źródłem. Poeta opisał to poetyckim językiem. Tylko tak potrafił.

Poeta nie ma obowiązku podawania faktów.

Jednak Kacnelson opisywał fakty, które widział: „Ręce załamywałem od wstydu, wstydu i hańby – rękami Żydów zadano śmierć Żydom, bezbronnym, Żydom”. Co za różnica, czy to napisał poeta, lekarz, szewc czy dziennikarz?! To był świadek historii, człowiek, który doświadczał Zagłady.

Pisze pani: „Nie znam miasta ani miasteczka okupowanej przez hitlerowców Polski, w którym jesienią 1939 roku wspólnota żydowska odmówiłaby Niemcom jak najdalej pojętej współpracy, a tym samym uznania ich za nową władzę...” Czy

zna pani polskie miasto, w którym Polacy by odmawiali współpracy?

O czym pan mówi?! Czy Polacy rabowali u Polaków meble i fortepiany i dostarczali je Niemcom? Czy Polacy dostarczali Niemcom metryki ochrzczonych Żydów lub ukrywających się Polaków?! Czy Polacy łapali Polaków na roboty dla Niemców?!

Nie, ale polska administracja była przejmowana przez niemieckiego okupanta. Często zachowywano ciągłość. Nie wszyscy działali w konspiracji.

Utrzymane zostały tylko opieka społeczna i policja kryminalna. Gdy w 1939 r. wkroczyli Niemcy, Adam Czerniaków był przewodniczącym warszawskiej gminy żydowskiej, a Stefan Starzyński prezydentem miasta stołecznego Warszawa. Starzyński poszedł na śmierć, a Czerniaków został przewodniczącym Judenratu i współpracował z Niemcami aż do śmierci. Nie widzi pan różnicy?! Proszę poczytać Czerniakowa, bo trudno mi dyskutować z osobą, która nie wie, o czym mówię.

Ja się po prostu nie opieram na jednym źródle. Czerniaków nie może być wyrocznią. Podaję argumenty, które wytacza przeciw pani prof. Chodakiewicz.

Nie jest argumentem mówienie, że Polacy tak samo współpracowali z Niemcami jak Żydzi. To jest totalna bzdura i każdy historyk to panu powie. Chodakiewicz też tego nie mówi.

Kreśli pani obraz, w którym Polacy są z reguły lojalnymi wobec swojego państwa patriotami, a Żydzi z reguły są nielojalni i się izolują. Czy to nie uproszczenie? Bo przecież także polscy chłopci przez wieki nie utożsamiali się z państwem polskim. Może po prostu chęć czynnej walki za ojczyznę jest zjawiskiem elitarnym...

Po pierwsze, piszę i mówię, że Polacy nie są narodem świętych i też wśród nas byli zdrajcy i bandyci. Jeśli chodzi

o chłopów, to też stereotypy. Polscy chłopci na Lubelszczyźnie stanowili 76 proc. wśród struktur Armii Krajowej i 86 proc. wśród tych, którzy za Polskę oddali życie. Tymczasem w getcie warszawskim, jak pisze Ringelblum, Szachno Sagan był jedynym, który twierdził, że ta wojna jednak również Żydów dotyczy. Oczywiście, nie cała społeczność żydowska się izolowała. Żydowski Związek Wojskowy walczył w konspiracji z niemieckim okupantem, ale to były wyjątki. To było kilkuset ludzi. Nie porównujemy zatem postawy chłopów polskich do postawy Żydów. W przypadku chłopów wiek XX to już inna bajka niż wieki XIV–XIX.

Nawet pani krytycy są zgodni, że Żydzi mogli początkowo traktować getto jako szansę...

Szansę na uzyskanie autonomii wobec Polaków, nie owijając my w bawełnę.

A może raczej jako szansę na przetrwanie?

Oczywiście, to też. W wielu źródłach można przeczytać wyznania, że Żydzi mają nadzieję, iż za murami getta przetrwają tę wojnę spokojnie i w miarę bezpiecznie. Przeciwny Żyd nie bawił się w politykę, bezpieczniej czuł się za murami, bo po drugiej stronie strzelali.

Czy ze źródeł, które pani analizuje, da się wyczytać konkretną wizję polityczną? Czy Żydzi pisali, że chcą autonomii po to, aby dzięki Niemcom utworzyć państwo żydowskie na gruzach Polski?

Takiego ostantacyjnego stwierdzenia w źródłach nie ma. To wynika z ciągłości źródeł.

To byłby argument za tezą, że Żydzi specjalnie izolowali się od Polaków we własnym interesie.

Pomysł budowy getta był zbieżny z odwiecznym marzeniem Żydów o izolacji od gojów, również Polaków. I to właśnie była perfidia Niemców. Wykorzystali żydowskie dążenie do autonomii, aby zastawić pułapkę – skupić Żydów w jednym miejscu i tym łatwiej wymordować.

Powtarza pani często, że chce być historykiem dla ludzi, a nie historykiem konferencyjnym. Ale to przecież można łączyć.

Na konferencjach w Polsce nie bywam od kilkunastu lat. Szkoda czasu. Wtedy każda konferencja kończyła się

stwierdzeniem, że my, Polacy, i tak jesteśmy antysemitami, bo w jasełkach jest Żyd. Zajmowałam się kiedyś średniowieczem i przy pomocy żydowskich historyków obalałam te bzdury. Od lat na ten temat jest cisza. Teraz na konferencjach modna jest postprawda, czyli kłamstwa, np. takie, że polscy Żydzi tylko w 15 proc. byli religijni. O poziomie metodologii badań

szkoda mówić. Na konferencji IPN w Kielcach pewien młody historyk nie chciał np. uwierzyć, że w 1919 r. żydowski poseł zażądał od Polski zagwarantowanej w konstytucji autonomii dla Żydów. Pokazałam mu konkretny przepis i sygnaturę archiwalną stenogramów sejmowych RP z 1919 r., a on na to, że nie interesują go stenogramy sejmowe, bo i tak to on ma rację. Po jednym dniu zrezygnowałam. Nie wytrzymałam tych bzdur, które się dziś opowiada o Żydach. Nie wytrzymała też historyk żydowska, która wraz ze mną opuściła konferencję.

Przecież nie każdy historyk kłamie. Powinna pani stanąć w szranki na forum akademickim.

Na forach akademickich zawsze stawałam i od czasu do czasu stoję do dziś. Wszystko to, o czym dziś mówię i piszę, wygłosiłam wcześniej na uniwersytetach Princeton, w Jerozolimie, Columbia University, moim rodzinnym Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i innych. Za granicą słuchano mnie z zainteresowaniem i ze zrozumieniem. Tylko w Polsce władza, media oraz niektórzy urzędowi historycy od lat mają mi za złe.

Czy to prawda, że pani książka „Poza granicą solidarności. Stosunki polsko-żydowskie 1939–1945” miała być pracą habilitacyjną, ale nie spełniała wymogów?

Nigdy nie starałam się o habilitację. Jak już nie można merytorycznie kogoś zaatakować, to się rozsiewa plotki. Tak napisał Michnik. Plotki to jego specjalność.

Powołuje się pani na jeden rodzaj źródeł. Podobnie jak Jan Tomasz Gross w „Sąsiadach”. On również powoływał się wyłącznie na zeznania świadków.

Gross powołał się na jedno źródło: relację Szmulę Watersztajna. Moja książka oparta jest na wielu różnorodnych źródłach, w ok. 70 proc. żydowskich. Książkę „Rosji rozumem nie pojmięsz?” też oparłam głównie na źródłach rosyjskich. Bo tylko Żydzi mogli mi udzielić informacji o Hamanie, Rosjanie zaś o św. Grzegorzcu Palamasie, którzy stanowią – każdy dla swego narodu – swego rodzaju trzon etnicznego kodu kulturowego, bez którego nie zrozumiemy innych. Wypracowałam taką metodę badawczą, wychodząc z założenia, że o Żydach najlepiej powiedzą mi Żydzi, o Rosjanach – Rosjanie, a o muzułmanach – muzułmanie. Dlatego historii, prawa i żydowskiej mentalności uczę się od moich żydowskich przyjaciół i z żydowskich źródeł.



**EWA KUREK
„POZA GRANICĄ
SOLIDARNOŚCI”
BOLLINARI
PUBLISHING
HOUSE**



Piotr Semka

Piotr Gursztyn chce wytłumaczyć, dlaczego pokolenie naszych dziadków podjęło odważną i godną decyzję, nawet jeśli zapłaciło za nią wielką cenę

Piotr Gursztyn to polemista historyczny, ideowy, zręczny i solidnie odczytany. Na łamach „Do Rzeczy”, a wcześniej „Uważam Rze” wiele razy krzyżował publicystyczne szpady z Piotrem Zychowiczem i Rafałem A. Ziemkiewiczem. W swoich polemikach krytykował zarówno wizję antysowieckiego sojuszu Polski z Niemcami, jak i uchYLENIA SIĘ OD WALKI Z HITLEREM W 1939 r. Teraz na półki księgarń trafia jego książka „Ribbentrop-Beck. Czy pakt Polska-Niemcy był możliwy?”. Gursztyn chwycił w niej rewizjonistycznego byka za rogi. Drobiazgowo i wyczerpująco rekonstruuje sekwencje wydarzeń między dojściem Führera III Rzeszy do władzy a wybuchem wojny z Polską.

Gursztyn stanął przed podwójnym problemem. Po pierwsze, przewaga rewizjonistów polega na ich atrakcyjności dla czytelnika. Po prostu efektowne koncepcje historii alternatywnej brzmią lepiej w stosunku do tego, co zdarzyło się naprawdę. Jeśli Polska wyszła z II wojny światowej potwornie zniszczona, ze stratami ludzkimi sięgającymi 6 mln i utratą kresów tak drogich polskiemu sercu – to zawsze przyjemnie czyta się o wersji odmiennej, zwycięskiej. Wizja polskiego ułana zdobywającego Moskwę w roli następcy hetmana Żółkiewskiego, wdzierającego się do mauzoleum na pl. Czerwonym i odcinającego łeb truchłu Lenina musi pobudzać wyobraźnię i mimo wolną sympatię do autora.

Równie łatwe jest rozliczanie tych, którym się nie udało. Łatwo pouczać naszych przodków, bo my wiemy, co było dalej, oni tego nie wiedzieli. Wygodnie jest oskarżycielsko pytać, jak można było podjąć decyzję, po której nastąpiła klęska. Tutaj też czytelnik czuje wdzięczność do autora jako kogoś, kto zasugeruje, jak lepiej sobie radzić w przyszłości.

Gursztyn idzie w swojej książce inną drogą, trudniejszą. Chce wytłumaczyć, dlaczego pokolenie naszych dziadków podjęło



Korrida z

pewną odważną i godną decyzję, nawet jeśli przyszło mu zapłacić za nią gorzką cenę. Gromadzi fakty i świadectwa epoki. Analizuje, jaką wiedzę mogli mieć przywódcy przedwrześniowej Polski na temat szybko zmieniającej się sytuacji, i zastanawia się, jak duży wpływ mieli na ówczesne wydarzenia. I szuka wreszcie odpowiedzi na jeszcze jedno pytanie: Czy byli inni, w podobnej sytuacji, którzy poradzili sobie lepiej? Co wynika z tego analizy?

HITLER USZANOWAŁBY POLSKĘ?

Już sam tytuł książki zapowiada alternatywną odpowiedź na pytanie o szanse paktu Ribbentrop-Beck. Rozumiem, że tytuł książki Gursztyna to riposta na książkę Piotra Zychowicza, ale nazwa jest myląca. To nie szef dyplomacji III Rzeszy zdecydował o sojuszu z Sowietami w sierpniu 1939 r., ale sam Hitler. I dopiero w wyniku analizy światopoglądu Führera, jego psychiki i osobowości można oceniać szanse ówczesnego sojuszu Berlina i Warszawy.

Gursztyn przypomina jedną rzecz – nikt nie był w stanie ocenić, jak bardzo

nieobliczalny jest dyktator z wąsikami. Jak bardzo różnobarzące były sygnały z Zachodu docierające do przywódców Rzeczypospolitej w latach 1933–1939. Najbardziej znanym złudzeniem z tamtych lat nad Wisłą było przekonanie, że Führer jako Austriak wolny będzie od antypolskich uprzedzeń. Polacy nie znali zbyt dobrze austriackiego szowinizmu wielkoniemieckiego, który cechował np. Niemców sudeckich w Czechach.

Doskonale te polskie złudzenia wyczuł i uznał za stosowne je rozwiać cytowany w książce człowiek, który austriacki nazizm znał doskonale, bo walczył z nim całe życie. Był to Kurt Schuschnigg, kanclerz niepodległej Austrii z lat 1934–1938. Gdy w 1937 r., w czasie rozmowy z ambasadorem RP w Wiedniu, polski przedstawiciel wyraził optymizm co do koncyliacyjnej wobec Polski polityki Hitlera, Schuschnigg wybuchnął: „Czyżbyście wy w Warszawie nie wiedzieli, co się tam w Niemczech mówi o Polsce, o korytarzu, o Gdańsku, o Śląsku? Czy nie czytają u was niemieckiej prasy prowincjonalnej, gdzie się nie robi



Joachim von Ribbentrop,
minister spraw zagranicznych III Rzeszy,
podczas oficjalnej wizyty w Polsce
25 stycznia 1939 r. z szefem polskiego
MSZ Józefem Beckiem FOT. NAC

rewizjonistami

wielkiej polityki, a ludzie piszą śmiało to, co myślą? A ciągle drobne zatargi, które stale dzieją się na terenie Gdańska, czy nie dają wam do myślenia...”

Czasami z dystansu lepiej widać. Schuschnigg miał rację. Wschodnie obszary Rzeszy graniczące z naszym krajem były miejscem ciągłych incydentów i ośrodkami nienawistnej, antypolskiej propagandy. Mniejszość polska w Niemczech nigdy nie uzyskała takich praw i przywilejów, jakie miała w Polsce mniejszość niemiecka.

Przesadnie ekscytowano się też kolejnymi polowaniami Hermanna Göringa w Puszczy Białowieskiej czy udziałem Führera na mszy w berlińskiej katedrze św. Jadwigi za duszę Piłsudskiego. Gursztyn nie zaprzecza, że wódz III Rzeszy w jakiś dziwny sposób podziwiał starego Litwina. Jednak wskazuje, że już wtedy byli tacy, którzy przestrzegali, by nie wyciągać z tego zbyt optymistycznych wniosków.

„Był dziwnie urzeczony osobą Piłsudskiego – pisał o Hitlerze dobrze go znający komisarz Ligi Narodów w Gdańsku Carl J. Burckhardt. – Taki uczuciowo zabarwiony

stosunek do ludzi zdarzał się u Hitlera dość często, mógł jednak w każdej chwili ustać lub zamienić się w uczucie przeciwne”.

Z kolei ugodowe opinie takich postaci jak Göring dla odmiany były szczere. Marszałek Rzeszy istotnie nie chciał wojny – zgromadził ogromne bogactwa i chciał w spokoju pływać się w luksusach. Jednak nie był w stanie przeciwstawić się Hitlerowi. A ten marzył o „Drang nach Osten” z Polską jako wasalem lub ofiarą najazdu. Zdobyć przestrzeni życiowej dla Rzeszy na wschodzie było jego obsesją. Co ciekawe – jak wskazuje Gursztyn – wódz III Rzeszy był przekonany, że bez wschodnich zdobyczy Niemcy same się nie wyżywią. Był to efekt traumy po wielkim głodzie w Rzeszy w latach I wojny światowej.

Przywódca NSDAP zupełnie nie rozumiał też psychiki Brytyjczyków. Ciągłe wierzył, że w końcu skłoni Londyn do sojuszu z brunatnym imperium i podziału świata na dwa imperia połączone wspólnym germańskim genotypem. Nie rozumiał, że Wielka Brytania, początkowo skłonna do akceptacji aneksji Austrii i Czech

w imię politycznego cynizmu, z czasem zacznie niepokoić się żarłocznością Hitlera. A w końcu pojawi się zwyczajna obserwacja, że łamie wszystkie swe kolejne obietnice „zaspokojenia swoich apetytów” i kontynentalną „balance of power”.

ALBION NIE TAKI ZNÓW PERFIDNY

Gursztyn trafnie wskazuje, że przy stopniu szaleństwa Führera w łeb brały wszystkie racjonalne analizy na temat polityki Niemiec. Jednak jeden rys jego mentalności Polacy bezbłędnie wyczuli przez skórę, jakimś szóstym zmysłem – szybko zrozumieli, że Hitler jest kolejną personifikacją pruskiej bezwzględności i nienawiści wobec Polski. I ten czynnik kazał ówczesnym przywódcom Polski wybrać opór, a nie zginanie karku przed agresorem. Na szczęście wiosną 1939 r. ta polska intuicja spotkała się z decyzją Wielkiej Brytanii, że czas Hitlerowi powiedzieć „nie”.

Dopiero w takim kontekście Gursztyn opisuje drogę do udzielenia Polsce

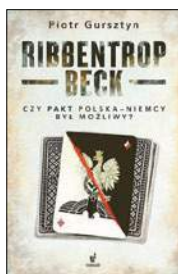
gwarancji wojskowych przez Londyn w kwietniu 1939 r. Autor książki zdecydowanie odrzuca twierdzenia rewizjonistów, że gwarancje rządu Jej Królewskiej Mości były jedynie perfidną grą na skierowanie ataku Hitlera na Wschód zamiast na Zachód.

Gursztyn zdecydowanie odrzuca tę sztandarową tezę rewizjonistów. I nie waha się używać ostrego języka: „Jest kłamstwem i bzdurą twierdzenie, że gwarancje brytyjskie przyspieszyły wybuch wojny oraz zaszkodziły Polsce. Po pierwsze, agresywna postawa Niemiec wobec Polski nie była skutkiem gwarancji, lecz ich przyczyną, bo swoje żądania wysunęli oni przed podpisaniem przez Polskę gwarancji. Po drugie, wszystko wskazuje na to, że Polska podjęłaby obronę nawet w przypadku braku tychże gwarancji. Postawa rządzących i całego społeczeństwa była jasno określona. W momencie udzielania i przyjmowania gwarancji panowało przekonanie, że spełnią one funkcję ostrzegawczą. Będą sygnałem, że atak na Polskę nie zakończy się małą lokalną wojenką, lecz będzie początkiem konfliktu z wielkim mocarstwem. Było to motywowane nadzieją, że Hitler wystraszy się wojny na dwa fronty. Na dodatek – co bardzo ważne – gwarancja od Brytyjczyków była też zachętą dla bardziej pacyfistycznych Francuzów. Wreszcie rzecz ostatnia – Brytyjczycy po roku 1969 upublicznili dokumenty z tamtego czasu i żaden z nich nie potwierdza teorii o intrydze mającej na celu odwrócenie kierunku agresji Hitlera”.

KANAPOWA OPCJA NIEMIECKA

Ważną zaletą książki Gursztyna jest przypomnienie, jak bardzo w latach 1938–1939 polskie społeczeństwo było zjednoczone w woli oporu wobec żądań terytorialnych Niemiec.

Gursztyn wskazuje: „Kim byli polscy »realiści«, ci, którzy w 1939 roku byli skłonni pójść na ustępstwa wobec Hitlera? Łatwiej jest odpowiedzieć na pytanie, kto do nich nie należał. Właściwie wszyscy w ówczesnej Polsce nimi nie byli. Kapitulacji w sprawie Gdańska i korytarza nie chciała nie tylko sanacja. Zdecydowane »nie« mówiła cała opozycja – od socjalistów, przez ludowców i chadeków, po endecję.



PIOTR GURSZTYN
**„RIBBENTROP-
 BECK. CZY PAKT
 POLSKA-NIEMCY
 BYŁ MOŻLIWY?”**
**WYDAWNICTWO
 DOLNOŚLĄSKIE,
 WROCŁAW 2018**

Nawet partie mniejszości narodowych deklarowały lojalność wobec państwa polskiego i wsparcie dla niego. Kapitulacji nie chciało wojsko, a także Kościół, który wzywał do ofiarności na rzecz państwa i armii. Nie było żadnej zorganizowanej akcji społecznej ani jednego komitetu czy organizacji, które domagałyby się pokoju za cenę ustępstw. Pacyfizm ani powiązane z nim kapitulantstwo w ówczesnej Polsce w ogóle nie występowały i nie był to przypadek”.

Zwolennicy ugody z Hitlerem daliby się przed wojną zmieścić na sporej kanapie. Byli to Stanisław Cat-Mackiewicz, Władysław Studnicki, Stanisław Swianiewicz i dwaj bracia Bocheńscy – Aleksander oraz Adolf. Cat-Mackiewicz i Aleksander Bocheński dadzą się potem omotać komunie, a Studnicki zostanie chorobliwym germanofilem zaangażowanym w bardzo wątpliwe próby kontaktów z hitlerowcami w czasie okupacji. Jedynie Adolf Bocheński obroni swe dobre imię, walcząc w II wojnie światowej w wojsku polskim, ginąc w 1944 r. jako żołnierz armii gen. Andersa. Swianiewicz zażywać będzie zasłużonej sławy jednego z niewielu ocalałych w ostatniej chwili z masakry katyńskiej. Cat-Mackiewicz uratuje dobre imię po powrocie do kraju w 1956 r. talentem pisarskim i podpisem pod Listem 34 do władz PRL, ale znów zepsuje je ujawnienie w latach 90. pobieranie sowitych honororiów od komunistycznej bezpieki w Londynie.

Autor książki bardzo trafnie pokazuje, jak niewiele zwolennicy ugody wiedzieli o Niemczech lub jak niektórzy z nich dawali się wykorzystywać propagandowo nazistom. Tak było z Catem-Mackiewiczem czy Studnickim, którzy przyjęli zaproszenie na parteitag NSDAP w 1936 r., dając się oczarowywać spektaklem siły III Rzeszy.

Zresztą – jak drobiazgowo wykazuje Gursztyn – Cat-Mackiewicz wiosną 1939 r. także wzywał do oporu, a tylko po latach utrzymywał, że był wówczas głosicielem potrzeby „realizmu” wobec Niemiec.

Ten litewski żubr pisał przepięknie, ale politykiem był żadnym. „Publicysta szedł na ogół przed politykiem. Gaduła przed graczem” – tak trafnie opisał pisarza jego biograf Jerzy Jaruzelski. Aż zdzi-

wienie budzi, jak taka błaha postać może być dzisiaj przywoływana w debatach o jednym z najważniejszych wyborów Polaków w XX w.

Ważnym uzupełnieniem krytyki polskich zwolenników ugody z Hitlerem jest przypomnienie przez Gursztyna o tym, jak na sojuszu z III Rzeszą wyszły inne państwa środkowoeuropejskie. Poruszający jest przykład Czech oddanych bez wystrzału Niemcom, co złamało narodową psychikę naszych południowych sąsiadów. Dobrym przykładem fatalnych efektów sojuszu z III Rzeszą jest Rumunia, kraj konsekwentnie ubezwłasnowolniony w czasie wojny przez Niemców. Podobnie jak Węgry, które Niemcy zajęli, jak tylko adm. Miklós Horthy przestał im być potrzebny. Niemcy nie byli lojalni wobec żadnego ze swoich sojuszników. Dlaczego mieliby być lojalni wobec Polski?

KWESTIA PODMIOTOWOŚCI

Piotr Gursztyn włożył wiele wysiłku, by oprzeć polemikę z rewizjonistami na solidnej podstawie źródłowej. Jednak najważniejszym przesłaniem książki jest wskazanie, że spór o postawę naszego kraju w 1939 r. to spór o stosunek do podmiotowości Polski. Wartości, za którą w ocenie Józefa Becka warto było zapłacić cenę zderzenia z Niemcami.

Gursztyn pisze: „Jest to spór o podmiotowość. Nas szczególnie interesuje ocena polskiej odmowy wobec oferty Hitlera. To pytanie, czy niezawisła, wolna republika ma prawo powiedzieć »nie« nastającej na nią tyranii. Jaka jest cena bezpieczeństwa, jaka jest cena złudzeń, że bezpieczeństwo można w ten sposób kupić? Także to, czy złamana republika i jej obywatele nadal są po kapitulacji tym samym narodem? I wreszcie, czy ofiara powinna się obwiniać o to, że stała się celem niezawinionej napaści. W tej książce twierdzimy, że polscy rewizjoniści, krytykując prawo Polski do uprawnionej odmowy, stają po stronie tych, którzy odmawiają podmiotowości ich własnemu krajowi, a tym samym prawa do samostanowienia. W związku z tym niniejsza książka jest opowieścią nie tyle o tym, »jak to się stało«, że Polska odmówiła Hitlerowi, ile »dlaczego dzisiaj to takie ważne«. Czyli o konsekwencjach teraźniejszych i być może przyszłych”.

Dobrze, że te słowa pojawiły się w druku. I dlatego to tak ważna książka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Zamach na życie Siergieja Skripala i jego córki Julii przeprowadzony, jak wszystko wskazuje, przez rosyjskie służby specjalne, spowodował ciąg zdarzeń, których skutki mogą się okazać dużo bardziej dalekosiężne, niż możemy dzisiaj przewidywać.

Bezpośrednim efektem w wymiarze międzynarodowym jest oczywiście bezprecedensowa akcja ponad 20 (w tym Polski) państw masowego wydalenia 130 rosyjskich dyplomatów, akredytowanych w tych krajach, oraz w reakcji na nią decyzja Rosji o wydaleniu ze swojego terytorium dyplomatów tych państw. Decyzja państw solidaryzujących się z Wielką Brytanią (która wcześniej wydała 23 rosyjskich dyplomatów) jest krokiem absolutnie przełomowym od czasu upadku żelaznej kurtyny, który jakkolwiek symboliczny, będzie miał bardzo konkretne konsekwencje w relacjach politycznych świata Zachodu z Rosją. Można się wręcz pokusić o stwierdzenie, że wyznacza on w nich otwarcie nowej ery.

Masowe wydalenia rosyjskich dyplomatów były wyraźnym sygnałem, że elity rządzące państw Zachodu uświadomiły sobie wreszcie, iż Rosja Putina jest agresorem i prowadzi z nimi niewypowiedzianą wojnę na ich terytorium. Zamach na Skripala stał się punktem zwrotnym w trwającym od kilku lat procesie budzenia się elit politycznych Zachodu z letargu, w którym pozostawały po upadku ZSRS.

Bolesna lekcja z tego zdarzenia doprowadziła do stanowczej i zdecydowanej reakcji, która w krótkiej perspektywie zaowocuje zaostrzeniem kryzysu politycznego z Rosją. Z całą pewnością znacząco wyhamuje agenda politycznych stosunków bilateralnych poszczególnych krajów z Moskwą. Należy się także liczyć z ochłodzeniem relacji gospodarczych, choć wiele

Przebudzenie Zachodu



Grzegorz Małecki

Polska stanęła w pierwszym szeregu państw rzucających wyzwanie Rosji. Jak nigdy potrzebujemy rozbudowy naszego potencjału wywiadowczego

krajów, zwłaszcza Niemcy, będzie chciało temu zapobiec. Skutkiem, który na pewno nie będzie zauważalny przez opinię publiczną i nawet ekspertów, stanie się radykalne nasilenie działalności służb wywiadowczych państw zachodnich, a także Rosji.

Będzie to zimna wojna 2.0, a nawet 3.0, ponieważ dzisiejsze służby dysponują narzędziami, o których ich poprzednicy mogli tylko marzyć. Oczywiście do łask wrócą stare, sprawdzone i skuteczne metody, a nawet (gdzieniegdzie) ludzie z minionej epoki, jednak unowocześnione i uzupełnione o wszystkie technologiczne nabytki ostatnich dekad. Istotnym czynnikiem wymuszającym poszukiwanie nowych rozwiązań stanie się zdziśiatkowanie tradycyjnych pozycji infrastruktury wywiadowczej w postaci stanowisk dyplomatycznych.

Nowa odsłona wojny wywiadów będzie zatem wymagała nowego podejścia, nowych form i metod, struktur i zasobów – ludzkich, finansowych oraz technologicznych. Przede wszystkim jednak państwa Zachodu będą musiały dokonać znaczącego przemodelowania swoich systemów wywiadowczych, redefiniując ich rolę,

mechanizmy zarządzania i struktury po okresie koncentrowania się na zwalczaniu przede wszystkim terroryzmu.

Jednym z obszarów, które będą wymagały szybkich i zdecydowanych decyzji, będzie międzynarodowa współpraca służb wywiadowczych, która rozwijała się dynamicznie w obszarze walki z terroryzmem, jednak pozostawiała wiele do życzenia w sferze tradycyjnej działalności wywiadowczej, a zwłaszcza kontrwywiadowczej. Symbolem tego stanu jest wieloletni zastój w dziedzinie tworzenia europejskiej agencji wywiadowczej. Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że temat ten niebawem wróci na agendę UE. Należy również spodziewać się ożywienia wielu bardziej lub mniej formalnych formatów współpracy służb specjalnych.

Wszystkie te uwagi odnoszą się także, a może nawet przede wszystkim, do Polski, która stanęła w pierwszym szeregu państw rzucających wyzwanie Rosji Putina. Ta słuszna decyzja nie może jednak zaowocować jedynie aresztowaniem urzędnika jednego z ministerstw podejrzanego o współpracę z wywiadem Rosji. Musi ona mieć dużo poważniejsze

konsekwencje, na których czele powinny się znaleźć pilna modernizacja i rozbudowa służb wywiadowczych. Konieczna jak nigdy wcześniej staje się reforma systemu służb specjalnych, której efektem będzie odbudowa i wzmocnienie zaniedbywanych przez wiele lat zdolności wywiadowczych i kontrwywiadowczych oraz ostateczne wyodrębnienie z nich struktur odpowiedzialnych za walkę z przestępczością gospodarczą i korupcją, które powinny być domeną służb policyjnych. Nowy model systemu zarządzania służbami powinien w sposób jednoznaczny i przejrzysty definiować odrębne role, zadania i usytuowanie organizacyjne służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych oraz porządku publicznego (policyjnych). Warunkiem skuteczności i efektywności służb wywiadowczych, poza nowoczesnością i profesjonalizmem, jest wyposażenie w adekwatne narzędzia i zasoby, w tym finansowe. Wymaga to zwiększenia minimum o połowę stanu osobowego służb (pozostaje on praktycznie na niezmiennym poziomie od 2001 r.).

Państwo polskie, w tym jego służby specjalne, od wielu lat ostrzegało naszych sojuszników, że Rosja prowadzi agresywną politykę wymierzoną w zachodni porządek i stabilizację, której kluczowym narzędziem jest jej aparat bezpieczeństwa. Wszystko wskazuje na to, że nasi partnerzy nareszcie wyciągnęli wnioski z naszych ostrzeżeń i będą chcieli postawić tamę rosyjskiej działalności. Wypada, abyśmy wzięli aktywny udział w tej inicjatywie, wykorzystując ją do wzmocnienia własnego bezpieczeństwa. Jest to idealna okazja do rozbudowy i unowocześnienia naszego potencjału wywiadowczego na miarę współczesnych wyzwań.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa państwa, był szefem Agencji Wywiadu.



Sławomir Cenckiewicz

Dzięki ludziom WZZ narodziła się idea Solidarności jako ruchu związkowego i narodowego walczącego z komunizmem. Uważajmy, by nie trafili oni na śmietnik historii

Po raz pierwszy rocznica powstania Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża zyskała rangę odpowiadającą ich faktycznemu znaczeniu. Jest to wyłączna zasługa IPN i jego prezesa – Jarosława Szarka, który nadał obchodom 40-lecia WZZ państwowy charakter. Upamiętnienie zmarłych działaczy WZZ – odsłonięcie okolicznościowych tablic na budynkach mieszkalnych, w których żyli i pracowali, peregrynacja po trójmiejskich cmentarzach i nawiedzenie ich mogił, wręczenie odznaczeń państwowych i konferencja, publikacja okolicznościowej książki i zaproszenie wszystkich żyjących ludzi WZZ stanowiły istotę trzydniowych obchodów w Gdańsku.

Niestety, fenomenowi ludzi WZZ Wybrzeża, którzy dali Polakom najpierw poczucie godności i konkretne narzędzia walki o swoje prawa pracownicze, a później zorganizowali Wielki Strajk, podczas którego obronili fundamentalny postulat nr 1 i powołali do życia NSZZ „Solidarność”, nie doceniły władze RP. Na obchodach w Gdańsku nie pojawili się ani prezydent (wysłał Andrzeja Wałękę z okolicznościowym listem), ani premier, ani nawet którykolwiek z ministrów (włącznie z tymi wywodzącymi się z Trójmiasta). Zabrało też marszałków Senatu i Sejmu oraz parlamentarzystów, jeśli nie liczyć Anny Fotygi i Antoniego Macierewicza. Nie było przedstawicieli instytucji roztaczających opiekę nad kombatantami i odpowiadających za politykę historyczną. Nie było nawet przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Dramat niepamięci zawitał nawet do telewizji publicznej, która wyparła rocznicę WZZ ze swojej ramówki.

W ten sposób historia i pamięć garstki ludzi, którzy dwa lata przed Sierpniem '80 i powstaniem Solidarności wypracowali koncepcję skutecznej walki z komunizmem, przegrywa z ignorancją władzy nieustannie odwołującej się do „polityki



Zapomniani

historycznej”. Jest to o tyle dziwne, że zaledwie 10 lat temu rozegrała się prawdziwa bitwa o pamięć o Wolnych Związkach Zawodowych, po tym jak w 2008 r. Anna Walentynowicz zorganizowała w budynku Sejmu RP obchody 30-lecia powstania WZZ. Ileż było wówczas mowy o zawłaszczaniu pamięci. Ileż osób – dzisiaj niepamiętających o kolejnej rocznicy WZZ – twierdziło, że wywodzi się z tego ruchu i nie pozwoli na zapomnienie.

DEKLARACJA

Minęło już 40 lat od ogłoszenia w Gdańsku Deklaracji Założycielskiej WZZ Wybrzeża z 29 kwietnia 1978 r., w której Andrzej Gwiazda, Antoni Sokołowski i Krzysztof Wyszkowski napisali: „Szeroka demokratyzacja jest dzisiaj absolutną koniecznością. Społeczeństwo musi wywalczyć sobie prawo do demokratycznego kierowania swoim

państwem. Wszystkie jego warstwy muszą zdobyć możliwość samoorganizacji oraz tworzenia instytucji społecznych rzetelnie realizujących ich prawa. Tylko autentyczne związki i stowarzyszenia społeczne mogą uratować państwo, bo tylko poprzez demokratyzację droga prowadzi do scalenia interesów i woli obywatela z interesem i siłą państwa. Zadania te realizują istniejące już instytucje społeczne, takie jak Komitet Samoobrony Społecznej KOR, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Towarzystwo Kursów Naukowych czy Studenckie Komitety Solidarności. Pamiętając tragiczne doświadczenia grudnia 1970, opierając się na oczekiwaniach licznych grup i środowisk społeczeństwa Wybrzeża, podejmujemy śląską inicjatywę tworzenia wolnych związków zawodowych. Dziś, w przededniu 1 maja, święta od ponad 80 lat symbolizującego walkę o prawa



Na obchodach 40-lecia WZZ w Gdańsku zabrakło przedstawicieli najwyższych władz państwowych FOT. ARCHIWUM AUTORA

fenomen

robotnicze, powołujemy Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Celem Wolnych Związków Zawodowych jest organizacja obrony interesów ekonomicznych, prawnych i humanitarnych pracowników. Wolne Związki Zawodowe deklarują swą pomoc i opiekę wszystkim pracownikom bez różnicy przekonań czy kwalifikacji”.

PAMIĘĆ MOSKWY

Zarysowana w Deklaracji Założycielskiej koncepcja działań trójmiejskich WZZ ponad podziałami, korzenie sięgające Grudnia '70 oraz wola niesienia realnej pomocy robotnikom wywołały niepokój w Moskwie i na szczytach władzy PRL. Dzięki relacji Piotra Kostikowa, który w latach 1964–1980 był szefem polskiego sektora Wydziału Łączności z Bratnimi Partiami Krajów Socjalistycznych KC KPZS, wiemy także o niepokojach Mo-

skwy. Kostikow pisał: „Z Polski przyszło określenie: »opozycja autobusowa«, cała jej siła zmieści się w jednym autobusie i, oczywiście, zostanie wywieziona. Nasze oceny były inne. Z uwagą na przykład odnotowaliśmy już w [kwietniu] 1978 roku powstanie Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych. Dowiedzieliśmy się potem, że kolportowane są niezależne pisma, że bezpieczeństwo dokonało aresztowań. Bardzo nas to przestraszyło. Bardziej niż znane nam wcześniej działania Komitetu Obrony Robotników i może w założeniu szlachetna, ale odosobniona działalność młodych i starszych przedstawicieli kręgów intelektualnych wśród robotników Radomia, Ursusa i innych miejscowości dotkniętych represjami po czerwcu 1976 roku. Doniesienia naszej bezpieki o działalności Kuronia, Michnika, Modzelewskiego czy Moczulskiego nie robiły silniejszego wra-

żenia, jakby spowszedniały, choć nadawały nowego kolorytu krajom socjalistycznym. Nasi polscy przyjaciele całkowicie bagatelizowali te zjawiska jako marginesowe i radzili nam nie przywiązywać większej wagi do jakichś tam prasowych ataków na siły antysocjalistyczne. [...] Dopiero wiadomości o Wolnych Związkach Zawodowych zaalarmowały naszych szefów. [...] Nasi szefowie sformułowali taką tezę: ten ruch jest niebezpieczny, już same nazwy – wolne związki zawodowe czy komitety obrony robotników – są dynamitem. Ruch jest niebezpieczny, bo wraca do początku wieku, do korzeni rewolucji społecznej. Tę niewiarygodną tezę sformułowano u nas jeszcze w latach siedemdziesiątych. Krył się za nią strach przed... rewolucją. Nie poprzestano na teorii, na użytek wewnętrzny Związku Radzieckiego poszły polecenia o zastrzeżeniu represji, obserwacji, ściganiu sił podejmujących działania przeciw państwu radzieckiemu. U nas jeszcze nikt nie pomyślał o wolnych związkach, ale już rozstawiano posterunki”.

Z kolei podczas jednej z telekonferencji resortu spraw wewnętrznych gen. Adam Krzysztowski apelował do szefów wojewódzkich struktur SB, aby nie bagatelizowali zagrożenia płynącego z powstania wolnych związków, nawet jeśli oddziaływanie działaczy WZZ na robotników nie jest jeszcze zbyt wielkie. Z tego powodu, w pierwszym okresie po powstaniu WZZ na Śląsku i Wybrzeżu, władze skupiały się na działaniach uniemożliwiających powołanie grup inicjatywnych w innych regionach kraju. Z materiałów MSW wiemy, że próby powołania WZZ podejmowano już w 1978 r., m.in. na terenie Gryfina koło Szczecina, w Wałbrzychu, Miechowie, Łodzi, Krakowie, Radomiu i Częstochowie. Wszędzie tam – jak zapewniali funkcjonariusze MSW – próby te zostały ograniczone lub udaremnione przez SB. Chodziło również o przecięcie kontaktów pomiędzy grupami założycielskimi WZZ.

ISTOTA RZECZY

WZZ jednak powstały i przetrwały. Ich fenomen polegał przede wszystkim na nowatorstwie przyjętej metody i koncepcji politycznej walki z komunistami. Nie chodziło jedynie o odrzucenie działalności strictly konspiracyjnej i puste gadanie o potrzebie wciągnięcia robotników do działalności antykomunistycznej. Stawką było skończenie z ową „autobusową opozycją” i przyjęcie idei związkowej wzo-

rowanej na zachodnich „trade unions”. Istotą programową koncepcji WZZ było odwołanie się nie tylko do przepisów prawa pracy, Kodeksu pracy i BHP, lecz także przede wszystkim do parafowanej przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy, nie zaś do ustawy o związkach zawodowych z 1949 r. Wspomniana konwencja dawała prawo (bez uzyskania wcześniejszego zezwolenia) organizowania się pracowników w związkach zawodowych bez względu na płeć, wyznanie, rasę, narodowość czy poglądy polityczne. I – co szczególnie – ważne prawo to „przysługuje pracownikom również bez względu na rodzaj wykonywanego zajęcia. [...] Konwencja nr 87 przyjmuje zasadę pluralizmu związkowego w przedsiębiorstwie i w skali kraju, a jej wykładnia dokonywana przez MOP przeciwstawia się zdecydowanie ustanowieniu monopolu jednego związku”.

Takie postawienie sprawy było dla komunistów zabójcze, co pokazał Sierpień '80, kiedy dokładnie na odwołaniu się do Konwencji nr 87 MOP Międzyzakładowy Komitet Strajkowy zbudował strategię negocjacyjną, której stawką było powstanie Solidarności. W warunkach PRL miała ona zaowocować organizowaniem się w profesjonalny, niezależny ruch związkowy wszystkich osób zatrudnionych w konkretnych zakładach pracy (dlatego warunkiem członkostwa w WZZ było zatrudnienie).

NIEPOKÓJ KURONIADY

Takie pomysły musiały z kolei zaniepokoić salonowców z warszawskiej „autobusowej opozycji” i doprowadzić do programowego sporu ze środowiskiem lewicy KSS KOR skupionej wokół Jacka Kuronia, która w tekstach swojego lidera (np. „Myśli o programie działania” z 1977 r.) i jego najbliższego kompana – Adama Michnika („Nowy ewolucjonizm” z 1976 r.) – hołdowała komunistycznej idei samorządu robotniczego, komisji robotniczych oraz pomysłom oddziaływania na reżimowe związki zawodowe. Leninowska, a później gramscjańska zasada opanowywania większości przez mniejszość wydawała się im jedyną szansą na zmianę stosunków społecznych w PRL.

W latach 80. trafnie diagnozował ten problem Ludwik Dorn: „W myśleniu inspirowanym lub też genetycznie wywodzącym się z marksizmu-leninizmu idea rad robotniczych pozostaje w najściślejszym związku z doświadczeniem

zdobycia władzy przez partię stanowiącą znikomą mniejszość i pozbawioną szans w warunkach demokratycznych. Jest to doświadczenie partii bolszewickiej i rewolucji rosyjskiej 1917 roku. W 1917 roku Lenin przeciwstawił powstające rady (przede wszystkim Radę Piotrogradzką) Rządowi Tymczasowemu, »bezpośrednią inicjatywę mas ludowych« republikańsko-demokratycznej formie rządów. W ramach tego ustroju bolszewicy byli pozbawieni szans na zdobycie władzy, a Lenin był konsekwentnym wyznawcą poglądu, że »podstawowym zagadnieniem każdej rewolucji jest zagadnienie władzy w państwie«. Leszek Kołakowski z kolei pochylił się nad doktryną Antonia Gramsciego, którego koncepcję rad fabrycznych i robotniczych, jako technicznego zabiegu związanego z przejściem władzy, tak opisał: „Idea rad robotniczych odgrywa w jego rozważaniach z epoki »L'Ordine Nuovo« rolę

To dzięki działaczom WZZ uratowano strajk w Stoczni Gdańskiej i obroniono najważniejszy, pierwszy postulat MKS

kapitałną. Rady nie mogą być zastąpione przez partie ani związki zawodowe. Stanowią one właściwą formę organizacji komunistycznego społeczeństwa wytwórców i główny organ wyzwolenia proletariatu. Rady nie czynią partii zbyt częstą: partia pozostaje narzędziem wychowania komunistycznego i organizatorem. Rady jednak nie tylko zawiadują procesem produkcyjnym, ale są także właściwym organem dyktatury proletariatu: rady powstające w społeczeństwie kapitalistycznym są modelem przyszłego państwa proletariackiego, dlatego ich powstanie otwiera nową epokę w dziejach ludzkości. Partia nie ma być ich »gotową nadbudową« czy instancją kontrolną, ale współdziałać w procesie wyzwolenia proletariatu i przyspieszać rewolucję”.

ZWYCIEŚTWO I PAMIĘĆ

Stąd też początkowo Kuroń sceptycznie odniósł się do pomysłów gdańszczan. Musiał jednak skapitulować i na kilka dni przed i tak już podjętą przez Wyszowskiego, Gwiazdę oraz Sokołowskiego

decyzją o powołaniu WZZ był zmuszony ustąpić. Wolne związki powstały, stając się same w sobie programowym modelem walki z komuną. Wielki Strajk z sierpnia 1980 r., powstanie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, przyjęta wówczas strategia negocjacyjna, a później powstanie Solidarności były jedynie potwierdzeniem słuszności przyjętej w 1978 r. koncepcji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przede wszystkim to dzięki działaczom WZZ uratowano strajk w Stoczni Gdańskiej i obroniono najważniejszy, pierwszy postulat MKS mówiący o potrzebie powołania niezależnej od komunistów organizacji związkowej. Z Komitetu Założycielskiego WZZ wywodziła się przecież większość bohaterów Sierpnia: Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska, Ewa Ossowska, Andrzej Gwiazda, Bogdan Borusewicz, Jerzy Borowczak, Lech Kaczyński, Krzysztof Wyszowski i... Lech Wałęsa, chociaż trudno dzisiaj mówić o jego bohaterstwie.

W każdym razie to właśnie dzięki ludziom WZZ narodziła się idea Solidarności jako ruchu związkowego i narodowego walczącego z komunizmem. Pewnie dlatego Adam Michnik powiedział kiedyś, że Solidarność w 1980 r. powstała niejako wbrew KOR-owskiej lewicy, w komunizmie bowiem niemożliwe jest stworzenie i funkcjonowanie niezależnych związków zawodowych. I dodał: „Tak powstała Solidarność, bez nas i przeciw nam”.

Podczas obchodów 80. rocznicy urodzin Anny Walentynowicz w 2009 r. Krzysztof Wyszowski ofiarował jubilatce jej wielkoformatowe zdjęcie z 1980 r., na które natknął się kilka tygodni wcześniej na śmietniku w Stoczni Gdańskiej. „To wielkie zdjęcie Anny znalazłem wiosną bieżącego roku na kupie śmieci usuniętych z wystawy o Solidarności w historycznej sali BHP Stoczni Gdańskiej – mówił Wyszowski, zwracając się do Walentynowicz. – Los tego zdjęcia może być symbolem metod stosowanych niegdyś przez władzę PRL, a obecnie przez władzę III RP w stosunku do kobiety, której dzieło dzisiaj czcimy. Proszę cię, Anno, o przyjęcie tego prezentu ze śmietnika historii, na którym niektórzy chcieliby cię umieścić”.

Niech te słowa zabrzmiały dzisiaj niczym przestroga dla rządzących – aby z lenistwa, ignorancji czy nawet zapracowania nie umieścili historii Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża na owym śmietniku historii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

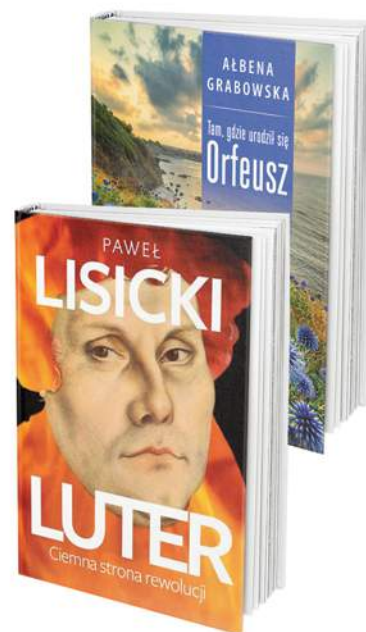
PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI

„TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ ORFEUSZ”
„LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI”

+

Cena: 151 zł
Oszczędność: 113zł



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303

KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

+

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289zł



 **MANTA**
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 649e0b0163



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Twarze zaginionych

Każdego roku w Polsce ginie 20 tys. ludzi. Część z nich udaje się odnaleźć, ale kilka tysięcy gubi się bezpowrotnie. Na zawsze. Jak wynika z policyjnych statystyk, trend ten niestety się nasila. Coraz więcej Polaków nie wraca do domów. A co jeszcze bardziej przerażające – sporą część zaginionych stanowią dzieci.

Ludzie znikają z dnia na dzień, zostawiając po sobie niezakończoną sprawę. Zbudowane do połowy domy, napisane do połowy artykuły, nierozwiązane konflikty. Sukcesy i porażki. Wszystko jakby przecięte brzytwą. Był człowiek i nagle go nie ma. Pozostają po nim tylko rzeczy. I zrozpaczeni bliscy w pustych mieszkaniach.

Każdy z nas codziennie mijają ogłoszenia informujące o zaginionych. Wiszą na słupach, przystankach tramwajowych, na drzewach. Z reguły mijamy je w pośpiechu, obojętnie. Nasz redakcyjny kolega – znakomity fotograf Wojciech Niedzielko – zawsze się zatrzymuje. I robi zdjęcie.

Wojciech Niedzielko od 12 lat fotografuje ogłoszenia informujące o zaginięciu ludzi. A także o zgubionych zwierzętach, kluczach, telefonach. Efektem jego pracy jest wydany właśnie album „Zaginieni 2006–2017”.

Wiek: 14 lat

Wzrost: 160 cm

Włosy długie ciemne

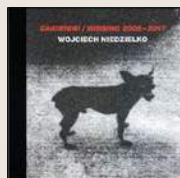
Ciemne oczy

Wyszła z domu dnia... do tej pory nie powróciła... ubrana była w ciemne dżinsy... Wszystkie osoby, które... proszone są o kontakt...

Poniżej numery telefonów. A powyżej zdjęcie dziewczynki.

Takich ogłoszeń w albumie Wojciecha Niedzielko są setki. Część przygotowana profesjonalnie na komputerze, część napisana zwykłym flamastrem. Do tego kawałek taśmy klejącej.

Przeglądając tę niesamowitą książkę, trudno nie odczuwać poruszenia. Przecież za każdym z tych ogłoszeń stoi wielka ludzka tragedia. Zaginionego człowieka, ale również jego rodziny. Rodziców, żon, mężów, dzieci. Aż chciałoby się zadzwonić. Zapytać, jak skończyły się te wszystkie historie... Wrócili czy nie wrócili? ©



★★★★★

WOJCIECH NIEDZIELKO „ZAGINIENI/MISSING 2006–2017” EDITION HAUS AM GERN/ NIEPORĘCKA 2017



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nienawiść po rycersku

Wydawać by się mogło, że średniowiecze było epoką, w której podczas wojny przeciwnicy traktowali się wzajemnie po rycersku. Faktycznie, najczęściej tak było, czego przykładem może być bitwa Polaków z Krzyżakami pod Koronowem, stoczona trzy miesiące po Grunwaldzie. Starcie

królewskich, którymi zarządzał. W odpowiedzi magnat ogłosił Oleśnickiego wrogiem króla i państwa, a poparło go wielu przedstawicieli rycerstwa małopolskiego i stronicy królowej Sonki (matki młodego władcy). Wybuchła regularna wojna i 6 maja 1439 r. doszło do decydującej bitwy pod Grotnikami.

Starcie zakończyło się klęską Spytki, magnat został śmiertelnie ranny. Zaraz po zakończeniu bitwy odbyła się jedna z najbardziej obrzydliwych scen polskiego średniowiecza. Na polu bitwy, nad leżącym i konającym Spytkiem, zorganizowano pospieszny sąd. Uznano go winnym zdrady stanu i skazano na karę śmierci. Wyroku nie musiano wykonywać, Spytek niebawem zmarł, a jego nagie ciało przez trzy dni leżało niepochowane. Przy okazji odebrano też jego rodzinie szlachectwo i zarządzono konfiskatę rodowych majątków. W tym potwornym procesie brał też udział teść magnata, kasztelan poznański, Dobrogost z Szamotuł.

Na szczęście niebawem do sprawy włączył się król, uznany już za pełnoletniego. Skasował wyrok „sądu” i przywrócił rodzinie szlachectwo i majątki.

Jak widać, średniowiecze nie było aż tak rycerską epoką, za jaką się je powszechnie uważa. Jednak nasi przodkowie nie odbiegali od europejskiej normy, na całym kontynencie zdarzały się skandaliczne rzeczy, a wyrznanie jeńców (i to nie tylko gorzej urodzonych czy pogan) było na porządku dziennym. ©

Średniowiecze nie było aż tak rycerską epoką, za jaką się je powszechnie uważa

obfitowało w indywidualne pojedynki, przerywano je dwukrotnie, by opatrzyć rannych, a przeciwnicy wysyłali sobie wzajemnie puchary z winem. Niestety, w tej epoce zdarzały się także wypadki, które nie miały wiele wspólnego z pojęciem kodeksu honorowego tamtych lat.

W 1439 r. doszło w Polsce do konfliktu między zwolennikami biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego i prohusyckim stronnictwem, na czele którego stał kasztelan biecki, Spytek z Melsztyna. Chodziło o przejęcie kontroli nad młodocianym Władysławem III (późniejszym Warneńczykiem), a co za tym idzie – kwestię odsunięcia Oleśnickiego od władzy. W efekcie biskup uznał Spytkę z Melsztyna za heretyka, obłożył interdyktem, usunął z Rady Królewskiej i przystąpił do odbierania mu posiadłości



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 7
MAJA
2018

CZWARTY ODCINEK SERII

Bolesław Chrobry - twórca mocarstwa

Jak Chrobry kształtował politykę w Europie Środkowej, co musiał zrobić, aby stworzyć silną armię i opowiadamy o serii wojen z sąsiadami. Próbujemy wyjaśnić, skąd wzięła się nazwa Polska i co znaczy.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna



Jacek Przybylski

Kim Dzong Un, aby ratować reżim, zgodził się na ważne gesty wobec Korei Południowej. Za wstrzymanie programu nuklearnego władze w Pjongjangu zażądają jednak dużo więcej niż tylko osłabienia sankcji

Największe na świecie pole minowe. Linia demarkacyjna o szerokości 4 km i długości 238 km.

A po obu stronach potężne armie od 65 lat gotowe do krwawego starcia, które mogłyby mieć katastrofalne skutki nie tylko dla regionu, lecz także dla całego świata.

Tak wygląda najbardziej strzeżona granica, która od 1953 r. rozcina Półwysep Koreański. Jeszcze przed lutowymi igrzyskami w Pjongczangu Korea Północna i Stany Zjednoczone stały na krawędzi wojny. I nie chodziło tylko o propagandowe groźby. Ryzyko konfliktu na wielką skalę było tak duże, że w stronę granicy z Koreą Północną ciągnęły długie kolumny z chińskimi czołgami i ciężarówkami wypełnionymi żołnierzami, których ostrzeżono, że mają być gotowi na wybuch wojny. Władze w Pekinie obawiały się też powodzi uchodźców, która rozlałaby się na Chiny, gdyby Amerykanie przypuścili szturm na Koreę Północną.

Nowa seria międzynarodowych sankcji nałożonych pod wpływem USA na reżim w Pjongjangu była jednak bardzo bolesna, a komunistyczne władze zdają sobie sprawę, że im większy stopień ubóstwa, tym większe ryzyko powstania ruchów opozycyjnych, które w końcu mogłyby doprowadzić do obalenia brutalnego reżimu.

Administracja Donalda Trumpa świetnie dała sobie również radę z prze-



Atomowy poker

FOT. KOREA SUMMIT PRESSPOOL/AP/IST NEWS

◀ ILE BĘDZIE KOSZTOWAŁ PRZEŁOM NA PÓŁWYSPIE KOREAŃSKIM? ▶

forsowaniem międzynarodowej izolacji wobec Pjongjangu, którego dyplomaci tradycyjnie na wieść o zbliżających się sankcjach stawali się czarujący i przystępowali do ofensywy dyplomatycznej, mającej opóźnić ich wprowadzenie. Biały Dom pod kierunkiem Trumpa wywarł w sprawie Korei Północnej maksymalny nacisk nie tylko na sam Pjongjang, ale również na władze Korei Południowej, Chiny i społeczność międzynarodową.

Jednocześnie straszenie świata III wojną światową – co dotychczas pomagało reżimowi w uzyskiwaniu ustępstw – stało się dla Kim Dzong Una wyjątkowo niebezpieczne. Okazało się bowiem, że w Waszyngtonie urzęduje jegomość, który jest niemal równie nieprzewidywalny co północnokoreański przywódca, a w administracji Donalda Trumpa zdecydowanie przeważają ludzie, którzy uważają, że pomysł prewencyjnego ataku jądrowego na komunistyczną Koreę to najlepsza recepta na rozwiązanie kwestii dyktatora zagrażającego przyszłości Ameryki. Zwolenników siłowego obalenia reżimu w Pjongjangu było tak wielu choćby dlatego, że z raportu Kongresu wynikało, iż w razie koreańskiego uderzenia atomowego na USA zginąć może duża część amerykańskiej populacji. Trump wprost oznajmił więc oficjalnie, że jeśli Północ nadal będzie podejmować działania zagrażające bezpieczeństwu Ameryki, to kraj ten spotkają „ogień i furia, jakich świat jeszcze nie widział”.

WOJNA CZY POKÓJ

W takiej sytuacji władze w Pjongjangu porzuciły propagandowe groźby i rozpoczęły dyplomatyczną ofensywę, która doprowadziła do symbolicznego przełomu w relacjach między Północą a Południem. Pod koniec kwietnia Kim Dzong Un, jako pierwszy przywódca Korei Północnej od 1953 r., przekroczył 38. równoleżnik i spotkał się z prezydentem Korei Południowej Mun Dze Inem. Podczas historycznego spotkania liderów zwąśnionych państw – pierwszego od 11 lat i trzeciego w ogóle – ogłoszono m.in. chęć zakończenia trwającej już 68 lat wojny (w 1953 r., po trzech latach krwawej wojny, formalnie zawarto bowiem jedynie rozejm) i podpisanie traktatu pokojowego. Kim Dzong Un i Mun Dze In zobowiązali się też do natychmiastowego zaprzestania „wszelkich wrogich działań przeciw sobie”.

Symbolicznych gestów, ogłoszonych przez przywódców obu Korei, jest już wiele. Zgodnie z zapowiedzią Kim Dzong Una Korea Północna 5 maja przesunęła wskazówki w zegarach o 30 minut do przodu, zrównując w ten sposób swój czas z obowiązującym w Korei Południowej. Z kolei władze w Seulu ogłosiły, że zdemontują głośniki rozmieszczone w ok. 50 miejscach wzdłuż granicy, za pomocą których Korea Południowa od wielu lat nadawała propagandowe audycje dla Koreańczyków z Północy – będące mieszaną południowokoreańskiego popu wraz z krytyką dyktatorskiego reżimu, przez co władze w Pjongjangu wielokrotnie wcześniej groziły ostrzelaniem głośników z artylerii.

Jeszcze w maju dialog wojskowy mają podjąć najważniejsi generałowie obu części podzielonego kraju, a jesienią do stolicy Korei Północnej ma się udać południowokoreański prezydent. Mun Dze In zapowiedział już także, że rozdzieleni przez wojnę krewni wreszcie znowu będą się mogli ze sobą kontaktować, co ułatwić ma m.in. modernizacja linii kolejowych oraz dróg łączących obie Koree.

Co jednak najważniejsze, przywódcy obu państw zgodzili się także na denuklearyzację Półwyspu Koreańskiego. Północnokoreański przywódca już teraz ogłosił nie tylko wstrzymanie dalszych prób jądrowych, lecz także zapowiedział zamknięcie w maju obiektu wojskowego na północy kraju, w którym prowadzono badania nad rozwojem broni atomowej. Dyktator wyciąga również dłoń do zachodniego świata, zapowiadając, że na uroczystość zamknięcia poligonu nuklearnego zaprosi zagranicznych, w tym amerykańskich, dziennikarzy. Do spraw realizacji postanowień rozbrojeniowych ONZ ma powołać specjalnego wysłannika.

DUCH KADDAFIEGO

Warunki denuklearyzacji z pewnością zostaną poruszone podczas kolejnego historycznego spotkania, tym razem północnokoreańskiego dyktatora Kim Dzong Una oraz przywódcy Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa. Historycznego, ponieważ jeszcze nigdy w historii prezydent USA nie spotkał się z przywódcą Korei Północnej.

Przygotowania do tego szczytu trwają już od wielu tygodni, a jego szczegóły omawiał w Pjongjangu dyrektor CIA Mike Pompeo, który w Wielkanoc spo-

tkał się z północnokoreańskim dyktatorem.

Spekuluje się, że do szczytu dojdzie jeszcze w maju. Według Bloomberg'a mógłby się on odbyć w Genewie, Bangkoku, Helsinkach lub w Warszawie – w stolicy Polski funkcjonuje bowiem duża ambasada Korei Północnej i to właśnie w Warszawie w zeszłym roku ważne przemówienie wygłosił Donald Trump. Z kolei według agencji Kyodo szczyt odbędzie się w Singapurze albo Mongolii. Sam prezydent USA na Twitterze zasugerował zaś niedawno, że do historycznego spotkania mogłoby dojść w Domu Pokoju i Domu Wolności w Panmunjomie na granicy między obiema Koreami. Trump zapowiedział też, że nie pozwoli, aby Kim prowadził z nim gierki, i podkreślił, że opuści stół negocjacyjny, gdy tylko dojdzie do wniosku, że jednak nie ma szans na porozumienie między Waszyngtonem a władzami w Pjongjangu.

Możliwe, że tak właśnie się stanie. Wciąż nie wiadomo bowiem, jakie są prawdziwe intencje uśmiechającego się do kamer młodego Kim Dzong Una, który jeszcze niedawno przeprowadzał kolejne testy rakietowe i groził wojną Stanom Zjednoczonym. To przecież przywódca krwawego, brutalnego reżimu, który w 2017 r., próbując umocnić swoją pozycję, kazał zabić swego przyrodniego brata: Kim Dzong Nama.

Nie wiadomo też, czego Kim Dzong Un będzie żądał za rezygnację z broni atomowej, nad zdobyciem której reżim pracował przez ponad pół wieku.

Na razie komunistyczny przywódca nie podjął żadnej decyzji, której nie dałoby się szybko odwrócić. Za rzeczywistą rezygnację z programu atomowego z pewnością będzie żądał o wiele więcej niż tylko złagodzenia międzynarodowych sankcji.

Zwłaszcza że Kim musi zdawać sobie sprawę, że Waszyngton chce jednej Korei. Oczywiście zjednoczenie Korei to również cel dla Pjongjangu, którego władze słusznie uważają, że podzielony kraj jest słaby i za bardzo zależny od zagranicznych potęg. Według Amerykanów powstanie zjednoczonego kraju jest jednak możliwe tylko po upadku komunistycznego reżimu na Północy.

Z punktu widzenia Kima jest jeszcze jeden problem. Stany Zjednoczone chcą również użyć Libii jako wzorca dla rozbrojenia Korei Północnej. Kłopot w tym, że pułkownik Muammar Kaddafi, który

W 2003 r. został oficjalnie pochwalony przez prezydenta Stanów Zjednoczonych George'a W. Busha za rezygnację z posiadania broni masowego rażenia, w 2011 r. został obalony przez rebeliantów wspieranych z powietrza przez koalicję złożoną m.in. z USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Kanady i Włoch. Casus Libii sprawił, że władze w Iranie czy Korei Północnej uznały, iż tylko broń atomowa może skutecznie ochronić je przed amerykańską interwencją. I chociaż w zamian za dostawy oleju roślinnego, suszonych warzyw czy gotowych dań z USA Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna zgadzała się na moratoria na testy jądrowe czy próby rakiet dalekiego zasięgu (tak było np. w lutym 2012 r.), to po otrzymaniu pomocy żywnościowej Koreańczycy wracali do prób rakietowych i prac nad arsenałem jądrowym.

Niedawna nagła zmiana północnokoreańskiej strategii i dopuszczenie ewentualności całkowitej rezygnacji z programu atomowego każą się więc zastanowić, jak wiarygodne są to zapowiedzi. Pozycji amerykańskich negocjatorów nie ułatwiają też zapowiedzi Donalda Trumpa, który chce wycofania się USA z międzynarodowego porozumienia z Iranem. Zawarta za rządów Baracka Obamy umowa znosiła sankcje wobec Teheranu w zamian za ograniczenie irańskiego programu jądrowego. Nowy amerykański prezydent może więc odwieść sankcje wobec Iranu. Niewykluczone jednak, że władze w Pjongjangu doszły do wniosku, że są w lepszej sytuacji niż reżim Kaddafiego – dużą część rakiet mają bowiem wycelowanych w stolicę Korei Południowej, czyli bliskiego sojusznika USA w regionie. Amerykanie muszą więc sobie zdawać sprawę, że próba zbrojnego obalenia Kima skończyłaby się nie tylko gigantyczną wojną na Półwyspie Koreańskim, lecz także szybko mogłaby się przemienić w konflikt regionalny, w który zaangażowane byłyby też Japonia, Chiny oraz Rosja. Poza tym Związek Sowiecki upadł, mimo że w jego arsenałach wciąż roilo się od głowic atomowych. Posiadanie broni masowego rażenia nie jest więc prostą receptą na przetrwanie.

DZIEŃ ŚWISTAKA

Prawdopodobny jest też scenariusz, w którym Kim Dzong Un zgodzi się zawrzeć porozumienie mówiące o rozbrojeniu, ale i tak nie będzie go przestrzegał. Była szefowa amerykańskiej dyplomacji Condoleezza Rice przekonuje więc, że jeśli

wziąć pod uwagę długą historię oszustw ze strony Korei Północnej, to konieczne są wyrwkowe kontrole przez inspektorów, którzy powinni mieć możliwość zjawienia się w dowolnym obiekcie i dowolnym czasie. Za działania na rzecz pokoju z Koreą Północną Pokojową Nagrodę Nobla otrzymał już w 2000 r. ówczesny prezydent Korei Południowej. Kim Dae Dzung, aby skłonić ówczesnego lidera Korei Północnej do pierwszych od końca wojny koreańskiej w 1953 r. oficjalnych rozmów, miał ponoć przekazać Kim Dzong Ilowi 500 mln dol. Podczas szczytu dyktator również wydawał się zaskakująco czarujący. Szybko okazało się jednak, że mimo podpisanego wówczas porozumienia



o dążeniu do pojednania Północ kontynuowała prace nad rozwojem programu raketowego i jądrowego. – Tego typu reżimy bardzo sprawnie potrafią oczyścić dany obiekt, gdy tylko zostaną powiadomione, że ma on zostać sprawdzony. Mają też skłonność do zgłaszania do inspekcji znanych inspektorom obiektów, ale ukrywania innych instalacji – ostrzegła Condoleezza Rice w telewizji CBS News. Może się więc okazać, że np. poza poligonem nuklearnym, który Kim Dzong Un jest gotów zamknąć na oczach zagranicznych obserwatorów, w górach Korei Północnej ukryte są też inne, nieznanne Zachodowi, instalacje służące rozwojowi broni jądrowej. Jest jeszcze jeden powód, dla którego północnokoreański dyktator mógł tak chętnie zaoferować zamknięcie poligonu przy gorze Mantap. Po sześciu próbach

atomowych dokonanych w tunelach wydrążonych pod tą górą międzynarodowi naukowcy już w 2017 r. ostrzegali przed „syndromem zmęczonej góry” – tunele służące testom są już tak zniszczone, że albo już się zawaliły, albo wkrótce się zawalą. Znaczenie większe niż symboliczne będzie więc miała dopiero decyzja o wypuszczeniu inspektorów miejsc, w których produkowane są obiekty jądrowe.

Jakby problemów było mało, to na wynik rozmów wpływać będą też zagraniczni gracze. Obecny podział Półwyspu Koreańskiego to rezultat uzgodnień między USA a Sowietami. Teraz również trudno sobie wyobrazić, aby Chiny ot tak odpuściły strefę wpływów, którą jest północna część Korei. Pekin robi więc, co może, aby jak najszybciej naprawić swoje relacje z władzami w Pjongjangu i przekonać dyktatora do formuły rozmów czterostronnych: obie Koree, USA i Chiny. W zeszłym tygodniu Północ pierwszy raz od ponad 10 lat odwiedził szef chińskiej dyplomacji, a w czerwcu na spotkanie z Kim Dzong Unem wybiera się przywódca Chin Xi Jinping. Ważne interesy w tym rejonie ma też choćby Japonia.

Gdyby więc cynicznie spojrzeć na najnowszą pokojową deklarację obu przywódców, to można by stwierdzić krótko: „ale to już było” i przywołać porozumienia z 1972 r. (wydano wówczas pierwszy wspólny komunikat wyrażający wolę zjednoczenia), 1992 r. (Korea Północna podpisała wówczas deklarację o strefie bezatomowej na Półwyspie Koreańskim), 2000 r. (Kim Dzong Il i Kim De Dzung podpisali deklarację zapowiadającą rozwój współpracy między podzielonymi Koreami) czy 2007 r. (gdy w Pjongjangu odbyło się drugie spotkanie przywódców Korei Północnej i Korei Południowej).

Jeżeli zatem szczyt koreańsko-amerykański zakończy się sukcesem i na Półwyspie Koreańskim po niemal siedmiu dekadach zapanuje pokój, to Donald Trump przejdzie do historii jako mistrz międzynarodowych rozgrywek, który zasłużył na Pokojową Nagrodę Nobla. Jeśli jednak Kim znów wystrychnie Zachód na dudka, to polityczni przeciwnicy Trumpa z lubością będą mówić o nim jako o aroganckim pionku na szachownicy mocarstw, który dał się ograć dużo bardziej doświadczonym graczom i pozwolił niebezpiecznemu dyktatorowi zyskać więcej czasu na przygotowania do wojny.

DROŻSZY ALKOHOL DLA ZDROWIA SZKOTÓW

Szkocki rząd postanowił zawalczyć o lepsze życie i zdrowie mieszkańców – wprowadził minimalne ceny alkoholu. Od ubiegłego tygodnia 10 mg czystego alkoholu musi w Szkocji kosztować co najmniej ok. 2,4 zł. Każdy Szkot, który chce wypić piwo o przeciętnej zawartości alkoholu, musi więc teraz wypłacić co najmniej 7,5 zł. Nie wiadomo, kiedy politycy po drugiej stronie Bałtyku dojdą co tego, co już z prohibicją przeciwicyli Amerykanie.

BRYTYJCZYCY CHCĄ KONTROLOWAĆ NOŻE

Londyn zaczyna mieć wyższy wskaźnik morderstw niż Nowy Jork i choć przestępcy wiele z nich dokonują z broni palnej – ściśle w tym kraju reglamentowanej – to politycy chcą przeciwdziałać zabójstwom, kontrolując... sprzedaż i noszenie przy sobie noży. Burmistrz Londynu na Twitterze zapowiedział, że każdy, kto niesie nóż,

„poczucie moc prawa”. Szef MSZ wezwał policję do lepszej kontroli i odbierania noży ludziom. Wśród propozycji brytyjskich polityków pojawiły się także stawianie specjalnych koszy do oddawania noży na ulicach oraz zabronienie dostaw noży do domów. Czyli szach-mat – przez sieć noża się nie kupi, a jeśli się kupi w sklepie, to kara za noszenie. Jak oni teraz będą obierać ziemniaki do fish and chips?

EKSPERYMENT Z FLAGĄ IZRAELA

Niemieccy dziennikarze zrobili eksperyment i wywiesili w dużych miastach flagi Izraela. Jedna z nich, położona na berlińskiej stacji metra, przetrwała 42 minuty – została podeptana i zbezczeszczone przez dwóch młodych śniadych mężczyzn. Druga flaga – umieszczona w Monachium – po 61 minutach została wrzucona do kosza. Prezes izraelskiej gminy żydowskiej w tym mieście stwierdziła, że w środowiskach arabskich i muzułmańskich istnieje głęboko zakorzeniony antysemityzm. I że jest on obecny także w innych klasach społecznych. Dziwne. Przecież według zagranicznych polityków i mediów największymi faszystami i antysemitami są Polacy... ©Ł

Łukasz Zboralski

ZAKAZANY NAJLEPSZY PRZYJACIEL

Czterolatka z Massachusetts przyszła do domu zmar-twiona, bo przedszkolanka zakazała im mówić o kimś „najlepszy przyjaciel”. Dyrekcja Pentucket Workshop Preschool wytłumaczyła listownie oburzonej matce, że w oparciu o swoje pedagogiczne doświadczenia stwierdza, iż używanie sformułowania „najlepszy przyjaciel”, choć czynione z miłością, może stanowić problem – powoduje bowiem, że inne dzieci, które nie są uznane za najlepszego przyjaciela, mogą czuć się wykluczone. Przedszkole jest jednak okropnie niekon-sekwentne. Jak można mieć dyrektora?! Przecież inni pedagodzy na pewno czują się poniżeni.

FOT. FOTOLIA

PIECZEŃ RZYMSKA

0 grach i zabawach ludu



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Italia co roku 25 kwietnia hucznie obchodzi Dzień Wyzwolenia. Odbijają się akademie, maszeruje wojsko i lud się bawi. Z przemówień wynika, że tego właśnie dnia w 1945 r. naród włoski przepędził jakichś wrażliwych, zapewne przybyłych z kosmosu, faszystów. Co więcej, o tym, że Italię wyzwalały Amerykanie i Brytyjczycy, nie mówiąc o 2. Korpusie, mówcy zazwyczaj milczą. Dziennik „Liberò” ironicznie podsumował: „Czyli wygraliśmy sami ze sobą”.

W Italii, gdzie faszystów praktycznie nie ma (dostali 0,95 proc. w marcowych wyborach), 25 kwietnia to dzień antyfaszystowskiego

wzmoczenia. W tym roku w Maceracie (40 tys. mieszkańców, koło Ankony) Antifa nawiązała do makabrycznego widowiska, które partyzanci zorganizowali ludowi Mediolanu 29 kwietnia 1945 r. na Piazzale Loreto. Najpierw wystawili na pastwę gawiedzi zwłoki Mussoliniego, jego kochanki Clary Petacci i 16 innych faszystów. Lud wył i beczczał, oddając mocz na zwłoki tych, których kilka lat wcześniej wielbił. Potem partyzanci zawiesili głowę w dół zmasakrowane ciało z dachu stacji benzynowej.

Działacze Antify w Maceracie na placu Battistiego w identyczny sposób powiesili kukłę Duce. Roz-

dali dzieciom pałki, zachęcając, by waliły nimi kukłę w głowę. Dzieci przystąpiły do dzieła i po kolejnym celnym uderzeniu z głowy Mussoliniego wysypała się nagroda – cukierki. Chwilę potem kukłę Mussoliniego zastąpiła powieszona za nogi kukła współczesnego faszysty w koszulce z krzyżem celtyckim na piersi i cukierkami w głowie. Wzruszający spektakl. Nie ma to jak uczyć, bawiąc.

Nie bez racji Ennio Flaiano, znany włoski pisarz i scenarzysta, współpracownik Felliniego, napisał, że faszyci dzielą się na faszystów i antyfaszystów. ©Ł

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Olivier Bault

Europa zaczyna inaczej mówić o sprawach islamskich imigrantów. Jednak ich napływowi nadal nikt nie stawia barier

Zdawalioby się, że po marcowym ataku terrorystycznym w Trèbes na południu Francji i po bohaterskim czynie francuskiego żandarma następuje pewna zmiana retoryki w ocenie sytuacji: ani prezydent tego kraju, ani główne media nie mówią jeszcze o terrorzmie „islamskim”, ale wyraźnie wskazują na „islamizm” jako źródło problemu.

W tym samym dniu, w którym miał miejsce atak w Trèbes, mużulmanin zabił w okrutny sposób 85-letnią Żydówkę Mireille Knoll. Prokuratura i główne media od razu nagłośniły antysemitowski charakter zabójstwa. Tymczasem zabójstwo 65-letniej Żydówki Sarah Halimi, do którego doszło rok wcześniej w tej samej dzielnicy Paryża, prokuratura i najważniejsze media negowały antysemitowskie pobudki zabójcy przez 10 miesięcy.

Po zabójstwie Knoll zorganizowano marsz protestu przeciwko antysemityzmowi. Z marszu wyrzucono Jeana-Luca Mélenchona, przedstawiciela skrajnej lewicy – tej antysyjonistycznej i islamofilskiej w stylu lewego skrzydła Partii Pracy Jeremy’ego Corbyna w Wielkiej Brytanii. Co prawda Marine Le Pen też została wygwizdana przez część maszerujących, ale w jej obronie stanęła żydowska bojówka Ligue de défense juive (LDJ) i jej formacja mogła iść dalej na tyłach marszu, podczas gdy Mélenchon i jego polityczni przyjaciele salwowali się ucieczką w boczną uliczkę.

ISLAMSKI ANTYSEMITYZM

W niedzielę 22 kwietnia francuski dziennik „Le Parisien” opublikował „manifest przeciwko nowemu antysemityzmowi”. Podpisało go prawie 300 osobistości – intelektualistów, artystów i polityków, w tym trzech byłych premierów oraz były prezydent Nicolas Sarkozy. Jednym z głównych inicjatorów manifestu był Philippe Val, były dyrektor lewackiej gazety satyrycznej „Charlie Hebdo”, której niemal całą ekipę redakcyjną islamscy dżihadysty zamordowali w styczniu 2015 r.



Na Zachodzie bez zmian

Manifest mówi wprost o antysemityzmie islamskim, o antyżydowskich czystkach etnicznych, mających miejsce w niektórych dzielnicach francuskich miast, o tym, że 11 Żydów zostało zabitych w ostatnich latach we Francji przez „radykalnych islamistów”. Krytykuje także instrumentalizację pojęcia „islamofobii” w celu ucinania wszelkiej krytyki islamu i mużulmanów oraz przypomina, że Francuz żydowskiego pochodzenia ma we Francji 25 razy więcej szans na bycie zaatakowanym niż francuski mużulmanin. Autorzy manifestu przypominają, że 10 proc. żydowskich obywateli zamieszkujących Paryż i okolice, czyli ok. 50 tys. osób, musiało w ostatnich latach wyprowadzić się z obawy o swoje bezpieczeństwo i bezpieczeństwo swoich dzieci. Autorzy piszą o czystkach etnicznych, o antysemityzmie radykalnej lewicy ubranym w szaty antysyjonizmu i o tym, że francuskie elity polityczne nic z tym nie robią po prostu dlatego, że we Francji jest 10 razy więcej wyborców mużulmańskich niż żydowskich. Sygnatariusze manifestu upatrują problem w samym Koranie i nawiązują do mużulmanów, aby odwołali wersety swojej świętej księgi, które nakazują zabijać Żydów, chrześcijan i niewierzących.

W dniu wydania francuskiego manifestu kanclerz Niemiec Angela Merkel, w rozmowie z izraelską telewizją, uznała za „wstrząsający” fakt, że w 2018 r. w Niemczech „żadne żydowskie przedszkole, żadna szkoła, żadna synagoga nie mogą być bez policyjnej ochrony”. – Mamy teraz nowe zjawisko, które polega na tym, że uchodźcy czy osoby pochodzenia arabskiego wnoszą do naszego kraju inną formę antysemityzmu – stwierdziła.

Kilka dni po pierwszym manifestie lewicowym „Le Monde” opublikował drugi manifest podpisany przez ok. 30 francuskich imamów, krytykujących antysemityzm i terroryzm oraz tych mużulmanów, którzy wybierają radykalną odmianę islamu, przyznając jednocześnie, że problem tkwi w nauczaniu niektórych imamów.

Zdaniem prezydenta Francji winę ponosi jednak „radykalny islamizm”, a „radykalny islamizm to nie islam”. Emmanuel Macron powtórzył to stwierdzenie, odpowiadając na pytanie o obawy Francuzów przed islamem w trakcie wywiadu, którego udzielił 15 kwietnia dwójce lewicowych dziennikarzy, z których jeden – Edwy Plenel – jest typowym przedstawicielem radykalnej tzw. islamolewicy. Zdaniem



Po zabójstwie Żydówki Mireille Knoll w Paryżu przeszedł marsz sprzeciwu wobec antysemityzmu

FOT. SADAK SOUICI/LE PICTORIUM/MAXPPP/FORUM

Macrona należy po prostu przyjąć do wiadomości, że będzie we Francji coraz więcej muzułmanów, i nie należy walczyć z ich napływem, tylko z „radykalnym islamizmem”. Jak? Francuski prezydent chce m.in. lepiej kontrolować nauczanie w szkołach wyznaniowych. Jednak pierwszą ofiarą wzmoczonych wymogów stawianych szkołom prywatnym przez rząd premiera Philippe’a są szkoły katolickie.

Macron chwali się nową ustawą o zwalczaniu terroryzmu, która zakończyła pod koniec ubiegłego roku trwający prawie dwa lata stan wyjątkowy. Od listopada 2017 r. do kwietnia 2018 r. zamknięto na mocy nowej ustawy trzy meczety. Jeśli się weźmie pod uwagę, że meczetów salafickich, przez które przewinęła się większość islamskich terrorystów, było we Francji jeszcze w 2016 r. 120 (wobec 44 w 2010 r.) i że na mocy wspomnianej ustawy radykalne meczety można zamykać na okres maksymalnie pół roku, to należy uznać, że bilans prezydentury Macrona w tej dziedzinie jest tak samo mizerny jak jego poprzednika. W czasie trwania stanu wyjątkowego od 2015 do 2017 r. zamknięto bowiem 19 muzułmańskich miejsc kultu, z których większość dziś znowu funkcjo-

nuje. We Francji, podobnie jak w Niemczech, salafizm szybko rozprzestrzenił się wśród muzułmanów. Liczbę salafitów nad Sekwaną szacuje się dziś na ponad 40 tys. W Niemczech ich liczba oceniana jest na 11 tys. (pięć lat temu było ich ok. 5,5 tys.).

Nowa ustawa o azylu i imigracji w postaci przyjętej 22 kwietnia przez niższą izbę francuskiego parlamentu na pewno nie zmieni nic w masowej muzułmańskiej imigracji. Nowe prawo ma skrócić terminy rozpatrywania wniosków o azyl i ewentualnie pozwolić na wydalenie imigrantów z terytorium Francji, ale (jeśli zostanie przyjęte w obecnej postaci) znosi odpowiedzialność karną osób pomagających nielegalnym imigrantom przekroczyć granicę, jeśli nie robią tego dla pieniędzy, lecz z pobudek humanitarnych. Nieletni imigrant, który przedostanie się do Francji i otrzyma azyl, będzie mógł sprowadzić już nie tylko rodziców, lecz także rodzeństwo. Nowa ustawa nie umożliwi jednak przeprowadzenia testów medycznych, aby sprawdzić wiek głównego zainteresowanego oraz pokrewieństwo jego „braci” i „sióstr”.

Tymczasem we Włoszech opcja polityczna, która obiecała wydalici setki tysięcy nielegalnych imigrantów, nie uzyskała wystarczającej większości, aby utworzyć rząd. Do rządu szychuje się raczej koalicja partii Ruchu Pięciu Gwiazd (M5D) z proimigrancką lewicową Partią Demokratyczną dotychczasowego premiera Gentiloniego. Zatem droga przez Włochy pozostanie dla imigrantów wciąż otwarta, pomimo walki sycylijskich prokuratorów z organizacjami humanitarnymi, które przerzucają nielegalnych imigrantów z wybrzeży Libii do Włoch.

Ruch Pięciu Gwiazd walkę z obecnością dużej liczby nielegalnych imigrantów we Włoszech wiąże, podobnie jak Partia Demokratyczna, z mechanizmem relokacji forsowanym przez Brukselę. Nie urzeczywistni się zatem na razie zapowiedź Berlusconi i Salvini o rychłym odesłaniu do krajów pochodzenia setek tysięcy nielegalnych przybyszów.

Zresztą gdy imigrantom coraz trudniej przedostać się na północ Europy przez Włochy, próbują drogi przez Hiszpanię – od dwóch lat tam zwiększa się ich liczba. Dopóki kraje takie jak Francja, Niemcy czy Wielka Brytania nie zmienią polityki imigracyjnej, dopóty napływ imigrantów do Europy Zachodniej będzie trwał.

Według danych Eurostatu w 2017 r. udzielono azylu ponad 500 tys. osób

w całej Unii Europejskiej, w tym 325,4 tys. w Niemczech, 40,6 tys. we Francji i 35,1 tys. we Włoszech. W tym samym roku złożono 650 tys. nowych wniosków o azyl. We Francji przekroczono po raz pierwszy próg 100 tys. złożonych wniosków o azyl w ciągu roku, a jeśli zsumować liczbę imigrantów legalnych i nielegalnych, to przybywa ich do Francji ok. 400 tys. rocznie. W tym 67-milionowym kraju jest już co najmniej 6 mln muzułmanów.

Badanie Instytutu Gallupa opublikowane 24 kwietnia pokazuje wzrost liczby mieszkańców Afryki Północnej, którzy chcieliby wyemigrować. Ochotę na to ma 32 proc. z nich, a wśród młodych w wieku 15–19 lat wyjechać chce prawie co drugi. Dla 19 proc. ankietowanych to Francja jest wymarzoną celem (dla 8 proc. – Niemcy, a dla 4 proc. – Włochy). Z kolei badanie Pew Research Center opublikowane miesiąc wcześniej pokazywało, że średnio dwie trzecie mieszkańców Afryki subsaharyjskiej chciałoby wyemigrować do Europy Zachodniej lub do Ameryki Północnej.

PRZYMKNIE OCZY

Jesienią 2015 r. przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Niemczech Josef Schuster przestrzegał Angelę Merkel przed masowym napływem ludzi wychowywanych w kulturze antysemityzmu i nietolerancji. Po ostatnich atakach na Żydów w Niemczech ze strony muzułmańskich uchodźców Schuster radzi niemieckim Żydom nie nosić jarmułek na ulicach miast.

Skoro elity polityczne zachodniej Europy nie chcą zatrzymać imigracji muzułmańskiej, to należałoby chociaż umożliwić finansowanie islamu w Europie przez takie kraje jak Arabia Saudyjska czy Turcja. Tymczasem poza nielicznymi przypadkami – takimi jak zerwanie przez belgijski rząd w marcu porozumienia odwołującego Światowej Lidze Muzułmańskiej, czyli de facto Arabii Saudyjskiej, kontrolę nad Wielkim Meczetem w Brukseli – cała Europa Zachodnia nadal przyryka oko na pieniądze płynące do stowarzyszeń muzułmańskich i meczetów od reżimów, których nadrzędnym celem jest rozszerzenie islamu na cały świat.

O ile zatem mówi się we Francji, podobnie jak w innych krajach Europy Zachodniej, bardziej otwarcie o problemach związanych z imigracją i radykalnym islamem, o tyle nic tak naprawdę w polityce władz w tej materii na razie się nie zmieniło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Andream Williams, szefową organizacji Christian Legal Centre, która zapewniała rodzicom Alfiego Evansa pomoc prawną rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Do samego końca reprezentowaliście przed brytyjskimi sądami rodziców Alfiego Evansa. Nie ma pani poczucia, że to wszystko było na marne?

ANDREA WILLIAMS: Nie, nie mam takiego poczucia. Po pierwsze, zaczyna się u nas debata nad „prawem Alfiego” – żeby taki dramat już więcej się nie powtórzył i żeby głos rodziców był traktowany przez sądy poważnie.

Poza tym myślę, że Alfie otworzył wiele ludziom w Wielkiej Brytanii oczy. Sądy to nie miejsca, by decydować o życiu lub śmierci w takich przypadkach. Jaką krzywdę zrobiliby komukolwiek pozwolenie rodzicom Alfiego na przewiezienie swojego syna na dalsze leczenie do Włoch? Patrząc na to na zimno: brytyjski podatnik nie poniósłby z tego tytułu żadnych kosztów. Potrzeba było tylko odrobiny dobrej woli ze strony państwa.

Dlaczego tuż przed śmiercią tego chłopca jego rodzice zmienili zdanie i ogłosili, że współpracują z personelem szpitala?

Myślę, że mieli po prostu nadzieję, iż w takim przypadku szpital pozwoli im zabrać Alfiego do domu...

Co było sednem tej sprawy?

To, jak zostali potraktowani ten chłopiec i jego rodzice, pokazało, w jak wielu kwestiach nasze państwo przekracza granicę, usurpując sobie prawo do totalnej kontroli nad ludzkim życiem. Nasze państwo mówi: „Uważamy, że w najlepszym interesie dziecka jest umrzeć”. Rodziców wyrzuca się tu z procesu decyzyjnego. Próbowaliśmy dowieść przed sądami, że rodzice mają prawo walczyć o życie swoich dzieci i państwo powinno szanować to pragnienie. Nie chce się wierzyć, ale sprawa Alfiego nie była jedynym takim tragicznym przypadkiem.

W zeszłym roku w podobnych okolicznościach zmarł w Wielkiej Brytanii 11-miesięczny Charlie Gard.

To bardzo podobna historia. Jeżeli rodzice mają możliwość skorzystania



Warto było bronić

gdzie indziej z opieki medycznej, a tak było w przypadku Charliego Gard. [oferowano mu terapię w USA – przyp. red.], to powinni być wysłuchani. Nie można zignorować głosu rodziców i uznać, że mały pacjent musi umrzeć w danym szpitalu. CLC nie przestanie ujawniać złych praktyk brytyjskiego systemu sprawiedliwości. Decydowanie o śmierci dziecka czy odebraniu go rodzicom często rozgrywa się za zamkniętymi drzwiami, a później niemal nigdy nie udaje się tego odwrócić.

Zwraca pani uwagę, że prawdziwy wyrok na Alfiego zapadł już w lutym i dlatego później bardzo ciężko było to wszystko naprawić. Dlaczego?

Tak, niestety rodzice występowali wtedy przed sędzią bez opieki prawnej. CLC nie zostało jeszcze wtedy zaangażowane do obrony. Zajmowaliśmy się tą sprawą tylko przez ostatnie cztery tygodnie. W lutym sędzia zbadał akta

medyczne i zdecydował, że stan Alfiego jest tak zły, jego mózg tak zniszczony, że można go odciąć od wspomagania. Uznał, że utrzymywanie go w takim stanie „nie było w jego interesie” i lepiej by było, żeby umarł. Później nie byliśmy już w stanie walczyć z tak orzeczoną „faktem”, tylko mogliśmy próbować wskazywać błędy formalne.

Staraliśmy się też przekonać sąd, że dziecko nie może być przetrzymywane w szpitalu wbrew woli jego rodziców. Tymczasem policjanci pilnowali, żeby rodzice nie zabrali Alfiego ze szpitala. Policjanci byli tam do samego końca, nawet w momencie śmierci chłopca. Państwo brytyjskie było bardzo zdeterminowane, by wykonać orzeczenie sądu.

Zdaniem sędziego Anthony’ego Haydena dalsze wspomaganie chłopca byłoby „niehumanitarne”.

Alternatywą, którą oferował sąd, było wyłączenie aparatury i skazanie Alfiego



przeciwnicy nazywają nas „homofobami” i „bigotami”, ale często też spadają na nas gorsze inwektywy. To po prostu cena, jaka jest wliczona w to wszystko, więc nie biorę tego wszystkiego za bardzo do siebie.

Zdziwiło panią, że akurat Polacy, obok Watykanu i Włochów, tak bardzo wspierali Alfiego?

Dziękuję Bogu za polską społeczność na Wyspach, za to, jakim krajem jest Polska! Za to, że tylu Polaków ceni życie, rozumie, jak wielkie wyzwania stoją przed chrześcijanami w Wielkiej Brytanii. Polsko, nie ulegaj cywilizacji śmierci! Nie przestawaj walczyć o cywilizację życia! Wielka Brytania potrzebuje tej nauki, bo w dzisiejszym świecie brakuje nam dobrych przykładów.

Co konkretnie stoi za „cywilizacją śmierci” w kontekście Wielkiej Brytanii?

Niedawno minęło 50 lat, odkąd uchwalono u nas ustawę pozwalającą na legalne dokonywanie aborcji. Przez ten czas 9 mln istnień ludzkich zostało u nas abortowanych. O tych sprawach nie rozmawia się u nas, mało kogo to obchodzi. Ta statystyka to istny horror, a my – jako społeczeństwo – zupełnie zamykamy na to oczy i żyjemy swoim życiem. Tylko dziś ok. 500 dzieci straciło życie z powodu aborcji. Nasz naród coraz bardziej ulega wpływom cywilizacji śmierci.

Pewnie niejedyn człowiek może się dziwić, jak to wszystko jest możliwe w kraju, którym rządzi Partia Konserwatywna?

To tylko nazwa, w rzeczywistości to liberałowie. To Partia Konserwatywna wprowadziła u nas małżeństwa gejowskie, poluzowała prawo w kwestii ochrony życia, pozwoliła na to, by nasze dzieci źle nauczano na temat seksu, a także ma swój udział w upowszechnianiu ideologii gender.

Chrześcijanom żyjącym w Wielkiej Brytanii jest coraz trudniej, ale to nie znaczy, że mamy się poddać. Zbyt wielu chrześcijan nie zabiera głosu w kluczowych sprawach i przechodzi na pozycje liberalne, bo tak jest najłatwiej. Tymczasem chrześcijanie muszą być pełni żaru, muszą mieć wolę walki, inaczej to wszystko nie ma sensu. Musimy brać przykład z polskiej społeczności, która nie boi się nazywać rzeczy po imieniu, która walczy o swoje prawa i mówi głośno, co jest ważne w życiu.

Chciałabym zaapelować do Polaków: nigdy nie dajcie się uciszyć, nie pozwól-

cie wypchnąć swojej wiary z przestrzeni publicznej, głośno opowiadajcie się za wartościami, bo inaczej ktoś was zacznie uciszać. Nie bierzcie przykładu z Wielkiej Brytanii i nie bądźcie jak my.

Jakie jeszcze sprawy podejmuje kierowane przez panią CLC?

Reprezentujemy interesy chrześcijan żyjących w Zjednoczonym Królestwie, którzy z powodu wiary napotykają poważne problemy ze strony państwa. Poza sprawami największej wagi, czyli takimi jak życie Alfiego, zajmujemy się też wieloma innymi przypadkami, w których prawo gwałci wiarę. Na przykład pomagamy pielęgniarcom, które tracą pracę za powiedzenie, że pomodlą się w intencji pacjenta, lekarzom, których spotykają szykany, ponieważ nie chcą uczestniczyć w szerzeniu cywilizacji śmierci. Jednak nie tylko praca w służbie zdrowia jest dziś dla chrześcijan wielkim wyzwaniem. Mamy też przypadki, gdy pracownicy opieki społecznej są usuwani z pracy, ponieważ w zgodzie z własnym sumieniem mówią, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. To samo spotyka też niepokornych sędziów chrześcijan. W Wielkiej Brytanii wyznawanie wiary w Jezusa oznacza dla wielu ludzi poświęcenie własnej pracy.

Na jakim etapie jest dziś sprawa wspomnianego przez panią sędziego Richarda Page'a?

Sędzia Page chciał, żeby dziecko pozostało w rodzinie zastępczej złożonej z kobiety i mężczyzny, ale opieka społeczna znalazła dla tego dziecka parę gejowską. Pan sędzia powiedział tylko, że lepiej by było dla dziecka, gdyby zostało w tradycyjnej rodzinie. Jego sprawa trafiła przed oblicze najważniejszych sędziów w Wielkiej Brytanii, którzy uznali, że jego poglądy religijne stoją w sprzeczności z jego pracą. Został poddany krytyce, a następnie powiedziano mu, że powinien przejść kurs „reedukacji”, żeby zaczął „odpowiednio” myśleć. Na koniec stracił pracę. Teraz idziemy z tą sprawą do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrea Williams

jest brytyjską prawniczką, szefową organizacji Christian Legal Centre (Chrześcijańskie Centrum Prawne).

Alfiego

na śmierć. Czy taka alternatywa wobec pojawienia się oferty pomocy z Włoch była „ludzka”? Nawet jeżeli byłaby to opieka paliatywna, to tego właśnie chcieli jego rodzice. Niestety, brytyjskie sądy były nieugięte.

Również polscy zwolennicy lewicy argumentowali, że w tej sytuacji była to jedyna miłosierna decyzja, a dalsze utrzymywanie chłopca przy życiu to fanatyzm.

To nie fanatyzm, tylko zwykła ludzka reakcja. Bronimy życia do końca, bo nie ma czegoś takiego jak życie „niewiele warte”. Dla Toma i Kate – jego rodziców – życie Alfiego nie było ani niewiele warte, ani daremne. Wierzyli, że ich synek reagował na ich obecność, i chcieli mu dać nawet najmniejszą szansę.

W ostatnich tygodniach spadła na nas lawina krytyki, wielokrotnie media przekręcały podstawowe fakty w sprawie naszego zaangażowania w tę sprawę. Nasi



Agnieszka Niewińska

Haus of Amazing to nowy klub drag queen w Nowym Jorku. I nikogo by jego powstanie nie zdziwiło, gdyby nie był to klub tylko dla dzieci zakładany przez 10-latkę

Równieśnicy Desmonda Napolesa z nowojorskiego Brooklynu zapewne pytani o hobby opowiadaliby o grach komputerowych, baseballu, kinie, komiksach. Desmond na swoim facebookowym profilu w sekcji „zainteresowania” wymienia zupełnie inne koniki, m.in.: bycie inspiracją i adwokatem środowisk LGBTQ, rozprzestrzenianie miłości i akceptacji, występowanie na balach środowisk LGBTQ, których uczestnicy konkurują, występując m.in. w przebraniach przeciwnej płci, stworzenie klubu drag queen dla dzieci i przeznaczonego dla nich magazynu.

Desmond, choć ma dopiero 10 lat, fizjonomię małego chłopca i lekką wadę wymowy wymagającą pracy z logopedą, od kilku lat poświęca się zupełnie innym zajęciom. Paraduje na dragowych scenach Ameryki, prowadzi gejowskim parodom, pozuje profesjonalnym fotografom, bryluje w mediach, występuje u boku znanego w Ameryce drag queen w postaci RuPaula, który już obwieścił, że 10-latek jest przyszłością Ameryki. Najnowszy pomysł Desmonda, choć trudno nie podejrzewać, że za wszystkim stoją jego rodzice oraz noszące chłopca na swoich sztandarach i przyznające mu nagrody organizacje LGBTQ, to pierwszy w Ameryce klub drag queen dla dzieci, do którego dorośli nie będą mieli wstępu. Klub jeszcze nie istnieje, ale osoby stojące za profilami Desmonda w mediach społecznościowych umiejętnie prowadzą kampanię reklamową nowego przybytku dla dzieci, podsycając zainteresowanie internautów i mediów z całego świata.

URODZONY W DNIU GEJOWSKIEJ PARADY

Profil Desmond is Amazing (bo to artystyczny pseudonim dziecka) na Facebooku obserwuje blisko 10 tys. osób. Jego Instagram, który jest zarzucony zdjęciami chłopca w różnych mniej lub bardziej perwersyjnych damskich strojach i z moc-



Dziesięcioletni Desmond paraduje na dragowych scenach i prowadzi gejowskim parodom

FOT. ASTRID STAWIARZ/GETTY IMAGES

Maluchy w kolorach tęczy

nym makijażem, śledzi blisko 45 tys. osób. Chłopiec ma jeszcze własne konto na Twitterze, kanał na YouTube i własną stronę internetową, na której znajdziemy sążnistą biografię dziecka – z pewnością nienapisaną przez 10-latkę. Czytamy w niej m.in., że Desmond urodził się, kiedy trwała właśnie nowojorska parada gejów Gay Pride, więc „jak sam mawia, wyszedł z szafy wtedy, kiedy się urodził”. Chłopiec jako kilkulatek miał zwyczaj owijać się w ręczniki i prześcieradła i przymierzać buty na obcasach, które znalazł w szafie mamy. Na szóste urodziny dostał sukienkę Elsy, bohaterki animowanego filmu „Kraina lodu”, i od tamtej pory miał prosić rodziców, by kupowali mu dziewczęce ubrania.

Rodzice poradzili się psychologa, a usłyszawszy, że mają się pragnieniom dziecka nie przeciwstawiać, najwyraźniej wyszli im naprzeciw. W biografii Desmonda czytamy bowiem, że odbywał rozmowy z dorosłymi aktywistami LGBTQ, odkrył, że bardziej interesują go chłopcy niż dziewczynki, a jako dziewięciolatek ogłosił, że jest gejem. Rodzice z kolei zapewniają w mediach, że nieaktywnym seksualnie, bo nie ma do tej pory za sobą gejowskiej inicjacji seksualnej. Za to „od 2015 r. jest bezsprzecznie najbardziej uwielbianą gwiazdą nowojorskiej Gay Pride” – jak czytamy na jego stronie internetowej.

Trudno zliczyć imprezy społeczności LGBTQ, w których dziesięcioletni Desmond już wziął udział, i wymienić media, które nagłośniły jego występy i wypowiedzi do złudzenia przypominające te, którymi dzielą się dorośli działacze organizacji LGBTQ. „Po prostu wyrażaj siebie i nigdy nie żartuj sobie z osoby drag. Zawsze bądź sobą” – obwieszcza swoim rówieśnikom Desmond. I opowiada mediom, że uwielbia inspirować innych, dlatego ma tak dużo pewności siebie. „Bądź zawsze sobą i bądź z tego dumny niezależnie od tego, co inni o tobie mówią” – radzi w jednym z video ubrany w tiulową tęczową spódnicę.

To, że gejowskie periodyki piszą o Desmondzie wielostronicowe reportaże, nie dziwi, ale w zachwytach prześcigają się także media głównego nurtu. Desmond pojawia się w programach śniadaniowych, a parentingowy portal dla ojców „Fatherly” rozplywa się nad ojcem Desmonda, który zachęcił syna do tego, by „wyrażał siebie”. Krytyka płynie co najwyżej od organizacji rodzinnych i internautów, którzy w komentarzach zwracają się do rodziców chłopca, oraz niszowych konserwatyw-

nych mediów. – Desmond nie ubiera się jak dziesięcioletnia dziewczynka. Ubiera się jak dorosły prowokujący seksualnie. Jego rodzice pozwalają mu na to, żeby pokazywał się światu, wyglądając jak dziecięca prostytutka, a nasza kultura go celebrytuje – napisał na łamach „The American Conservative” pisarz i publicysta Rod Dreher. – Wschodni Europejczycy pytają mnie, jak to możliwe, że Zachód ulega szaleństwu transseksualistów. Mówię im, że porcja medialnej propagandy odgrywa swoją rolę.

Z kolei autorka innego konserwatywnego medium „The Washington Examiner” Nicole Russell o nowym trendzie, czyli lansowaniu zjawiska dziecięcych drag queen, pisze, że nie jest to żaden postęp, tylko zwyczajne wykorzystywanie dzieci. Zarówno przez firmy zorientowane na produkty dla

bądź sobą”, jego znanymi wypowiedziami, zaprojektowanym przez niego logo.

„W tym trendzie nie chodzi o to, aby dziecko mogło być sobą. To raczej rodzice narzucają dziecku ideologię, która jest dla niego po prostu niezdrowa” – pisze Russel.

TRANSDZIEWCZYNIKA Z „NATIONAL GEOGRAPHIC”

W Stanach Zjednoczonych fiksację na punkcie pokazywania dzieci, które nie identyfikują się ze swoją płcią, zauważają nawet aktywiści LGBT. Niektórzy z nich, jak np. Phaylen Fairchild, zwracają uwagę, że medialne kampanie z udziałem dzieci transgender wywołują reakcję, ciągną za sobą oskarżenia wobec działaczy i organizacji LGBTQ jako tych indoktrynujących dzieci. W mediach brylują nie tylko Desmond czy inna dziecięca drag queen o pseudonimie scenicznym Queen Lactatia. W 2017 r. magazyn „The National Geographic” tematem numeru uczynił gender i na okładce pokazał dziewięcioletnią letnią wówczas Avery Jackson – transdziejczynkę z Kansas City.

– Badania zarówno ze Stanów Zjednoczonych, jak i z Wielkiej Brytanii pokazują, że tam, gdzie wprowadzono edukację genderową, aprobowaną przez lobby LGBTQ, po kilku latach wzrosła liczba dzieci, które mają problemy ze swoją tożsamością płciową – mówi Magdalena Trojanowska z inicjatywy Stop Seksualizacji Naszych Dzieci. – Zwykle niepewność co do swojej tożsamości pojawia się u tych dzieci, których rodzice nastawieni są na szukanie wszelkich objawów odmienności, jak choćby chęć zabawy zabawkami, którymi zwykle bawią się dzieci przeciwnej płci. Jeśli zetkną się z propagandowymi filmami organizacji LGBTQ, uczestniczą w szkolnych zajęciach edukacji seksualnej, na program których wpływ ma lobby gejowskie, ta niepewność co do własnej identyfikacji płciowej jeszcze wzrasta. Niestety problem jest coraz większy także w Polsce. Terapeuci zgłaszają nam, że w gabinetach przybywa małych pacjentów, którzy mają problem z tożsamością płciową – mówi Trojanowska.

I dodaje, że organizacje LGBTQ stale wchodzą do polskich szkół ze swoją agendą. – Kiedy ostatnio zapytaliśmy dyrektora jednego z wrocławskich liceów, dlaczego wpuścił edukatorów związanych z Pantonem, którzy młodzieży zaproponowali wulgarnie przedstawienie teatralne, odpowiedział, że nie chciał być postrzegany jako nietolerancyjny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



społeczności LGBTQ – jak producent odzieży The House of Mann fetujący i wykorzystujący nieletnich drag queen w kampaniach reklamowych – a przede wszystkim przez rodziców tych dzieci. Wyliczone na stronie Desmonda plany na przyszłość wskazują zresztą nie tylko na ich propagandowy wymiar dla społeczności LGBTQ, ale także na ich materialny cel: kolekcja kosmetyków do makijażu dla dzieci drag queen, autorskie projekty ubrań do dragowych przebiezańek, magazyn dla dzieci drag queen, kolekcja gadżetów z mottem Desmonda „Zawsze



Tomasz Wróblewski

Polska dostała z UE prawie tak dużo pieniędzy co cała Europa Zachodnia w ramach planu Marshalla. Mamy nową infrastrukturę, ale wciąż jesteśmy uzależnieni gospodarczo od Unii

Komisarz ds. budżetu UE 2 maja ogłosił założenia budżetowe Unii na lata 2021–2027. Tym samym oficjalnie otworzył największy w świecie sezon lobbujący. Wyrwanie tortu pod sztandarami solidaryzmu, troski o praworządność i sprawiedliwość przy maksymalizacji narodowego egoizmu i korporacyjnego cynizmu. Organizacje branżowe, związkowcy, think tanki i wszelkie NGO-sy walczą o życie, a politycy o punkty lojalnościowe przed wyborami do unijnego parlamentu w 2019 r.

Dochodzenie do kompromisu budżetowego jest zwykle próbierzem stanu unijnej świadomości. Gotowości do reform i nowych wyzwań. I tak priorytetami byłyby dalsza ekspansja Unii, upowszechnianie wartości demokratycznych, edukacja, przemysłowa rywalizacja z Ameryką czy – tak jak ostatnio – rozwój regionalny. Dzisiaj myślą przewodnią jest przetrwanie. Stabilizacja kryzysu migracyjnego, obrona unijnych instytucji przed „populizmem” (a tak naprawdę przed żądaniami większej reprezentatywności Komisji Europejskiej). Więcej pieniędzy skierowane zostanie na rezerwę kryzysową czy fundusz solidarnościowy. Mniej o 7 proc. będzie na rozwój regionalny. Dzisiaj poznaliśmy marzenia – jakiej Unii chciałby obecny komisarz. Za pół roku poznamy realia i dowiemy się, jak skuteczna okaże się machina lobbystyczna.

Realia budżetowe, w przeciwieństwie do wykładni ideowej, są lustrzanym odbiciem wewnętrznych układów w Unii i wpływów poszczególnych grup nacisku. Im więcej dziś mowy o nowej strukturze wydatków, tym więcej wysiłków potężnych grup lobbujących, żeby wszystko zostało po staremu. Zanim jeszcze projekt zszedł z maszyn drukarskich, rządy kilkunastu państw, w tym Polski, uznały wiele propozycji zmian za nieakceptowalne. Warszawa nie godzi się na arbitralne powiązanie wypłat z zasadami przestrzegania pra-



Syndrom złotej kaczki

worządności, nie godzi się na rabaty dla największych płatników i oczywiście chce utrzymania polityki spójności na dotychczasowym poziomie przez kolejnych 14 lat.

BILION DO PODZIAŁU

Obecny siedmioletni budżet zakłada wydatki na poziomie 1,279 bln euro, co

stanowi 1,114 proc. europejskiego PKB. Juncker chciał przełamać magiczną barierę 1 proc., żeby szerzej otworzyć drzwi do przejmowania kompetencji od narodowych rządów. Komisja Europejska ma nadzieję zasypać dziurę 13 mld euro po Wielkiej Brytanii zwiększonymi składkami państw członkowskich, oszczędnościami

i mniejszym marnotrawstwem środków, co zresztą obiecuje przed każdą nową perspektywą wydatkową. Nowością jest pomysł na stworzenie nowych źródeł dochodu dla UE, w tym przekierowanie do Unii dochodów ze sprzedaży zezwoleń na emisję zanieczyszczeń w ramach systemu handlu emisjami oraz nowy podatek od tworzyw sztucznych nienadających się do recyklingu. W tym względzie Komisja nie uzyskała poparcia większości państw, ale Oettinger ma nadzieję, że część biedniejszych państw gotowa będzie oddać część kompetencji podatkowych Brukseli w zamian za zwolnienie z dodatkowych składek pobrexitowych.

Bogate państwa finansujące UE, takie jak Austria, Dania, Holandia czy Szwecja, nie chcą więcej płacić. Twierdzą, że Komisja powinna wygospodarować środki z marnotrawionych dziesiątków miliardów euro. Austriacki kanclerz Sebastian Kurz, którego kraj jest płatnikiem netto, zaraz po prezentacji nowego budżetu oświadczył: – Naszym celem musi być, aby UE po brexitie była szczuplejsza, bardziej ekonomiczna i wydajna, a nie żeby państwa musiały jeszcze więcej na nią łożyć.

Kraje takie jak Francja, a zwłaszcza Niemcy, które do perfekcji opanowały technologie transferowania funduszy unijnych z państw trzecich do swoich firm, traktują budżet jak nieformalny system pomocy publicznej. Jak to zauważył były minister finansów Niemiec Wolfgang Schäuble: „Pomoc unijna to nasza najlepsza inwestycja. Im więcej Niemcy wydają na wspomaganie innych rynków, tym więcej pieniędzy do nas wraca”. Polska i mniejsze państwa, w których niektóre sektory gospodarki uzależniły się od funduszy unijnych, wspierają ideę dopłat. Trochę jak narkoman, który gotów jest uczestniczyć w programie odwykowym, byleby dostać swój przydział metadonu. Liczą, że ich wkład i tak będzie mniejszy niż potencjalne dopłaty. Niemniej entuzjastyczne reakcje, wkrótce po ogłoszeniu nowych planów budżetowych, nie brały pod uwagę kosztów nowych zwiększonych składek Polski.

Dzisiaj, kiedy europejska gospodarka tętni życiem, kiedy część państw dysponuje wręcz nadwyżkami budżetowymi, rządowi stosunkowo łatwo przychodzi dzielenie się dobrobytem. Stąd też większego oporu nie budzą finansowanie projektów aklimatyzacji afrykańskich imigrantów w Europie czy pieniądze na pomoc dla państw trzecich. Pytanie, czy priorytety wytyczone w okresie prosperity i pod rządami w większości

liberalnych gabinetów wytrzymają próbę gorszej koniunktury po 2021 r. i postępującą wymianę rządów na bardziej konserwatywne.

Potencjalnych osi sporu jest więcej. Junckerowski projekt zakłada większą niezależność Komisji Europejskiej w przyznawaniu oraz odrzucaniu realizacji poszczególnych programów, co może być odbierane jako zamach na suwerenność czy próbę szantażu. Teoretycznie zapis ma zapobiegać marnotrawstwu, ale równie dobrze może stać się narzędziem w rozgrywkach między unijnymi nominatami a legalnie wybranymi rządami. Oettinger początkowo chciał, by to sądy mogły blokować wypłaty funduszy, jeżeli uznają, że dane państwo nie stosuje się do unijnych wartości. Ostatecznie utrzymano wymóg większości głosów państw członkowskich, na wniosek Komisji Europejskiej o wstrzymaniu wypłat. Należy wnosić, że już w zakulisowych rozmowach było jasne, że żadna ze stolic nie zechce podjąć takiego ryzyka. Niezależnie od tego, co dziś sądzą o zmianach w polskim wymiarze sprawiedliwości.

Budżet, który wciąż jeszcze nas obowiązuje w UE, ucierał się ponad dwa lata, i to w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach. Nie mieliśmy nad głową widma brexitu ani katastrofy migracyjnej czy „wojny” energetycznej. Dzisiaj kryzys goni kryzys i podziały zdają się coraz głębsze. Najlepszy dowód, że jeszcze kilka tygodni temu strony nie mogły się porozumieć co do tego, czy nowy budżet powinien być przyjęty jeszcze przed wyborami do europarlamentu, czy raczej należałoby poczekać na nowy skład, który – wnosząc po ostatnich wyborach w Niemczech, Austrii, we Włoszech czy w Czechach – może być z gruntu inny.

Jak to w Unii bywa, zawsze kiedy ktoś chce ograniczyć komuś kompetencje, proces integracji przyspiesza, a urzędnicy wskazują ogromną elastyczność i gotowość do działania. Obecna liberalno-demokratyczna większość chce zamknąć negocjacje w rekordowym tempie. Nie bez podstaw obawia się, że po wyborach zmienią się nie tylko preferencje budżetowe, lecz także sama idea wielkich programów finansowanych za pośrednictwem Komisji Europejskiej. Konserwatywny koncept większej niezależności rządów narodowych i stopniowego przekazywania kompetencji z powrotem do europejskich stolic mógłby wymieść większość obecnych liberalnych programów, a z nimi oczywiście tysiące za-

wodowych urzędników unijnych. Spodziewajmy się, że komisarze zrobią wszystko, żeby zdążyć z budżetem do wyborów, a to oznacza krótki i arcyburzliwy proces negocjacji.

Wymogi praworządności, o których tak chętnie rozprawiają unijni komisarze, nawet jeżeli zostaną ostatecznie dopisane do listy kryteriów, od jakich uzależnione są wypłaty funduszy, to zostaną pewnie rozmyte, ograniczone do wyjątkowych przypadków i do wybranych programów pomocowych. Wystarczy, że polski rząd wypracuje wspólną linię z kilkoma państwami borykającymi się z innymi kontrowersyjnymi cięciami budżetowymi czy nowymi założeniami wydatkowymi, a nasz głos może zyskać na znaczeniu w przypadku twardych negocjacji. Kompromis może okazać się prostszy do wywalczenia, niż by tego chciała opozycja w Polsce.

CIĘCIA W ROLNICTWIE

Większym zagrożeniem może być ambitny plan Oettingera dotyczący głębokich zmian we wspólnej polityce rolnej. Cały budżet ma być zredukowany o 5 proc. (tydzień wcześniej komisarz mówił o 6 proc.). Największe cięcia dotkną dużych gospodarstw rolnych i przedsiębiorstw produkcyjnych – przestrzeni, w której Polska w ostatnich latach doskonale sobie radziła.

Zdemoralizowana dopłatami polska wieś musiałaby stanąć do twardej walki, i to w chwili, kiedy na rynku pojawia się silna konkurencja z Ukrainy.

Zagrożone są też fundusze spójności uzależnione od wielkości PKB. W trakcie dalszych negocjacji Polska może utracić status państwa wymagającego największego wsparcia. Po pierwsze, ze względu na większe potrzeby i zapóźnienia cywilizacyjne Bułgarii czy Rumunii, a po drugie – z uwagi na zmianę unijnych priorytetów. Komisja więcej uwagi będzie poświęcała programom ratunkowym – finansowaniu pomocy imigrantom, ograniczaniu bezrobocia w przedziale do 25 lat, wspieraniu firm innowacyjnych usiłujących rywalizować z amerykańskimi czy chińskimi koncernami technologicznymi. Każdy z tych nowych priorytetów skierowany jest na zachód i południe Europy.

Polski rząd zapowiada twardą walkę o kolejne miliardy pomocy, zwłaszcza o program spójności. Z drugiej strony opozycja przepowiada klęskę PiS-owskich starań, usiłując powiązać to z napięciami na linii Warszawa – Bruksela.

Niezależnie, z kim rozmawiamy, odnosimy wrażenie, że pomoc unijna jest najważniejsza. Od 2004 r. politycy wszystkich partii dowodzili swojej skuteczności, porównując, ile funduszy pozyskali i kto szybciej wydał wszystkie pieniądze. Taki syndrom złotej kaczki, a dokładniej szewczyka, który dostał 100 dukatów, pod warunkiem że wyda je tylko na własne potrzeby i wróci następnego dnia bez pieniędzy. Mniejsza pula pieniędzy, mniej wyśrubowane warunki administracyjne zamiast merytorycznych może w końcowym rachunku oznaczałyby koniec z budową najdroższych autostrad w Europie, mostów dla jeleni, tuneli dla żab czy lotnisk w Radomiu i aquaparków w szczerym polu. Warto sobie w tym miejscu uzmysłowić, że Polska od 2004 r. dostała z Unii prawie tak dużo środków pomocowych (125 mld euro) jak cała Europa Zachodnia od Stanów Zjednoczonych w ramach planu Marshalla po II wojnie światowej (110 mld na dzisiejsze dolary). Możemy być dumni z tego, jak bardzo zmienił się nasz kraj, jak wzrósł nasz standard życia. Pytanie, czy razem z infrastrukturą, oczyszczalniami wody, renowacją naszych miast i miasteczek zdołaliśmy rozwinąć mechanizmy rynkowe pozwalające rodzimemu przemysłowi stanąć na nogi. Coś, o czym premier Morawiecki mówi od początku rządów PiS. Polska stworzyła doskonałe

warunki do rozwoju zagranicznych inwestycji, masowej produkcji eksportowej, ale wciąż pozostaje daleko w tyle, jeżeli chodzi o rodzimy niezależny biznes.

WYDAWAĆ MĄDRZE

Unijne pieniądze głównie zostały spożytkowane na wyrównywanie różnic cywilizacyjnych, poprawę infrastruktury i życia polskich chłopów. Tymczasem amerykańskie pieniądze w ramach planu Marshalla w nieproporcjonalnie większym stopniu szły na wspieranie mechanizmów rynkowych, budowanie przewagi konkurencyjnej ze Wschodem, własnego przemysłu obronnego, a niekoniecznie większej biurokracji czy – jak to było w przypadku Polski – dostosowywanie regulacji, zakazów do wielopiętrowych socjalistycznych regulacji zachodniej Europy. Polska, choć niewątpliwie bogatsza niż 15 lat temu, pozostaje w tyle, jeżeli chodzi o konkurencyjność naszego prawa podatkowego, przejrzystość systemu, rynek pracy. Jesteśmy ważnym ogniwem w łańcuchu dostaw dla zachodnioeuropejskiego przemysłu, ale wciąż mało atrakcyjni, jeżeli chodzi o rozwój innowacyjnej gospodarki, rozwój rodzimych małych polskich firm. Nasz rynek pracy jest w 60 proc. uzależniony od zachodniego kapitału, a wiele branż – od zastrzyków unijnych pieniędzy. Niezależnie od tego, co kto myśli o zmianach w wy-

miarze sądownictwa, na tym przykładzie jaskrawo widzimy, jak bardzo uzależnił się od unijnej pomocy. Na samo wspomnienie, że wypłaty w nowej perspektywie budżetowej mogą być uzależnione od spełniania zasad praworządności, Polska wycofuje się z niektórych zapisów w ustawie. Nieważne, czy na dobre, czy na złe, ważne, że w strachu przed odcięciem nas od kropłówki. Czy podobnie będzie za chwilę przebiegała dyskusja na tematy obyczajowe?

Kilka państw, które tak jak Dania, Holandia czy Austria opierają się większym wpłatom do wspólnej kasy, dawno już zrozumiało, jak groźna może być unijna jałmużna. Niemieccy politycy, nawet jeżeli w oficjalnych wystąpieniach nie upominają się o swoje w zamian za dotacje, to w mniej oficjalnych wyraźnie mówią, że skoro płacą, to żądają. Rząd, i słusznie, oburza się na taką retorykę, ale prawda jest taka, że wciąż za mało robi, by zrzucić to jarzmo. Jak ognia unika głębokich reform strukturalnych czy podatkowych, które choć osłabiłyby rolę państwa w gospodarce, to stworzyłyby lepsze warunki do rozwoju rodzimych firm i konkurencji z zachodnimi gigantami. A w chwilach prawdziwej próby, jak to się dzieje obecnie, niezależniłyby nas od pomocowego kieratu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MARNOTRAWSTWO W UNII

Europejski Trybunał Obrachunkowy szacuje, że w obecnej perspektywie unijnej zmarnowano kilkanaście miliardów euro. Poniżej kilka rażących przykładów marnotrawstwa.

- Wspólna polityka rolna. 40 mld euro wydano na subwencje dla obszarów wiejskich, pozabawiając biednych rolników z Afryki dostępu do rynku zbytu i skazując ich na migrację do Europy.
- Płace. 10 tys. brukselskich biurokratów zarabia więcej niż najlepiej zarabiający premierzy w Europie.
- Cotygodniowe podróże urzędników pierwszą klasą między Brukselą a Strasburgiem kosztują 180 mln euro rocznie.
- Helikoptery urzędnicze. 5,5 mld euro kosztowały helikoptery patrolowe wykorzystywane dziś głównie do dowożenia hiszpańskich oficjeli do pracy w godzinach szczytu.

- Winda skalna w Suterze na Sycylii, prowadząca na górę, z której widać tylko drugą górę, kosztowała blisko 1,5 mld euro.
- Miliard euro na program dokumentowania przypadków łamania praw człowieka, który nie wykazał ani jednego przypadku łamania praw człowieka w Egipcie.
- Program poprawy jakości życia w Rumunii kosztował 160 mln euro, do dziś nie wiadomo, o jakie zwierzęta chodziło.
- Program połowów ryb dla rybaków marokańskich kosztował 150 mln euro. Końcowy raport stwierdzał, że jedyną przeszkodą jest brak pozwolenia na łowienie na obcych wodach terytorialnych.
- Europejski program podnoszenia świadomości energetycznej w świecie przeznaczyl 20 mln euro na pomoc partyzantom w Gwatemali, którzy

walczyli zbrojnie przeciwko budowie elektrowni wodnej.

- Ponad 10 mln euro wydano na wieloletni program, w ramach którego belgijscy instruktorzy tańca mieli szkolić mieszkańców Burkina Faso.
- Centrum pośrednictwa pracy w Mali – 9 mln euro kosztowało znalezienie pracy w Niemczech dla sześciu bezrobotnych.
- Blogujący osioł. Aby pomóc „integracji” narodów europejskich, prawdziwy osioł podróżował po Europie, „blogując” o swoich doświadczeniach. Projekt kosztował 6,5 mln euro.
- Maraton propagandowy. UE wydała 360 tys. euro na „Maraton na rzecz Zjednoczonej Europy”, aby „promować i wspierać ideały obywateli europejskich”.
- W ramach krzewienia sportu UE wydała 17 tys. euro na nieistniejący klub sportowy w Azerbejdżanie.

RMF FM

Numer 1 wśród mediów opiniotwórczych

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Rano...



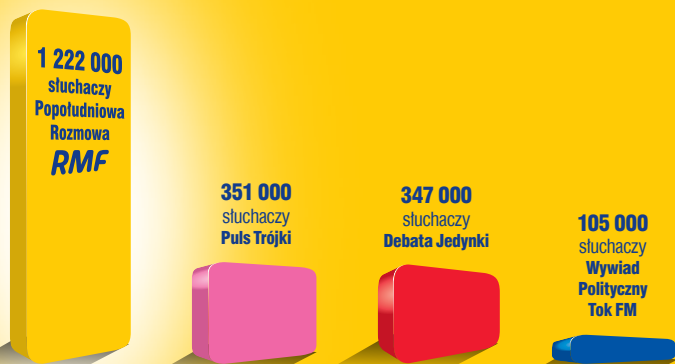
**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**



... i po południu



**Marcin Zaborski
zapraszam o 18:02**



Źródła:

- „Najbardziej opiniotwórcze polskie media w lutym 2018 roku” Instytut Monitorowania Mediów.
- Radio Track, Kantar MillwardBrown, 12.2017-02.2018, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat.

W rzesień 2017 r. Doroczne spotkanie pracowników holdingu Alibaba Group w mieście Hangzhou. Blisko 40 tys. pracowników firmy – także dzięki transmisji on-line – patrzy na wielką ciemną scenę. Nagle reflektor pokazuje na niej kogoś ubranego w strój Michaela Jacksona siedzącego na motocyklu. Tajemniczy tancerz zsiada z motocykla, z głośników eksploduje „Billie Jean”, a człowiek w masce tańczy, imitując jedną z największych gwiazd popu. Chwilę potem maska spada i pracownikom ukazuje się ich szef – Jack Ma, właściciel chińskiego giganta internetowego handlu. I to nie koniec show. Za chwilę tańczy jeszcze z innymi pracownikami do kawałka „Dangerous”.

To nie pierwszy taki występ. Wcześniej, z okazji 10. rocznicy firmy – w 2010 r. – Ma imitował Eltona Johna, śpiewając przewodnią piosenkę z bajki Disneya „Król Lew”.

Pretensjonalne? Oczywiście – i potwierdzi to każdy, kto na YouTube sprawdzi, jakim talentem wokalnym lub tanecznym dysponuje właściciel Alibaby. Jack Ma dysponuje dziś jednak taką fortuną, że może być na scenie, kim tylko zechce, może zagrać w filmie kung-fu (i zagrał), a wszyscy i tak będą bić brawo. Z drugiej strony jego dawni znajomi z czasów, gdy jako biedny chiński chłopak klepał biedę, twierdzą, że naprawdę niewiele się zmienił. No i ilu szefów firm na pracowniczej imprezie potrafi zatańczyć i rozbawić swoich podwładnych?

Jack Ma kontrolujący Alibaba Group ma dziś w swoich rękach kilka gigantów internetowych. Należą do niego serwis Alibaba.com umożliwiający firmom zakupy z Chin; serwis, który wyprzedził eBay w Chinach i jest tam największą platformą sprzedażową w sieci – Taobao.com (trzecia najczęściej odwiedzana strona internetowa w kraju i 12. na świecie); serwis oferujący znane marki – Tmall.com; największa w Chinach platforma zakupów grupowych – Juhuasuan.com; platforma zakupów detalicznych, dzięki której ludzie z całego świata mogą kupować za oceanem – Aliexpress.com; największy w Chinach serwis płatności on-line – Alipay.com oraz dostawcę usług w chmurze – Alicloud.com. Polakom nie trzeba przedstawiać co najmniej jednej z tych stron. Z niedawnego zestawienia opublikowanego przez „Rzeczpospolitą” wynika, że z Aliexpress.com nad Wisłą korzysta już ok. 5 mln osób miesięcz-



Lukasz Zboralski

Były nauczyciel angielskiego z Chin sprzedaje przez Internet więcej niż eBay i Amazon razem wzięte. Jego serwis podbija także polską sieć. Jak został drugim najbogatszym Chińczykiem?

Co ma

nie. Zamiast iść na bazar po lampkę na biurko czy powerbank do smartfona, Polacy coraz częściej wolą sami kupić to prosto z chińskiej firmy i oszczędzić kilka złotych. Ta oszczędność warta jest dla nich nawet miesięcznego oczekiwania na dopłynięcie towaru z Azji. To dlatego na naszym rynku e-handlu Alibaba depcze już po piętach Allegro i Ceneo.

Alibaba wydaje się dostrzegać potencjał polskiego rynku i zamierza zbudować u nas centrum logistyczne. Wydaje się, że ten potencjał dostrzegają też polscy urzędnicy – ale oni patrzą głównie na problem tego, że przez Internet do kraju dociera wiele towarów, przy których zakupie omija się zapłatę VAT (deklarowanie mniejszej wartości lub przesyłki jako „prezent”). Dlatego z zapowiedzi w mediach wynika, że resort finansów pracuje nad systemem, który będzie kontrolował deklaracje wartości przesyłek z takich serwisów.

Miliarder Ma, który w ubiegłym roku trafił na 20. miejsce listy najbogatszych ludzi Forbesa z majątkiem szacowanym na 39 mld dol. (ustępujący ostatnio w Chinach tylko Ma Huatengowi, twórcy chińskiej grupy internetowej Tencent, który ma 45,3 mld dol.), pozornie nie miał zadatków na człowieka sukcesu.

AMERYKAŃSKI PRZYPADEK

Ma Yun urodził się w 1964 r. w mieście Hangzhou w niezbyt zamożnej rodzinie i w czasach, gdy komuniści akurat zdusili przedsiębiorczość ludzi we własnym kraju. Nie imponuje posturą – mierzy 162 cm i waży niecałe 45 kg – i wspomina, że jako dziecko musiał stoczyć w szkole wiele bójk. Podobno nigdy nie przerażali go więksi od niego. W życiu starał się korzystać z nadarzających się okazji. Pierwszą i kto wie, czy nie przełomową, była wizyta prezydenta USA Richarda Nixona w rodzin-





pan Ma

nym mieście Ma w 1972 r. Miasto zaczęło przyciągać turystów, a Ma zaczął pracować w największym hotelu i oferować swoje usługi jako przewodnik w zamian za lekcje języka angielskiego. Zainwestowanie we własną wiedzę miało przynieść niespodziewanie wielki zysk. To właśnie jeden z turystów miał nadać mu imię Jack, dla ułatwienia w komunikacji.

Władanie językiem angielskim wyznaczyło dalszy rozwój i Ma postanowił studiować anglistykę. Łatwo mu to nie przyszło, bo na studia zdał dopiero za trzecim razem (do dziś lubi powtarzać, że nie jest specjalnie mądry). Po szkole wyższej rozesłał wiele podań o przyjęcie do pracy. I znów nie było tak łatwo – odpadł w rekrutacji do komisariatu lokalnej policji i okazał się też gorszym od kilkudziesięciu osób kandydatem do pracy w KFC. W końcu (jakże to podobna historia do wielu kandydatów po nauczycielskich

studiach w Polsce) został wykładowcą angielskiego na uniwersytecie z pensją 12 dol. miesięcznie.

Pomógł mu znów język angielski. W 1995 r. Ma, prowadzący firmę zajmującą się tłumaczeniami, pojechał do USA, by pomóc jej odzyskać należną zapłatę od kontrahentów. Tam zachwycił się Internetem. I postanowił działać w sieci w Chinach.

Z POMOCĄ ZNAJOMYCH I GOLDMAN SACHS

Ma z żoną założył prekursorską w Chinach firmę tworzącą strony internetowe dla biznesu. I pomagali mu w tym ludzie poznani w USA (do dziś Ma twierdzi, że nie za bardzo zna się na komputerach). W 1999 r. kierował państwową spółką zajmującą się nowymi technologiami.

Wówczas rzucił się na głęboką wodę i namówił znajomych do zainwestowania w portal Alibaba, który miał chińskim

producentom ułatwiać handel z całym światem. Znajomi uwierzyli w jego wizję i włożyli w interes 60 tys. dol.

Jack Ma uznawany dziś za wizjonera i cytowany jako twórca złotych myśli powtarza m.in. anegdotę o tym, że firmę należy rozwijać stopniowo i nie sięgać od razu po wielkich inwestorów. – To jak wkładanie silnika samolotowego do traktora, wszystko się zniszczy – przekonuje. Tyle że sam zaraz po uruchomieniu Alibaby dostał gigantyczny wkład inwestycyjny. Bankierzy z Goldman Sachs zainwestowali w jego firmę 5 mln dol., a japoński gigant telekomunikacyjny SoftBank – 20 mln dol. Pięć lat po starcie strony Yahoo kupił 40 proc. Alibaby za miliard dolarów.

Jack Ma lubi też mawiać, że w prowadzeniu biznesu najgorzej jest kopiować rozwiązania innych. To brzmi kuriozalnie nie tylko dlatego, że Chiny są światowym liderem w kopiowaniu cudzych rozwiązań. Sam Ma rozwijając swoje internetowe biznesy, zrobił dokładnie to, co Polacy z Allegro – czyli kopię wzorowaną na amerykańskim eBay. I podobnie jak w Polsce Amerykanie w Chinach nie zdołali już pokonać Taobao swoim serwisem.

Ma zainwestował też we własne internetowe płatności i jeszcze w 2004 r. uruchomił serwis transakcyjny Alipay.com. I wciąż podążał za trendami. Ma więc też serwis dostarczający usługi w chmurze internetowej i współpracuje przy tworzeniu systemów wykorzystujących sztuczną inteligencję do zapewniania opieki medycznej w Chinach.

W 2014 r. Alibaba wkroczyła na amerykańską giełdę, zbierając podczas debiutu akcji ponad 22 mld dol. Takiego debiutu nie miał tam dotąd nikt – przebił Visę i General Motors.

Miliarder Jack Ma nie daje ludziom prostych recept na sukces w biznesie. A czasem nawet zaprzecza powszechnym przekonaniom. Gdy cały świat w edukacji stawia na kształcenie umiejętności współpracy w grupie (to jeden z ulubionych tematów wśród osób zajmujących się edukacją w Polsce), Ma podczas ostatniego Forum Ekonomicznego w Davos zauważył, że tylko głupi ludzie łatwo ze sobą współpracują. Jego zadaniem ludziom mądrym i bystrzym praca w zespole zawsze przychodzi z trudnością, dlatego on – jako mniej bystry od ludzi, których wybiera do pracy jako specjalistów – ma główne zadanie w tym, by czuwać nad ich współpracą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska. Prymus mniemany

Premier Morawiecki na każdym kroku, na prawo i lewo chwali się znakomitym stanem finansów publicznych, chlubi się, że pod jego rządami budżet Polski wreszcie przez wiele miesięcy w roku może się cieszyć nadwyżką, która w roku 2017 dopiero pod jego koniec zamieniła się w deficyt. Innymi słowy: szczyści się, że Polska dawno nie miała kasy państwa w tak dobrym stanie – z tak wysoką ściągalskością podatków i tak niskim deficytem finansów publicznych, który w 2017 r. nie przekroczył 1,7 proc. PKB.

I to wszystko poniekąd prawda. Czyli prawda, lecz niestety, na nasze nieszczęście – nie cała. Wynik ten – owe obnoszone przez rząd z dumą 1,7 proc. PKB deficytu w finansach publicznych, jeszcze kilka lat temu – podczas pamiętnego, światowego kryzysu finansowego uchodziłby za wymarzony, wręcz wzorcowy, a zatem i za powód do nie lada świętowania. Właśnie wtedy wyjątkowo rozrzućna ekipa Tuska rok w rok topiła Polskę w gigantycznym deficycie, który w szczycie sięgnął 7,5 proc. PKB. Teraz jednak nie robi już na nikim wielkiego wrażenia. Wynik 1,7 proc. PKB deficytu w finansach publicznych, który przed dekadą stawiałby osiągnięciem go kraj wśród liderów UE, dziś pozwala się uplasować najwyżej w drugiej połowie stawki, i to w połowie tej drugiej połowy, czyli wśród europejskich średniaków.

A dzieje się tak, bo inne rządy w tym samym czasie po prostu zrobiły dla ratowania finansów publicznych swych

krajów dużo, dużo więcej od rządu Polski. Chociaż ekipom Szydło i Morawieckiego nie można odmówić wielkiego sukcesu w likwidowaniu luki podatkowej, czyli powiększaniu wpływów państwa, to jednak – jak się okazuje – obecnie to już stanowczo za mało.

Zdanych udostępnionych przez Europejski Urząd Statystyczny wynika, że władze aż 12 krajów Unii Europejskiej spośród 28 potrafiły w 2017 r. wygospodarować nadwyżkę budżetową, a jednego – Słowenii – zrównoważyć budżet. Największymi nadwyżkami mogą się cieszyć obywatele Malty (+3,9 proc. PKB), Cypru (+1,8 proc. PKB) i Czech (+1,6 proc.). Mniejszymi: mieszkańcy Luksemburga, Niemiec, Szwecji, Holandii, Danii, Bułgarii, Grecji, Chorwacji i Litwy. W wyścigu tym, znakomicie świadczącym o wielkiej przezorności i głębokiej roztropności władz tych krajów, które znalazły się w jego czołówce, Polska uplasowała się dopiero na 20. pozycji – ósmej od końca. Za nami m.in. unijni maruderzy z południa – Hiszpania i Portugalia.

Aroztropność zwycięzców tego wyścigu jest dowodem na wyciągnięcie przez nich – nareszcie! – właściwych wniosków z fatalnych konsekwencji, które niesie dla państw ich ustawiczne zadłużanie się. Szczególnie w czasach doskonałej koniunktury – jak obecnie, gdy trzeba spłacać narosłe zadłużenie i gromadzić zapasy na trudniejsze czasy, które niechybnie niedługo nadejdą. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Dobrze wam radzę

Nowe technologie coraz bardziej kształtują nasze otoczenie i wpływają na nasze zachowania. Jest to chyba najbardziej widoczne dla każdego konsumenta w dziedzinie marketingu. Jeżeli szukaliśmy w Internecie informacji na temat np. koszul lub odwiedziliśmy stronę sklepu z koszulami czy fizycznie byliśmy w takim sklepie, to na naszym smartfonie będą pojawiały się reklamy koszul. Jednak postęp w dziedzinie sztucznej inteligencji powoduje, że będą się pojawiały reklamy koszul, które nam

zaakceptowano procedurę wykonywania badań przez sztuczną inteligencję, a wyniki tych badań nie są weryfikowane przez człowieka, to algorytm stawia diagnozę. Już za kilka lat coraz więcej diagnoz będzie stawianych przez algorytmy. Decyzję o przyznaniu nam kredytu podejmują algorytmy, czyli modele scoringowe, które wykorzystują różne informacje o nas, w tym te dostępne w Internecie. W Chinach na stadionie, gdzie było ponad 50 tys. ludzi, zatrzymano przestępcę, którego twarz rozpoznał algorytm. Co prawda zatrzymanie na razie dokonali ludzie, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby w przyszłości dron precyzyjnie wystrzelił ładunek usypiający lub paraliżujący, co zminimalizuje ryzyko ofiar, które mogą się pojawić, gdy zatrzymaniu przestępcy będzie np. towarzyszyła strzelanina.

Sztuczna inteligencja będzie mieć coraz większy wpływ na nasze życie. Począwszy od najbardziej trywialnych spraw, np. jeżeli aplikacja „zobacz” prognozę deszczu na jutro, to rano nam przypomni, żeby wychodząc z domu, wziąć parasol. Sztuczna inteligencja już skutecznie pomaga w wyborze partnerów życiowych, a podobne algorytmy mogą nam radzić, które wybrać studia lub w której firmie będziemy najszybciej awansować. I te rady będą się świetnie sprawdzały w 93 proc. przypadków (przykładowo). ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Algorytmy mogą nam radzić, które wybrać studia lub w której firmie będziemy najszybciej awansować

się spodobać, oraz dodatków do koszul (takich jak krawaty czy spinki), które też będą nam się podobały. Algorytm dobierający reklamy potrafi wybrać to, co nam przypadnie do gustu.

Jednak zakupy to tylko jedna z wielu dziedzin życia, w którą wkracza sztuczna inteligencja. Aplikacja Amazona Echo Look na podstawie naszych zdjęć w różnych ubraniach może ocenić, jakie ubranie jest obecnie najmodniejsze i dla nas najbardziej odpowiednie. W USA oficjalnie

TEST „DO RZECZY”: KAWASAKI KX-CROSS 8.5

Elektryczne deskorolki to w tym roku jeden z najbardziej popularnych prezentów komunijnych. Jazda na takich urządzeniach pomaga bowiem w nauce utrzymania równowagi (steruje się nimi za pomocą balansowania ciałem), wzmacnia mięśnie i zachęca do spędzania czasu na świeżym powietrzu.

Do wyboru jest wiele modeli, które poza ceną (od kilkuset do kilku tysięcy złotych) i jakością wykonania różnią się m.in. rozmiarem kół, pojemnością akumulatorów czy maksymalną prędkością.

Zaletą testowanej deskorolki Kawasaki jest możliwość zjazdu z asfaltowych ulic i chodników oraz poruszanie się po trawiastych leśnych szlakach czy kamienistych drogach. Wyższe zawieszenie, duże koła o średnicy 8,5 cala oraz szerokie opony z terenowym bieżnikiem sprawiają, że deskorolka Kawasaki pozwala na

pokonywanie przeszkód z kątem natarcia wynoszącym aż 30 stopni. Po stronie zalet można też wpisać antypoślizgowe, gumowe pedały oraz dobrze wyprofilowane błotniki, które chronią przed zabrudzeniem ubrania np. podczas pokonywania



niewielkich kałuż („jeździł” spełnia wymagania normy IP54, co oznacza, że jest odporny na kurz oraz zachłapania wodą). Trzeba jednak pamiętać, że nie jest to quad, ale elektryczna

deskorolka, więc do zabaw w trudniejszym terenie ten gadżet się nie nadaje.

Dwa silniki o łącznej mocy 700 W pozwalają na utwardzonej nawierzchni rozpędzić się do 20 km/godz. Bateria o pojemności 4,4 Ah sprawia, że maksymalny zasięg deskorolki wynosi 20 km. To przyzwoita wartość, choć na rynku dostępne są podobne pojazdy z zasięgiem wynoszącym ponad 25 km. Naładowanie akumulatorów trwa ok. dwóch godzin.

Plusem jest też ciekawy design oraz solidne wykonanie aluminiowej ramy, a także przednie białe lampy, które dobrze oświetlają trasę podczas wieczornych powrotów do domu, oraz czerwone światła z tyłu, co ułatwia dostrzeżenie użytkownika przez kierowców samochodów.

Gadżet waży 12,7 kg. Niestety, ten model jest bardzo drogi i kosztuje aż 1999 zł.

© © Jacek Przybylski

GRILL KOCZOWNIKA

Wiecznie w podróży, poprzez kolejne kraje, dżungle, pustkowia i różne takie. Sam na sam z pierwotną przyrodą, dzikimi zwierzętami, powietrzem nieskażonym smogiem, z dala od polityki, wyścigu szczurów i nieznosnego hałasu. Marzenia dzieciństwa, z których wyrasta się tylko trochę, bo im więcej pracy, im mniej wolnego czasu, im bardziej stają się mało realne, tym bardziej się do nich wraca. Jednak gdyby ktoś chciał zerwać z codzienną rutyną przynajmniej na weekend i ruszyć w nieznane, zapewne przyda mu się „grill koczownika”, czyli The Nomad Grill. Notabene jeśli ktoś

zamierza tylko spotkać się nad jeziorkiem na piwie i parówkach z przyjaciółmi, to urządzenie też może okazać się nieocenione.

Dlaczego? Nomad Grill to bowiem świetnie skonstruowany, lekki przenośny grill z nierdzewnej stali, który da się złożyć i schować do



torby podróżnej o wymiarach 50 x 60 cm, dzięki czemu można go zabrać praktycznie wszędzie. Producent zapewnia, że składanie i rozkładanie urządzenia zajmuje tylko kilka minut. Nomad Grill ma kształt ośmiokąta o wymiarach 52,5 x 52,5 cm i powierzchni gotowania 925 cm kw. Waży zaś zaledwie 4,5 kg. Koszt też jest stosunkowo nieduży, bo urządzenie wraz z torbą podróżną kosztuje ok. 345 zł. Zamawiać go można na Kickstarterze, ale dostawa dopiero w czerwcu.



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE (3)

KIESZONKOWE UKULELE

A jeśli już zdecydujecie się wyruszyć w drogę, koczując w nieznanach miejscach i grillując to, co sami złowicie/upolujecie, to warto też zadbać o odpowiednio koczowniczą atmosferę (czytaj: ścieżkę dźwiękową). Przyjaciółom zaimponujecie nie tylko rewelacyjną kuchnię, lecz także własnoręcznie odgrywanymi – na niezwykle ukulele – przebojami w rodzaju „Płonie ognisko w lesie”, „Szare szeregi”, czy „Bracia skauci już czas”. Dlaczego niezwykle? Bo Astro to pierwsze na rynku wysokiej klasy ukulele, które również można złożyć i schować do plecaka lub torby bez zdejmowania strun, a całość w dodatku zachwyca oczy niezwykle kształtem. Minusy są dwa. Cena Astro Ukulele na Kickstarterze – ok. 850 zł – i czas dostawy: dopiero listopad. Jeśli więc zamierzacie w trasę ruszyć już tego lata, to będą wam musiały wystarczyć grill nomada i zwykła gitara. © ©

Wojciech Wybranowski



Joanna Bojańczyk

Przemysł tekstylny produkuje góry ubrań. Nie wszystko się sprzedaje. Co z resztą?

Podczas wyprzedaży w sieciówkach odzieżowych wieszaki uginają się pod ciężarem ubrań. Jest ich dużo więcej niż zwykle, tak jakby cały inwentarz opuścił magazyny i wyległ do salonów sprzedaży. Skłębione, przewracane, byle jak porzucone na wieszakach, leżą nawet na podłodze, chociaż personel robi, co może, żeby nad żywiołem zapanować. A to nie jest łatwe, bo nie tylko ciuchów, lecz także klientów jest o wiele więcej niż zwykle. Kolejka do przymierzalni, kolejka do kasy, obie obwieszone sukienkami, spodniami, szalami, T-shirtami. Naręcza ciuchów.

Zalewa nas ta masa. Ile by się nie sprzedało, i tak nie sprzedaje się wszystkiego. Wyprzedaż nie może trwać wiecznie. Żeby wzbudzić zainteresowanie klientów, jej czas musi być ograniczony. Nowa kolekcja już czeka, trzeba zrobić dla niej miejsce.

Kiedyś firmy odzieżowe produkowały cztery kolekcje rocznie. Dzisiaj nowe ubrania do Zary, podobnie jak do H&M, docierają co tydzień. To wyścig wymuszony przez system fast fashion. Ubranie, które nie jest trendowe, ma słabe szanse na sprzedaż. Jednak niesprzedanego towaru trzeba się pozbyć. Tylko jak?

SPODNIĘ TESTOWANE

Żeby to sprawdzić, duńscy dziennikarze przeprowadzili akcję „Operacja X”, w której wysłedzili, że H&M spalił półtorej tony nowych ubrań, jeszcze z metkami. Dalsze dochodzenie wykazało, że firma w ten sam sposób pozbywała się nowych ubrań od roku 2013. Razem zniszczono 60 ton. Menedżerowie H&M tłumaczą, że chodziło o rzeczy zapleśniałe na skutek przechowywania w wilgoci albo niespełniające ścisłych wymagań co do zawartości substancji chemicznych, np. ołowiu.

Jednak duńscy detektywi na tych wyjaśnieniach nie poprzestali. W niezależnym laboratorium zbadali na okoliczność zawartości szkodliwych substancji chemicznych dwie pary spodni kupionych w zwykłym sklepie i porównali je z tymi,

które miały pójść do spalenia. W obu przypadkach nie wykryto ani trucizn, ani groźnych bakterii.

Szwedzki producent od lat chwali się troską o środowisko. Słowo „zrównoważony” nie schodzi mu z ust. Od klientów przyjmuje stare ubrania, które można wymienić na nowe. 19 kwietnia wchodzi do sklepów kolejna, siódma kolekcja „Conscious” („Świadoma”). Będą w niej nowe, ekologiczne materiały: biżuteria ze srebra z recyklingu i sukienki z eco-nylu – nylonowego włókna w 100 proc. odzyskanego z sieci rybackich oraz odpadów nylonowych. „Po raz kolejny prezentujemy innowacyjne rozwiązania dla bardziej zrównoważonej mody – informują rzecznicy H&M. – Nasza firma ma jedno z najściślejszych restrykcji chemicznych w całym przemyśle. W niezależnych laboratoriach testujemy nasze wyroby. Chcemy, aby nasi klienci byli pewni, że są one bezpieczne. Te, których nie można sprzedać, dajemy potrzebującym lub przetwarzamy w firmach recyklingowych”.

Wierzę, że to prawda, i jestem pełna uznania dla dokonań firm sieciowych w dziedzinie mody. H&M i Zara zatrudniają doskonałych projektantów – dzięki nim masowy konsument może kupić tanie, dobrze zaprojektowane ubrania w naprawdę demokratycznej cenie. Przy zawrotnych cenach designerskich ciuchów z wyższej półki, o jakości niemającej żadnego związku z ceną, to, co robią sieciówki, można uznać za działalność

pożyteczną społecznie.

A jednak trudno to pogodzić z kontrowersyjnymi praktykami pozbywania się niesprzedanego towaru.

Na skierowane do Inditexu (właściciela marki Zara) pytanie o to, w jaki sposób pozbywają się oni niesprzedanych ubrań, dowiedziałam się, że model biznesowy Inditexu zakłada krótkie serie i dostawy dwa razy w tygodniu, co jest kluczem do minimalizacji zapasów. „Ważna jest elastyczna reakcja na wymagania klientów, co właśnie charakteryzuje nasz model. Dzięki temu projektanci mogą w sezonie reagować na gusta klientów i przysyłać kolekcje zgodnie z ich oczekiwaniem, co znacznie eliminuje zapasy”.

Tak jest rzeczywiście. Jak miałam sama okazję się przekonać, będąc gościem Inditexu w centrali w hiszpańskiej miejscowości La Coruña, model gospodarowania jest u nich rzeczywiście wyjątkowo elastyczny. Centrala dystrybucji odbiera sygnały prosto ze sklepów i pozwala szybko dopasować podaż do popytu. Jeśli coś się nie sprzedaje, to przestaje się to produkować. Taki system minimalizuje niesprzedane rzeczy.

STO MILIARDÓW TON

To nie zmienia jednak faktu, że przemysł tekstylny, który produkuje rocznie 100 mld ton ubrań, jest gigantycznym szkodnikiem i trucicielem. Żeby włókno stało się tkaniną, a potem ubraniem, trzeba zużyć 8 tys. rozmaitych środków



Ciuchów coraz





więcej



chemicznych. Do wyprodukowania kilograma bawełny zużywa się 10 tys. litrów wody. Produkcja naszych T-shirtów i dżinsów pochłania jedną czwartą światowego zużycia pestycydów. W krajach Afryki i Azji pod uprawy karczują się lasy zwrotnikowe. Jednak najbardziej wykorzystuje się ludzi, bo ubrania powstają w najbardziej biedniejszych regionach globu.

Apetyt konsumentów na nowości wciąż napędzany trendami jest nienasycony. Jednak w miarę, jak wzrasta produkcja, wzrasta też ilość odpadów – tkanin, skóry, syntetycznych materiałów. Jak podaje organizacja Greenpeace, rocznie powstają ich 92 tony. I wysiłki, aby niepotrzebne rzeczy poddawać recyklingowi, są na razie bezowocne, chociaż producenci zachęcają do tego konsumentów. Jednak i tak za zamkniętymi drzwiami niszczy się odpady.

Mało tego – ich strzępy nie giną. Amerykański portal ATTN publikuje film ze strony Ourplanet.com ostrzegający przed szkodliwymi mikrocząsteczkami sztucznych włókien, które w praniu odpadają od ubrań i przedostają się do środowiska. Poliester, spandex, polar, nylon – to wszystko jest plastikiem. 11 tys. ton takich niewidzialnych dla oka plastikowych włókienek dostaje się do

wody, jest w miodzie, w piwie, w rybach. 11 tys. ton tego świństwa zjada się co roku w owocach morza.

Jednak świadomość, że spędzamy życie w plastiku, jest niewielka. Przypomina mi się, kiedy ze znajomą Angielką oglądałyśmy sweter w sklepie w Londynie. – This is plastic – powiedziała cokolwiek żartobliwie, bo w Polsce tak mówimy na sztuczne włókna. Angielka spojrzała na mnie karcąco jak na ignorantkę: „This is not plastic, this is poliester”.

Jakoś nie przyszło jej do głowy, że te dwie nazwy oznaczają to samo. A przecież jeszcze jakieś 20 lat temu wiadomość, że butelki plastikowe da się przerobić na tkaninę polarową, wywoływała optymizm. Nareszcie coś będzie można z tym zrobić – tak wtedy myśleliśmy. Jak widać, nie wszystko przewidzieliśmy.

CO Z BUTAMI?

Tyle ubrania. A co z butami? Obsesją współczesnej mody jest kolekcjonowanie butów. Trendy każą je zmieniać co sezon, mieć ich dużo więcej, niż potrzebujemy. Do pracy, do uprawiania sportu, na upał, na mróz, na błoto, na wieczór, na bal... Celebrytki chwają się na Instagramie garderobami wypełnionymi setkami par.

Większość produkowanych dzisiaj butów jest z plastiku. Skóra to luksus. Mało tego, używane do produkcji kleje są wysoce toksyczne, ale konsument raczej się o tym nie dowie. Bo i skąd? Takiej informacji nie znajdzie na pudełku. A co się dzieje z butami, gdy już się ich pozbędziemy i wylądują w koszu?

W kampanii „Kupuj odpowiedzialnie buty” („Change your shoes”), zleconej przez organizację Clean Clothes, która stara

się przeświećlać i naświetlać problemy produkcji odzieży, firma Nielsen przeprowadziła badania opinii w 20 krajach Unii Europejskiej. Wzięło w nich udział 10 tys. osób, w tym 500 z Polski. Badanie rozpoczęło się w czerwcu 2015 r., trwa do dziś. „Ludzie widzą konieczność regulacji dotyczących zwiększania standardów ekologicznych i społecznych przy produkcji obuwia, są zainteresowani jawnością łańcuchów dostaw oraz deklarują gotowość zapłacenia wyższej ceny za buty wyprodukowane z poszanowaniem środowiska i praw człowieka” – pisze na swojej stronie organizacja Clean Clothes.

Większość pytanym poświęciłaby więcej czasu i wysiłku, aby wybrać obuwie, które zostało wyprodukowane w ekologiczny lub społecznie odpowiedzialny sposób, jeśli cena pozostałaby taka sama. Niestety zainteresowanie Polaków tą sprawą nie jest duże. Trochę ponad połowa byłaby gotowa zapłacić więcej za buty wyprodukowane zgodnie ze standardami ochrony środowiska i z poszanowaniem praw człowieka. Jednak ciekawe, że mieszkańcy bogatej Holandii i Belgii są jeszcze mniej zainteresowani zaplaceniem wyższej ceny za takie buty. Nie zaskakuje natomiast, że największe sumy na kupno obuwia przeznaczają Włosi. W końcu to ojczyzna najlepszych szewców na świecie.

Jakie wnioski? Niezbyt optymistyczne. Nic nie wskazuje na to, żeby konsumenci nagle stracili apetyt na nowe ubrania. Przeciwnie – o zaawansowanej konsumpcji Pierwszego Świata marzą kraje mniej rozwinięte. Ich mieszkańcy też chcą być modni jak Amerykanie i Europejczycy. A producenci zacierają ręce z myślą o nowych rynkach. Ciuchy, ciuchy, coraz więcej ciuchów.

Jednak kto ich nie lubi? Ręka do góry.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Wzór wszystkich watażków

Eustachy Daszkiewicz herbu Leliwa jako pierwszy organizował wyprawy kozackie przeciwko ordzie. Dzięki i okrutny nabijał na pale tatarskich posłów oraz ustawiał je na szlakach, którymi szły najazdy. Nawet z wyglądu przypominał Tatara, ubierał się w ich stroje, znał dobrze mowę, zakradał się do obozów wroga, aby podsłuchać, co planuje. Siła, przebiegłość, okrucieństwo i sprawność bojowa – to jednak były na początku XVI w. cechy, którymi zjednywało się szacunek Kozaków, podziw szlachty, respekt Tatarów...

Wywodził się ze zubożałego rodu bojarskiego z Kijowszczyzny. W 1501 r. jako wojewoda księcia litewskiego Aleksandra brał udział w bitwie pod Mścislawiem. W niespełna rok później król nadał mu położone przy granicy z Wielkim Księstwem Moskiewskim starostwo krzyzewskie. I już w grudniu 1503 r. książę moskiewski Iwan III Srogi skarżył się królowi, że Daszkiewicz napadł na włości pod Briąńskiem, spalił je, zniszczył i złupił, urządzał wypadu na pograniczne sioła i osady. Później Daszkiewicz oskarżony został o zdradę i nadużycia. Wtedy oddał zamek w Krzyzewie dworzaninowi królewskiemu Piotrowi Epimachowiczowi i uszedł... na służbę do cara.

Sprawa okazała się jednak intrygą wymierzoną przeciwko staroście. Wkrótce Daszkiewicz otrzymał od króla glejt zapewniający mu bezpieczeństwo. W roku 1505 na sejmie w Brześciu Litewskim został oczyszczony z zarzutów. Oddano mu także majątności w Krzyzewie. Starosta wziął udział w kolejnej wojnie litewsko-moskiewskiej i za zasługi uzyskał starostwo kaniowskie na Ukrainie. Od tej pory rozpoczął walkę z Tatarami.

Właśnie w czasach Daszkiewicza modne stało się „kozakowanie”, czyli wyprawianie się na ta-

tarskie ułusy po zdobycz. Pierwsi Kozacy byli po prostu stepowymi rozbójnikami opłacającymi się pogranicznym starostom, zbiegami, którzy uciekli na stepy z folwarków szlacheckich, albo chłopami i mieszczanami, którzy od czasu do czasu porzucali spokojny żywot i wyruszyli na wyprawę. Daszkiewicz umiał dobrze ich wykorzystać. Wyprawiał się zarówno



FOT. WIKIPEDIA

przeciwko Tatarom, jak i służył im za przewodnika. W roku 1518 pobił na Wołyniu czambuł ordyńców, a w 1521 r. z kolei wziął udział w wyprawie Tatarów na Moskwę. Dyplomacja Zygmunta Starego wielokrotnie wykorzystywała jego wiedzę i spryt. W roku 1522 znalazł się w poselstwie do tatarskiego chana, a przy okazji szpiegował. Nie wyszło mu to na zdrowie, został bowiem uwięziony, a w niewoli rozchorował się ciężko. Wkrótce jednak chan Mehmed został zamordowany przez chana Tatarów nogajskich Mamaja. Daszkiewicz uciekł z Krymu i zemścił się za uwięzienie. Zwołał Kozaków i urządził wyprawę na Oczaków oraz Perekop, spustoszył włości tatarskie i zdobył wiele koni i bydła. W odwecie Tatarzy spustoszyli Ruś aż do Rohatynia. W roku 1524 Islam Gerej zapewnił sobie pomoc Turków i uderzył na

Wołyń, Podole i Ruś Czerwoną, należącą wówczas do Królestwa Polskiego. Tatarzy spalili setki wsi i dotarli aż do Sanu i Bugu. Najazd tatarski wstrząsnął Rzeczpospolitą. Wówczas Daszkiewicz złożył projekt utworzenia stałego wojska zaciężnego strzegącego kresów Litwy i Polski. W 1527 r. wziął udział w odparciu kolejnego najazdu ordy. 27 stycznia znalazł się w wojskach Konstantego Ostrogskiego, które rozgromiły Tatarów pod Olszanicą. Uwolniono wówczas tłumy jasyru oceniane na 40 tys. ludzi.

Gdy w roku 1533 Daszkiewicz pojawił się na sejmie w Piotrkowie, szlachta witała go jak bohatera. Starosta złożył kolejną propozycję zabezpieczenia kresów państwa – proponował zaciągnięcie 2 tys. Kozaków, zabezpieczających przeprawę nad Dnieprem oraz zaciąg kilkuset członków jazdy, która zapewniłaby dowóz żywności i pełniłaby straż. Postulował zbudowanie zamków nad Dnieprem, jednak postowie zlekceważyli jego słowa.

Projekt obrony granic i wojna z Moskwą w 1533 r. były ostatnimi wielkimi dziełami Daszkiewicza. Dwa lata później zmarł. Nie miał żony ani dzieci. Dobra jego odziedziczyła siostra Miłochna, a królewsczyzny wróciły do państwa. Eustachy Daszkiewicz był jednym z pierwszych stepowych watażków i żywą legendą rodzącej się kozaczyzny. Jak pisze Szymon Starowolski: „Utworzył oddział wojska, do którego wcielił wszystkich kozaków, to znaczy lekkozbrojnych nieznających lęku wobec śmierci”. Zaprowadził wśród mołojców żelazną dyscyplinę, ale jednocześnie pozwalał im palić i rabować. „Na niektóre wykroczenia patrzył przez palce – pisze Szymon Starowolski – i nie ścigał ich nadmiernie. Karał tylko opuszczenie szeregów i bunt”. ©©

NIEDZIELNE ŚNIADANIE U MARKA JAKUBIAKA

Od lat w mojej rodzinie na niedzielne śniadania jada-
my duszoną cebulę, której
przygotowaniem zajmuję
się ja. Nie jest to najszybsze
w przygotowaniu śniadanie,
ale za to przepyszne. W ogóle
uważam, że bez cebuli nie ma
potraw. Trzeba tylko pamiętać,
żeby użyć naszej polskiej ce-
buli, najlepiej prosto z pola, bo
w tym daniu nie sprawdzają się
żadne wynalazki, które trafiają
do nas z zagranicy. Danie jest
robione na mięsie, ale nie jest
tłuste, bo cebulę dusimy na
wodzie, a nie np. smażymy na
tłuszczu. Polecam użyć mięsa
wołowego – dodaje bardzo
ciekawej nuty smakowej – ale
można je zastąpić np. kiełbasą.
Pamiętajmy, że wołowinę
należy podsmażyć ze
wszystkich stron, musimy
zamknąć jej strukturę, żeby
nie wyschła. Ja smażę na
medium i moja wątroba
takie śniadania
od wielu lat bez
trudu wytrzyma-
je. Dokładnych
proporcji nie
podaję, ale
pamiętajmy, że
w tym daniu
to cebula robi
za gwiazdę, nie
mięso.

Składniki:

- cebula
- wołowina (można zastąpić innym rodzajem mięsa bądź kiełbasą)
- ulubione przy-
praw (polecam
pieprz ziołowy,
czarny i biały, sól,
ostrą paprykę)
- odrobina przecie-
ru pomidorowego
(ewentualnie)

Przygotowanie:

Cebulę kroimy w piórka.
Wrzucamy ją na patelnię, podle-
wamy delikatnie wodą i dusimy.
Nie solimy (przyprawimy na
końcu), by puściła soki. Dusimy
pod przykryciem, co jakiś czas
mieszając, aż stanie się miękka.
Myślę, że powinno to potrwać
ok. pół godziny. Jeśli nam się
przypali, to nie wpadamy
w panikę, lecz przekładamy do
innego garnka i kontynuujemy
duszenie. W trakcie podlewamy
wodą. Pod koniec doprawiamy.
Cebula ma słodkawy smak,
musimy go trochę przełamać
przyprawami. Solimy, dodajemy
pieprzu ziołowego i czarnego,
doskonale sprawdza się rów-
nież biały pieprz, i koniecznie
doprawiamy papryką. Można
też dodać odrobinę
przecieru pomodoro-
wego, co czasem dla
urozmaicenia robię,
ale najlepiej smakuje
naturalna, duszona
z mięsem.

W międzyczasie
obsmażamy
wołowinę
z każdej ze
stron na me-
dium, odle-
wamy tłuszcz
i mieszamy
z cebulą.
Zdejmujemy
z ognia i
odstawiamy
na jakieś pół
godziny, żeby
smaki się połą-
czyły. Po tym czasie
podajemy niezbyt
gorącą, w temperaturze
ok. 50–60 st. C. U mnie
zawsze każdy prosi
o dokładkę. ©© **oprac. raw**

**Marek Jakubiak jest
posłem Kukiz'15
i przedsiębiorcą.**



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Tego nie jedz

Francuski magazyn
konsumencki „60 mil-
lions de consommateurs” („60 milionów
konsumentów”) opublikował
ostrzeżenie: „Przemysłowe
jedzenie, którego należy się
wstrzymać”. I wyliczył 10
produktów zawierających
nadmiar wszystkiego, czego
powinniśmy unikać. Na czele
listy – wędliny, jak widać przy-
smak nie tylko naszych roda-
ków. Wystarczy prze-
czytać skład na
opakowaniu
szyneczki
dziadka czy
szwagra,
żeby
utwierdzić
się w prze-
konaniu, że
jest ona nafasze-
rowana azotanami, azotynami,
solą, barwnikami, a na 100
gramów mięsa przypada 45
gramów tłuszczu. Następny na
liście proskrypcyjnej jest ke-
czup. Jeden z tych produktów,
które sprytnie przemycają
cukier. I to niemało – w 100
gramach keczupu znajdują się
aż 22 gramy cukru.

Dalej – to żadne zaskocze-
nie – chińska zupka. Wiemy,
że jest niezdrowa, ale któż
w chwili głodu i pośpiechu
nie chwycił za nią, machając
ręką na długą listę składni-
ków? A to sama chemia plus
marketing. Zupa, która mieni
się z „owoców morza”, zawiera
1 proc. tego składnika...

Jak najdalej należy trzymać
się od produktów „bez glute-
nu”, „niskocukrowych” i „light”.
Jeśli mają mniej cukru, to mają
więcej tłuszczu, jeśli mniej soli
– więcej cukru itp. O napojach
gazowanych dawno wiemy,

że to sam cukier – francuski
magazyn ostrzega przed
„dwoma znanymi markami”
– nietrudno zgadnąć jakimi.
Ostrożność należy zachować
w przypadku gotowych pro-
duktów wegańskich – w ich
składzie znajduje się wiele
chemicznych dodatków.

Jednak jogurty owocowe
– cóż może być zdrowszego?
Otóż niekoniecznie. Niektóre
zawierają aż 12 składni-
ków, które nie są

ani jogurtem,
ani owocami.

Następny kan-
dydat:
kostka
roso-
łowa.

Sama sól.

Półowa takiej
kostki pokrywa

dzienne zapotrzebowanie
na sól. Na końcu listy: kakao
w proszku (mało czekolady,
dużo cukru), słodkie płatki dla
dzieci (sam cukier i barwniki).

Szkoda, że nie mamy w Pol-
sce badań ostrzegających
przed konkretnymi produk-
tami. Nie mamy, bo nie mamy
również wiarygodnego pisma
konsumenckiego. Publikacje
podobne do „60 millions de
consommateurs” istnieją
w Stanach, Szwajcarii, Niem-
czech. Testują sprzęt domowy,
jedzenie, ubrania i robią to
za własne pieniądze, nie za
kasę sponsorów. Dlatego nie
publikują reklam, utrzymują
się tylko z prenumeraty i ze
sprzedaży egzemplarzowej.

Chcesz kupić pralkę
i szukasz wiarygodnego pole-
cenia? Żadne internetowe
forum nie da obiektywnej
opinii. Zrobi to tylko pismo
konsumenckie. ©©



FOT. FOTOLIA

NASZ TEST: BMW X2

Muskularna, przyciągająca spojrzenia sylwetka stylizowana na coupé to najważniejsza zaleta najnowszego miejskiego crossovera ze stajni BMW, który bardziej niż SUV-a przypomina nowoczesnego hatchbacka. Auto, które dopełnia gamę „iksów” z Bawarii, jest też zaskakująco praktyczne, a jednocześnie zwinne i dynamiczne. I chociaż więcej frajdy z jazdy da jednak zakup choćby BMW 320i Touring, to miłośnicy gatunku SUV-owatych mają do wyboru nowy ciekawy model.

W KABINIE

Mimo delikatnie ściętego dachu wnętrze sprawia wrażenie bardzo przestronnego. I chociaż miejsca w kabinie jest niewiele mniej niż w o wiele nudniej wyglądającym modelu X1, to X2 tak samo dobrze jak starszy brat nadaje się na rodzinnego crossovera. Zarówno z przodu, jak i z tyłu jest wystarczająco dużo miejsca nad głową dla osób mierzących ok. 180 cm, choć z przestrzenią na kolana z tyłu jest już nieco gorzej.

Fotele są wygodne. W przypadku modelu X2 nie siedzi się jednak tak wysoko jak w przypadku typowych SUV-ów. Kokpit wygląda nowocześnie, a jego elementy zostały dobrze spasowane, choć dolna część wykończenia kabiny mogłaby być wykonana z lepszej jakości plastiku. Na pochwałę zasługuje system multimedialny, który ma atrakcyjny wygląd i jest intuicyjny w obsłudze (można korzystać z ekranu dotykowego, kontrolera iDrive lub sterowania głosowego). Foremny bagażnik ma 470 l pojemności.

JAZDA

Testowane auto miało pod maską dwulitrowy silnik Diesla o mocy 231 KM (xDrive 25d), który rozpędzał je od



0 do pierwszej setki w zaledwie 6,7 s. Prędkość maksymalna to niemal 250 km/godz.

Na pochwałę zasługuje niezwykle precyzyjny układ kierowniczy, który błyskawicznie reaguje na wszelkie ruchy kierownicą. Sprawnie działa również automatyczna ośmiobiegowa skrzynia biegów. Auto nie wychyla się zbyt mocno na boki podczas jazdy po serpentynach. W szybkim pokonywaniu zakrętów pomagają twarde zawieszenie. To ostatnie może jednak dawać się we znaki na dziurawych drogach.

Auto jest dobrze wyciszone. Jest więc świetnie do długich podróży po autostradach i trasach szybkiego ruchu.

Niewielki prześwit wynoszący nieco ponad 18 cm sprawia, że X2 nawet nie próbuje udawać eleganckiej terenówki. W tym modelu z asfaltu można bowiem zjechać tylko na dobrze utwardzone drogi. Dłuższej jazdy po dziurawych polskich drogach już bym nie ryzykował.

Podczas testów auto spalało w cyklu mieszanym średnio 7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP model X2, tak jak model X1, zdobył maksymalną liczbę

pięciu gwiazdek. Auto może być również wyposażone w wiele technologicznych rozwiązań, które zwiększają bezpieczeństwo jazdy: samochód ostrzega przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, przypomina o znakach zakazu, potrafi autonomicznie poruszać się w korku, a w razie rozpoznania ryzyka kolizji może również samodzielnie uruchomić hamulce.

Warto też zainwestować w kamerę cofania, bo widoczność do tyłu nie jest najlepsza, co nieco utrudnia parkowanie.

CENA

Za najtańsze X2 z benzynowym silnikiem o mocy 140 KM, napędem na jedną oś i manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić 138,8 tys. zł. Najtańszy model z silnikiem Diesla to wydatek



155 tys. zł. Za egzemplarz z wysokoprężnym silnikiem o mocy 231 KM i sportową automatyczną skrzynią biegów faktura będzie już opiewać na co najmniej 187,4 tys. zł, a po doposażeniu cena może wzrosnąć nawet powyżej 250 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A3, Audi Q2, Jaguar E-Pace, Mercedes klasy A, Mercedes GLA, MINI Countryman, Range Rover Evoque, Volvo XC40. © © **Jacek Przybylski**



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**WYWIAD
Z AMERYKAŃSKIM
AGENTEM,
KTÓRY DOPADŁ
ESCOBARA**

Maciej Rosalak – **Rubikon Piłsudskiego**
Spór o zamach majowy – **Moczulski kontra Giertych**
Tomasz Stańczyk – **Dwie żony Marszałka**
Sławomir Koper – **Tajemnica morderstwa Zauchy**
Piotr Zychowicz – **Amerykańska masakra w Dachau**
Daniel Brown – **Sadystka z Auschwitz**
Marcin Bartnicki – **Kto zabił Różę Luksemburg**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Francja „pomogła” Polsce**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Amerykański bal

MARCIN MAKOWSKI: Obrazek jak z alternatywnej rzeczywistości: prezydenci Korei Północnej i Południowej uśmiechnięci, trzymając się za ręce, przechodzą z jednej strony granicy na drugą. Donald Trump twierdzi, że to dzięki jego dyplomatycznej ofensywie. Zasłużył na pokojowego Nobla?

MATTHEW TYRMAND: Nie mam wątpliwości, że tak. Co innego zasługuje na Nobla, jeśli nie przyczynienie się do historycznego zwrotu w trwającym prawie 70 lat konflikcie? To ostra retoryka Trumpa i jego administracji, w przeciwieństwie do wielu komentatorów, którzy wieszczyli wywołanie wojny, przełożyła się na realny postęp i zdjęcia, w które kilka miesięcy temu nikt by nie uwierzył. Trump rozumie, że negocjując z dyktatorami, nie ma miejsca na słabość i puste gesty. Czym one się kończą, widać było po prezydenturze Baracka Obamy – rozegranego na oczach świata przez Iran, Palestynę i lekceważonego przez Kim Dzong Una. Waszyngton może się obrażać na prezydenta, ile chce, brzydzić jego językiem, metodami i wyglądem, ale nie da się zaprzeczyć, że retoryka „ognia i furii” działa. Osobna sprawa to moje przekonanie, że Trump Nobla raczej nie dostanie. Nie było problemu z Obamą na zachętę, z Jimmym

Carterem i Jasirem Arafatem, ale postępowi Norwegowie nie przełkną przecież wyróżniania bigota, prawda? Wydaje mi się jednak – na tyle, na ile znam charakter Trumpa – że nawet gdyby wydarzyło się coś niespodziewanego i zmieniono by zdanie, nagrody po prostu by nie odebrał. Tak samo, jak nie stawiał się na słynnej kolacji korespondentów medialnych afiliowanych przy Białym Domu, na którą chodzili wszyscy dotychczasowi prezydenci. Trump po prostu nie chciał być w jednym pomieszczeniu z ludźmi, których posądza o psucie mediów i seryjne wypuszczanie kłamstw na jego temat.

Właśnie, opowiedz o tym wieczorze. Byłeś na miejscu. Jak wrażenia?

Mówiąc w dużym skrócie – Correspondents' Dinner to znacznie większa wersja polskiego Balu Dziennikarzy. Ponad 3 tys. zaproszonych osób, atmosfera jak na Oscarach, z podobnymi proporcjami jeśli chodzi o reprezentację lewicowo-liberalnego establishmentu vs. reszty świata. Gdybym miał strzelać, na 10 dziennikarzy 9 pracowało dla mainstreamowych mediów. Oczywiście nie mogłem sobie podarować powtórzenia akcji z selfie z naj-

bardziej zajadłymi demokratami i gwiazdami CNN. To było wspaniałe kilka godzin w jądze ciemności.

A jednak coś cię tam ciągnęło.

Złośliwość i ciekawość, które zostały nagrodzone. Mam wrażenie, że wszyscy byliśmy świadkami regresu i upadku tej imprezy. W jakimś sensie ci ludzie, poprzez zakładanie i naprawdę niskie poczucie humoru, popełnili zbiorowe społeczne samobójstwo. Po pierwsze, nagroda dla najlepszego materiału dziennikarskiego została przyznana CNN oraz Jake'owi Tapperowi, za opisanie sprawy tzw. dossier Steele'a, czyli kursującego w przestrzeni medialnej w 2017 r. raportu byłego agenta brytyjskiego MI6, w którym rzekomo wykazał on związki kampanii Donalda Trumpa z Kreml. Od dawna wiadomo, że to grubymi nićmi szyta intryga inspirowana finansowo przez środowiska demokratów i ludzi związanych z kampanią Hillary Clinton. Środowisko służb specjalnych z wielką ostrożnością podchodziło do tych rewelacji, które sprowadzały się do lansowanej na siłę teorii, jakoby Trump został wybrany na prezydenta przy udziale Rosji, która posiadała kompromitujące go materiały. Prawie dwa lata bez udowodnienia tej tezy, a oni sami sobie przyznają nagrody za własne fake newsy. Teraz druga sprawa – poczucie humoru. Na balu zawsze jest część stand-upowa, zazwyczaj grzeczna. Tym razem zaproszona do wygłoszenia monologu Michelle Wolf tak przegięła, że nawet część środowiska odcięła się od jej żenujących monotematycznych tyrad na impotencję Trumpa, brzydotę jego współpracowników i generalnie – wylania kubła pomyj na obecną administrację i republikanów. Lubie ostry humor, ale ten był finezyjny jak rąbanie drewna tępą siekierą. Niczego się nie nauczyli. ©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





Uczta dla podniebienia nad Bałtykiem

Restauracje w hotelach Zdrojowej, usytuowane tuż przy nadbałtyckich plażach, oferują nie tylko możliwość spędzenia czasu w wyjątkowych, pięknych wnętrzach, ale przede wszystkim wyśmienitą kuchnię. Do przygotowywania wykwintnych dań szefowie kuchni wykorzystują starannie wyselekcjonowane produkty od sprawdzonych, lokalnych dostawców.

Kołobrzeckie restauracje Lobster i Arté to już stałe punkty na trasach kulinarnych podróży najbardziej wymagających osób odwiedzających polskie wybrzeże. Restauracja Lobster to kameralny zakątek w Marine Hotel****. W niebanalnych wnętrzach Lobster swoją przystań odnajdują zarówno miłośnicy wyszukanej kuchni, jak i zwolennicy klasycznych smaków. Serwowane tu dania, inspirowane kuchnią polską, śródziemnomorską i azjatycką, są prawdziwą uczta dla podniebienia. Menu zmienia się tu sezonowo, ale przez cały rok znajdują się w nim wyjątkowe kompozycje, których smaki na długo zapadają w pamięci gości. Popisową propozycją szefa, Wiesława Ogrodowskiego, jest danie z homara, który bezpośrednio przed przygotowa-

niem wyławiany jest z restauracyjnego akwariu. Ukoronowaniem posiłków są wspaniałe desery, np. przepyszny sernik marchewkowy z cynamonem i purée z mango. Za sprawą live cooking, goście mogą podpatrywać przygotowywanie tych wszystkich, wyjątkowych dań. Dla odwiedzających Restaurację Arté, mieszczącą się z kolei w Diune Hotel****, jednym z dań obowiązkowych i zarazem popisową propozycją tutejszego szefa kuchni, Rafała Durki, jest rosół z gęsi długo gotowany. To tradycyjne danie z pierożkami faszerowanymi pieczoną oraz gotowaną gęsina i przyprawione tradycyjnymi ziołami kuchni polskiej. Podobnie jak w restauracji Lobster, warto po skosztowaniu dania głównego zatrzymać się na deser. Przyjemne chwile przy filiżance aromatycznej

kawy zapewnią łącząca się z restauracją kawiarnia. A skoro mowa o słodkościach, to warto też wspomnieć o tym, co wyróżnia Arté. To jej własny miód z pasieki, która zlokalizowana jest na dachu hotelu. Miód ten wykorzystywany jest do niektórych dań serwowanych w restauracjach. Konfekcjonowany jest także do małych słoiczek i rozdawany jako upominek gościom, co sprawia, że wyjątkowe chwile w restauracji pamiętają oni jeszcze dłużej.



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Referendum wyborcze

STANISŁAW KARCZEWSKI: *Z pełnym szacunkiem odnosimy się do zapowiedzi Pana Prezydenta w kwestii referendum konsultacyjnego w sprawie konstytucji. Co do treści pytań i terminu odbędą się rozmowy z większością parlamentarną.*

Niemal identyczny komentarz zamieścił na Twitterze marszałek Sejmu i zapewne nie był to przypadek, ale uzgodniony przekaz partii, która pomysłu nie popiera, ale jeszcze jej nie wypada go otwarcie skrytykować. Przynajmniej nie marszałkom, bo już Krystyna Pawłowicz decyzyjnie

prezydent zdradził treść referendalnych pytań, ale z dotychczasowych wypowiedzi prezydenckiego otoczenia wynika, że referendum może się ograniczyć do pytania, czy Polacy w ogóle chcą zmiany w konstytucji, a przecież co do tego prezydent i prezes są raczej zgodni. Trochę więc dziwi dość histeryczna reakcja Krystyny Pawłowicz oraz wypowiedzi przedstawicieli marszałków, którzy podkreślają, że o treści pytań w prezydenckim referendum i tak zdecyduje PiS.

Uderza podkreślenie przez obu marszałków, że rozmowy o referendum będą prowadzić z większością parlamentarną. Nawet nie pomyślano, żeby przynajmniej poudawać, że się do tej dyskusji zaprosi opozycję. Kiepsko to wróży deklarowanej przez prezydenta woli zjednoczenia Polaków wokół dyskusji o ich przyszłej konstytucji. Jeszcze gorzej wróży samemu prezydentowi, który nie umiając się wycofać z kiepskiego i niepopieranego nawet przez własną partię pomysłu referendum, faktycznie oddał jej – a jeśli nie oddał, to partia i tak ją sobie weźmie – decyzję na temat referendalnych pytań. Bardzo się

zdziwię, jeśli PiS zdecyduje się zaryzykować zadanie Polakom naprawdę ważnych ustrojowych pytań, choćby dlatego że takich pytań nie pisze się na kolanie. I bardzo się zdziwię, jeśli nie spróbuje wykorzystać prezydenckiej inicjatywy do podkręcenia swojej kampanii wyborczej, i nie wrzuci do referendum pytania dla niego wygodnego, np. o utrzymanie „500+”, wpisanie obniżonego wieku emerytalnego do konstytucji. A przecież kampania referendalna to dodatkowy czas antenowy, w którym będzie można opowiadać o tematach dla władzy wygodnych. Prezydenckie referendum spełni więc dokładnie taką samą funkcję, jaką miało spełnić referendum Bronisława Komorowskiego – będzie tylko kolejnym elementem kampanii wyborczej, z porażką frekwencyjną i poczuciem wyrzucenia w błoto wielkich pieniędzy. Jeśli prezydent w to brnie tylko dlatego, że nie potrafi się wycofać z nietrafionego pomysłu, świadczy to źle o jego politycznej roztropności, zwłaszcza w perspektywie przyszłego starcia z Tuskiem. Wstępny pomysł na referendum był kiepski. W obecnej wersji jest samobójczy. ©©

Referendum Dudy spełni taką samą funkcję jak referendum Komorowskiego – będzie tylko elementem kampanii wyborczej

prezydenta skomentowała jednoznacznie: „PAD wywrócił dziś stolik i narzuca Polakom w listopadzie wybór między Mamą i Tatą (choć sondaże są dobre i dla PAD, i dla rządu)”. Pawłowicz sugeruje, że prezydenckie referendum będzie de facto plebiscytem popularności prezydenta i partii. Byłoby to może zrozumiałe, gdyby

PODSŁUCHANE

Łuk nad rowerostradą

No i co, Rafał, masz już ten program dla Warszawy? Żeby coś można było pokazać.

Jasne, Grzegorz. Tu masz, proszę.

Hm... Pewien jesteś z tym łukiem triumfalnym LGBTQ? Nie za ostro? Absolutnie nie! Musimy pokazać, że to kończymy z zaściankowością, że to

jest otwarte miasto. Jaki będzie przy tym wyglądał jak dziad z kruchty.

No, niby tak... Ale czy to musi być na rondzie Dmowskiego?

Ronda to tam nie będzie. Po pierwsze – bo ten faszysta Dmowski nie może mieć w Warszawie ronda. Po drugie – bo zrobimy tam piękny skwer.

A Marszałkowska i Aleje?

Będzie normalne skrzyżowanie. Zwężą się ulice do jednego pasa w każdą stronę, zbuduje się czteropasmową rowerostradę, nad tym wszystkim łuk LGBTQ...

Ty to widzisz? Nikt czegoś takiego w Europie nie będzie miał!

Tak, to akurat racja... Tylko korki się będą robić.

Nie będzie żadnych korków. Będzie strefa niskoemisyjnego transportu, prawie zero aut, a jeśli już to elektryczne. Ja to wszystko przemyślałem.

Widzę, widzę. No, to chyba wygraną masz w kieszeni? Musiałbym chyba zakonnicę w ciąży na pasach rozjechać, żeby nie wygrać. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Jak taki nieudacznik, zwykła fajtlapa bez umiejętności prowadzenia samochodu, konta bankowego mogła nas, jako naród, tak sponiewierać i upodlić?”.

ADAM MAZGUŁA, emerytowany pułkownik, na Facebooku o Jarosławie Kaczyńskim



fol. Jerzy Gumiński

Pajace

reżyserzy: Piwowski (TW „Krost”), Chmielewski (TW „Stefania”), Zanussi (TW „Aktor”), Pitera (TW „Piotr”), Kostenko (TW „Irena”) i in.; **scenarzyści** **tudzież operatorzy filmowi:** Minkowski (TW „Zalewski”), Wołoszański (TW „Ben”), Safjan (TW „Żerań”), Lipman (TW „J”) i in.; **kapłani:** Małiński (TW „Mechanik”), Jankowski (KO „Delegat”), Hejmo (TW „Hejnał”), Cybula (TW „Franko”), Niewęglowski (TW „Recezent”), Przekaziński (TW „Kustosz”), Czajkowski (TW „Jankowski”) i in.; **arystokraci:** W. Dzieduszycki (TW „Turgieniew”), St. Tarnowski (TW „?”), M. Ronikier (TW „Zygmunt”), B. Tyszkiewicz (KP „Ela”) i in.; **aktorzy:** Zaczek (TW „Stanisław”), Dedek (TW „Papkin”), M. Damiński (TW „Bliźniak”), Pietraszek (TW „?”) i in.; **biskupi:** Wielgus (TW „Grey”), Życkiński (TW „Filozof”), Pylak (TW „Teolog”), J. Dąbrowski (TW „Ignacy”), Michalik (TW „Zefir”), Orszulik (TW „Pireus”), Kowalczyk (KI „Cappino”), Pec (KI „Fermo”), Nowacki (TW „Henryk”), Mering (TW „Lucjan”), Skworc (TW „Dąbrowski”) i in.; **tłumacze:** Słomczyński (TW „Włodek”), Stiller (TW „Tras”) i in.; **re-**

Istnieją jeszcze w naszej ojczyźnie pewne historyczne (choć świeże) tematy tabu, które się rzadko porusza lub nie tyka się ich wcale, bo aż strach wejść na pole minowe oznakowane tablicą: „NARODOWA ŚWIETOŚĆ”. Przykład pierwszy z brzegu: „Solidarność”. Katedra narodowa insurekcyjna, pogromczyńi komunizmu, burzycielka Muru Berlińskiego — Wyzwolicielka. Czy cała sterozana ogólnie przez bezpiekę rojąca o pierestrojkowym uwłaszczeniu nomenklatury MSW, WSW i SB? Które się przecież totalnie dokonało. Gangrena wywołaniowa, syf ozdrowicielski? Chyba nie bez przyczyny korodująca struktury związkowe „Solidarności” operacja SB dostała kryptonim: „Renesans”, czyli: Odrodzenie. Kojarzy mi się to z „memem”, w którym pozbawiony własnie partyjnego tronu Ryszard Petru deklaruje hardo: „ — Jeszcze powstanę! Jak Penis z popiołów!”. Cywilna oraz wojskowa bezpieka powstała jak penis z popiołów PRL-u na skutek konszachtu „okrągłostołowego” — majątna, ekonomicznie długo wszechwładna (co najmniej dwie pierwsze dekady III RP, czy raczej dwie i pół). Społeczeństwo było przy Okrągłym Stole reprezentowane przez „stronę Solidarnościową” (tuzy Związku) oraz przez gwiazdów elity kulturowej/akademickiej/intelektualnej „Crème” transformacji. Zaczniemy od niego — od kulturowego panteonu PRL i III RP:

Środowisko „lustrujące” zapewnia, że niewyobrażalna liczba („almost all”) rodzimych koryfeuszy i gwiazdatorów skurwiła się współpracą z komuszą bezpieką. **Dyspocenci kulturowi:** Waschko (TW „Adam”), Rywin (TW „Eden”), Kabate (KP „Krab”), Miodek (TW „Jam”), Wittlin (KO „Janusz”), Drawicz (TW „Kowalski”), Isakiewicz (TW „Kasander”) i in.; **pisarze:** Odojewski (TW „Wod”), O. Terlecki (TW „Lachowicz”), Koźniewski (TW „Szczotka”), Zaniewski (TW „Orłowski”), Kuśniewicz (KO „Andrzej”), Szczypiorski (TW „Mirek”) i in.; **dziennikarze:** Górnicki (TW „Kawa”), Skalski (TW „Stefanski”), Niezabitowska (TW „Nowak”), Passent (TW „John”), Szuk (TW „Ara”), Szaniawski (TW „?”) i in.; **krytycy:** Sadowski (KO „Olcha”), Żuliński (TW „Jan”), Melanowicz (TW „Teodor”), Żółciński (TW „Lubicz”), Lassota (TW „Ryszard”), Mętrak (TW „Platonow”), Kałuziński (TW „Literat”) i in.; **historycy:** Najder (TW „Zapalniczka”), Garlicki (TW „Docent”), Kłoczowski (TW „Historik”), Krawczuk (TW „Chata”), Kryszak (TW „Krzysztof”) i in.;

∞
Gustaw Daniłowski
(„Pajace”, 1902):
„Udają męczarnie
pajace smutni...”
∞

porterzy sportowi: Tomaszewski (TW „Guzikowski”), Tuszyński (TW „Fala”) i in.; nadto superastronom Wolszczan (TW „Profesor”), superpatriota Kieżun (TW „Tamiż”), superbankier Stypulkowski (TW „Michał”), czy superreporter Kapuściński (TW „Poeta”), etc., etc., etc.

Polityków III RP pełno wśród zarejestrowanych konfidentów: Wałęsa („Bolek”), Kwaśniewski („Alek”), Belka („Belch”), Olechowski („Must”), Buzek („Karol”), Cimoszewicz („Carex”), Boni („Znak”), Rosati („Buyer”), Rotfeld („Raul”), Skubiszewski („Kosk”), Oleksy („Piotr”), Cytrycki („Ritmo”), etc. Na Onet.pl już dawno temu pojawiły się takie identyfikacje: Bronisław Komorowski to „Litwin”, zaś Donald Tusk to „Oskar”. A ilu rzeczy nie wiemy, choć moglibyśmy wiedzieć! Z książki Grzegorza Chłasty o początkach służb specjalnych III RP („Czterech”, 2014) można się dowiedzieć, że w roku 1990 szef peerelowskiego MSW, gen. Czesław Kiszczyk, proponował Jarosławowi Kaczyńskiemu „listę stu najważniejszych agentów Służby Bezpieczeństwa, którzy nigdy nie zostali zarejestrowani” (identyczną propozycję miał Kaczyński dostać od gen. Henryka Dankowskiego). Niewiele straciła na aktualności dia-

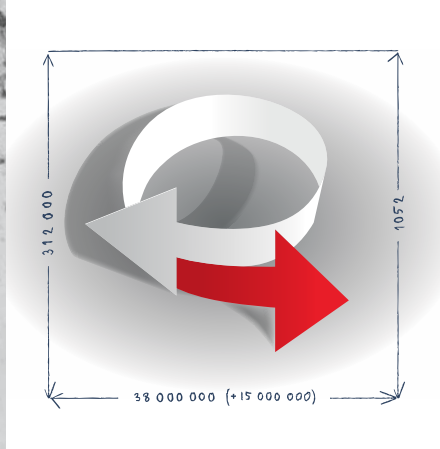
gono Andrzeja Karsta sprzed ponad dwóch dekad: „Ta armia konfidentów sprawia, iż termin «Rzeczpospolita kapusiów» lansowany przez Waldemara Łysiaka jest najzupełniej zasadny” (1996). Tyle że dzisiaj szukać ich trzeba po stronie opozycji, a nie po stronie rządu. I tak wracamy do pierwszego akapitu niniejszego felietonu — do „Solidarności”:

Solidarnościowi szefowie trzech głośnych paktów Związku z reżimem PRL — Lech Wałęsa (Porozumienia Gdańskie), Marian Jurczyk (Porozumienie Szczecińskie) i Jarosław Sienkiewicz (Porozumienie Jastrzębskie) — pracowali dla SB, podobnie jak zagraniczny „ambasador” Związku, Jerzy Milewski (szef Biura Koordynacyjnego „Solidarności”, którego centralą była Bruksela). Wśród czołowych działaczy „Panny S” za „czyściochów” uchodzą dziś bardzo nieliczni (Gwiazda, Wyszowski, Rulewski, Frasiński, etc.), lecz ilu spośród nich, nie zaśługując na miano renegatów, zasługiwali (już wtedy!) na miano pajaców? Ja obawiałem się szermować taką tezę (nawet pytańnikowo), chociaż pamiętałem żenujące skamianie uderzonego pałką Rulewskiego (w pokornej rozmowie z oficerem MO) czy fakt, że A. D. 1982 zawistny Frasiński ohydny mi kalumniami/plotkami sugerował rzekomą współpracę Kornela Morawieckiego z SB (zostało to detalicznie zrelacjonowane przez Wojciecha Sawickiego w jego pracy magisterskiej). Odważył się dopiero teraz, po latach, u schyłku roku 2017 na łamach „GP”, Piotr Wielgucki (szacun!):

Wielgucki zaczął od nędznych senackich błazenad Jana Rulewskiego, przywdziewającego więzienne stroje i chińsko-greckie maski („tego nie daje się oglądać, żal na to patrzeć”), po czym rozwinął swą tezę zasadniczą: „Wałęsa, Frasiński, Borusewicz, Krzywonos, Wujec, Staniszkis, Lityński, Lis i wielu innych — mogliby zastąpić Rulewskiego w cyrku zbudowanym przez niedydysiejszą elitę Solidarności (...). Co się z nimi stało na stare lata? A może zawsze tacy byli? Może to szerszy problem i trzeba mówić nie o masce Rulewskiego, ale o masce Solidarności? Kto nałożył Solidarności maskę takich liderów i legend, poczynając od Bolka? Kto pociągał za sznurki i poruszał pajacykami?” (tytuł tekstu: „Maska Solidarności”).

„Może zawsze tacy byli?” — fraza kluczowa. Może, pchani naturą swych charakterów, pajacowali i wówczas, i później? (Rulewski, już jako członek UD, gardłował przeciw lustracji z wielką zawziętością). Rozliczy ich Historia. Choć tacy jak oni „leją” na nią. Udecki szef MSW, Krzysztof Kozłowski, gdy prof. Jan Ziółek spytał go czemu pozwala niszczyć esbeckie akta tak ważne dla historii, odwręknął: „ — Ja, proszę pana, pieprzę historię!”. No właśnie, oni ją „pieprzą”. Dają temu świadectwo „pieprząc” teraźniejszość dlatego, że obecni sterownicy Polski są wkurzającym Salom przeciwieństwem pajaców. ©

Waldemar Łysiak



POLSKA WIELKI PROJEKT

WARTOŚCI

17-20 MAJA 2018



1918 • 2018

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia
Odzyskania Niepodległości 1918-2018

17-18 maja 2018 r. Teatr Wielki
Opera Narodowa w Warszawie, Sale
Redutowe, pl. Teatralny 1

19-20 maja 2018 r. Zamek Królewski
w Warszawie, Arkady Kubickiego

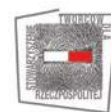
Wśród panelistów:

- Cernea
- Sulyok
- Stawrowski
- Legutko
- Blond
- Łuczewski
- Engels
- Szczerski
- Sosnowski
- Piotrowski
- Krasnodębski
- oraz gość specjalny!**

Organizator



Współorganizatorzy



Partnerzy



Bank Polski



Bank Pekao



Fundacja



FUNDACJA



Patronat
medialny

